

Józef Ignacy Kraszewski

Lubonie t.2



calibre 0.9.27

Lubonie

Powieść z X wieku.

TOM DRUGI

Rozdział 1.

Włast już drugi miesiąc na dnie jamy wilgotnej modlił się i cierpiał. Jarmierz i siostra, mimo wiedzy ojca i jego najsurowszego zakazu, mimo oka pilnego niełitościwej babki, przynosili mu jedzenie, skradali się na rozmowę, prosili go i błagali, aby ojcu był posłusznym. Odpowiadał im, że tego uczynić nie może. Im dłużej pozostawał w tym dole, zamiast słabnąć na duchu, dziwnym sposobem rozgrzewał się i stawał silniejszym. Nie mając już nic do stracenia, cichym głosem, klęcząc, nucił pieśni kościelne, które mu z dawnych czasów na pamięć przychodziły, i łzy mu płynęły z oczów. W tej samej jamie, na ścianie, z dwóch kawałków drewna łykiem związanych zrobiwszy sobie krzyż i umocowawszy go, większą część dnia Włast spędzał przed nim na rozmyślaniu i modłach. Hoża i Jarmierz, ciekawie nieraz uchyliwszy wrota, wpatrywali się w niego, przejęci trwogą jakąś na widok tej wytrwałości i męstwa.

Parę razy przyszedł Luboń stary i kazawszy sobie odwalić wrota, łajał syna, zmuszał, aby wolę jego spełnił. Z pokorą wielką Włast podnosił oczy i ręce ku niemu i odpowiadał, że uczynić tego nie może. Z przekleństwem na ustach odchodził stary Luboń i gniewem długim wrzał często godziny całe, tak że się doń nikt zbliżyć nie śmiał ni przemówić. Nawykły do posłuszeństwa, nie chciał ustąpić; a jednak wspomnienie tego dziecka, straconego, oplakanego, odzyskanego cudownie i dziś skazanego jak niewolnik na kaźnię okrutną, łamało mu serce. Po nocach łzy zalewały oczy, ale gniew je osuszał. Ustąpiłby może wreszcie i syna precz odegnał, lecz z jednej strony obawiał się, aby go nie skarżył przed Mieszkiem, z drugiej podzegała go stara Dobrogniewa, upierając się przy tym, iż w końcu Włast wycieńczony poddać się musi.

Tymczasem biegły dni i tygodnie na próżno, a Włast, w tej ciemnicy na modlitwie trwając i w samotności, nawykł niemal do życia pustelniczego i zgadzał

się z wolą bożą. Odzież zbrukana i przesiąknięta wilgocią mało go już od chłodu chroniła, rozpadała się nawet kawałkami; barłóg, na który słomy garść litościwa ręka siostry rzuciła, stał się na proch i stęchl przejęty wodą, która się ze ścian sączyła.

Włast się nie skarżył, a gdy Jarmierz ubolewał nad nim, odpowiadał mu łagodnie, że miło mu jest cierpieć dla Boga, którego wyznawał, i że ten Bóg zsyła mu pociechę do serca. Słyszac to Jarmierz stawał zdumiony i przelękły, nie mógł pojąć tej siły, która się takim bólem nie wyczerpywała.

Hoża po kilkakroć do nóg padała ojcu, prosząc za bratem daremnie; zawsze podejrzliwa stara, która ją szpiegowała, nadbiegała w porę ze swą kądzielą, aby ją oderwać od nóg ojcowskich, a Lubonia nowym gniewem zapalić. Ten więzień w domu, choć do niego nikomu się zbliżyć nie było wolno, choć wspomnieć się nie godziło, truł jednak spokój i szczęście całej rodziny. Hoża chodziła zapłakana, Jarmierz chmurny, Luboń był chwilami wściekły, a stara Dobrogniewa nikomu spokoju nie dawała. Przyjechał kto obcy, kłamać było potrzeba i udawać swobodę, a lękać się zawsze, aby ten upór sromotny, ojca upokarzający, się nie wydał.

Jarmierz myślał o jakimś ratunku i nie widział żadnego. Chciał dopomóc do uwolnienia Włastowi,

lecz zdrada by się wydała i stary Luboń nigdy by mu jej nie przebaczył, a on w oczy tylko patrzył Hożej i myślał, że mu ją w końcu dadzą.

Złożyło się jednak inaczej wcale, niż rachował. Ukrywający się ciągle Wojsław często do Lubonia zaglądał i narady z nim miewał. Chłop był urodziwy i na dworze pańskim wychowany. On i Hoża spoglądali na siebie mile; czy przemówili się kiedy, czy się ułożyli, czy Hożej naprzykrzyło się w domu ze starą Dobrogniewą, która kochając ją, męczyła, z ojcem, którego lękała się przemocy, któż to zgadnie?

Jednego poranku wszakże Hożej nie stało. W domu zawrzało straszliwie, pogoń poszła na wsze strony; tyle się tylko dowiedziano, że Wojsław ją porwał i w lasy z nią uszedł. Jarmierz zaklinał się, że go ubije.

Straszniejszą jeszcze pustką stał się dwór w Krasnejgórze. Dobrogniewa położyła się trzeciego dnia i zapowiedziała, że jej życie obrzydło. Na pół z gniewu, wpół z dobrowolnego głodu, w gorączce jakiejś mającąc, otoczona babami, co ją na próżno ratować usiłowały, w kilka dni skończyła.

Luboń pozostał sam, z dala spoglądając na tę jamę, w którą syna wrzucił, i nie chcąc nawet zbliżyć się do niej. Na parobkach i służbie wywierał złość coraz wzrastającą. Jarmierz nie mający już nic do zyskania, nic do stracenia, co dnia się więcej litował nad Włastem. Jednej nocy poszedł potajemnie odchylić wrota, zbudził

go i począł naglić, aby uciekał.

- Weźmiemy dwa konie... Uciekniemy w lasy... mnie tu już nic nie trzyma...

Włast mu dziękował.

- Jarmierzu, druhu mój - mówił doń - nie godzi mi się uchodzić od

męczeństwa, którym Bóg mój mnie dotknął. Mam zasługę cierpiąc, stracę ją uciekając.

Jarmierz tego zrozumieć nie mógł. Chwilami zdawało mu się, że biedny Włast chyba oszaleć musiał. Drugiej nocy i następnej nalegać nań nie przestał. Tymczasem Włast, choć mocen na duchu, upadać począł na ciele. Zimnica od wilgoci go napadała i co drugi dzień leżał trzęsąc się, a potem nieprzytomny, w gorączce, w której zwykle na przemian śpiewał i płakał. W takim stanie Jarmierz go nareszcie wychudłego, osłabłego, wyniósł z jamy na ramionach, złożył w szopie, okrył, napoił

ciepłym miodem i, gdy sen go pokrzepił, zmusił niemal tym, że ojciec na nim mścić się będzie, do ucieczki.

Włast był jednak tak osłabły, że choć go Jarmierz przytrzymał, na koniu długo usiedzieć nie mógł i po godzinie jazdy, gdy już dzień był jasny, musieli w gąszczach stanąć, bo biednego więźnia znów położyć było potrzeba. Za ledwie ległszy, Włast zasnął. Nie wiedział dalej, co z nim poczynać Jarmierz, lecz domyślał

się, że na dworze pańskim znaleźć może jakiś ratunek. Nie widząc w tym żadnego niebezpieczeństwa,

na losy się zresztą zdając, porzucił chorego uśpionego, a sam przez las popędził do grodu nad Cybinę. Za stróża przy Właście został stary pies, który poszedł za Jarmierzem; zwano go Kudła. Temu kazał siedzieć przy koniu i chorym panu i pies, zrozumiałwszy to, pozostał. Położył się w nogach Włastowi.

Jarmierz, nie zważając już na to, że pochwyconym być mógł, jechał do grodu.

Pierwszą, która mu się tu nastęrczyła, była Srokicha. Była ona też przekonana, że Włast z młodą żoną mieszkał na nowosiedlinach. Załamała ręce i padła na ziemię, gdy jej chłopak powiedział, co się stało i jak go w lesie zostawił. Widywała ona tego gołąbka swojego z Dobrosławem, doradziła do niego iść. Sama przodem poszła się dobijać. Zrazu nie mógł zrozumieć nic, wierzył bowiem w to, że Luboń zmusił go do odstępstwa. Stara zwołała Jarmierza, wydało się wszystko i Dobrosław pobiegł

najpierw do knezia, a wprędce potem siadł na konia i popędził w las.

Zastali Własta uśpionego jeszcze, osłabiałym tak, że mówić nie mógł, psa u jego nóg i ciszę wśród lasu. Kląkł Dobrosław nad nim, obejmując biednego i docuciwszy się go, inaczej go do grodu wieźć nie mógł, jak między koźmi na rozwieszonych opończach. Teraz dopiero długie męczarnie, które wytrwał

nieszczęśliwy, wywarły swój skutek. Wprawdzie życia iskierka tłała w nim i blada twarz męczennika uśmiechała się łagodnie, lecz siły były wyczerpane. Gdy na Krasnejgórce Luboń swą czeladź, posądzoną o współnictwo, siec kazał i sam w pogoń potem leciał na oślepie w stronę zupełnie przeciwną, Dobrosław z Jarmierzem bezpiecznie dojechali na zamek i złożyli w izdebce u wrót, na dworze kniehinie Górki, chorego, którego Srokicha pilnować i leczyć się obowiązywała. Jarmierz też został

przy nim. Stara znała się na ziołach i szczęściem, z opisu domyśliwszy się zimnicy, gorzkich mu nagotowała.

Gdy Dobrosław przyszedł oznajmić Mieszkowi o tym, co się stało, kneź

wysłuchał go jak zwykle, nie dając poznać po sobie ani zdumienia, ani oburzenia.

Kazał Własta przynieść do grodu i wieczorem namyśliwszy się, komornika wysłał po Lubonia. Ale tego w domu nie było, biegał po okolicy, szukając śladów, nie przyznając się do niczego więcej, tylko do ucieczki Jarmierza. Trzeciego dnia dopiero wrócił stary złamany i zrozpaczony. Na progu spotkał go rozkaz, żeby się do knezia stawił natychmiast. Sił miał niewiele, lecz rad nierad jechać musiał.

Dano znać Mieszkowi o przybyciu Lubonia, wyszedł doń z twarzą pogodną i pozdrowił na pozór łaskawie.

- Coście to pewnie na szczęście syna waszego patrzeć jeździli? - spytał. - Ano, jak mu się tam dzieje?

Stary zabełkotał.

- Miłościwy Panie - odparł głosem ochryłym - wiele mnie nędzy spotkało...

Zmarła matka, córkę mi porwano bez wieści, a oto sługa, pies niewierny, uszedł, okradłszy mnie, pewno kędyś do Niemców.

- Czas by ci z nowosiedlin syna do domu z niewiastką sprowadzić, - odparł

Mieszko, - mielibyście pociechę.

Luboń zamilkł, dławił go gniew.

- Ja waszego Własta polubiłem, choć do wojny on się nie nadaje, ale rozumny człowiek do rady... i milczeć umie. Żoną się on już nacieszył, poszlijcie poń, bo mi go trzeba. Do Czech go wyprawię.

Luboń się zmieszał, spuścił głowę, opadły mu ręce. Szukał w myśli sposobu, jakim by wyszedł z kłamstwa.

Mieszko stał ze swym zwykłym, dumnym uśmiechem.

- Co, wam to nie po myśli? - spytał.

- Miłościwy Panie, co mam kłamać dłużej. - Nieszczęście się stało: nie mam syna.

Zakrył sobie twarz rękami stary, ale wprędce odsłoniwszy, dodał:

- Choćbym go miał, zgubiony on dla mnie... Niemcy go ochrzciły... na swoją wiarę. Znać go nie chcę!

- Wyrzekacie się go? - spytał Mieszko.

- Niech, jeśli żyje, do tych idzie, których więcej słucha niż ojca. Bodaj szczeł!

Kniaź popatrzał nań z uwagą.

- Luboń, - rzekł, - z dzieckiem macie prawo czynić, co chcecie. A to u nas teraz chrześcijany się mnożą co dzień. Trzeba nam to znosić, nie damy rady. Boga mają widocznie silnego, bo nasze przed nim obronić się nie mogą. - Wymówiłszy te słowa, kneź głową skinął i wyszedł.

Luboń, który dłużej tu nie myślał pozostać, wysunął się ze dworu, nie wiedząc jak, na konia wsiadł i pojechał do Krasnegodworu.

Nigdy pono niewiasta, do dziecka przywiązana, nie była w przykrzejszym położeniu z nim nad starą, prostą, poczciwą, ale do swojej wiary przywiązaną Srokicę. Jarmierz, który patrzył na męczeństwo, cierpliwość i stałość Własta, był

już na wpół jego przykładem nawrócony. Zaczynał czuć, że ten Bóg, co dawał taką siłę, musiał być potężnym. Przed starą więc piastunką nie utaił powodu, dla którego Włast uległ takiemu

prześladowaniu. Srokicha przeraziła się tym. Nie straciła serca dla swojego gołąbka, ale myślała też jak ojciec, że go należało do dawnych bogów nawrócić. Pomiędzy ludem straszliwe chodziły wieści o tej nowej wierze, pełnej surowości, umartwień, poddającej człowieka najstraszniejszej niewoli. Srokicha płakała rzewnie nad swym wychowankiem, ale krzątała się wkoło niego skutecznie.

Napój, jadło, powietrze, spoczynek może lepiej od jej leków poskutkowały. Włast trzeciego dnia mógł już uklęknąć i modlić się, a pierwszym jego ruchem było dziękczynienie Bogu i rzewna modlitwa.

Jarmierz i stara mamka, ujrzawszy go zatopionego w tym zachwycie łzawym, od którego oderwać go nie mogli, przerażeni zostali. Srokicha utrzymywała, że Niemcy urok na chłopca rzucili i że go odczynić potrzeba. W duchu postanowiła, sama się nie czując tak bardzo biegłą w tej sztuce, postarać się o mądrzejszą babę, aby czar i uroki odegnała.

Gdy Włast powoli do zdrowia przychodzić zaczął i ciągle będąc z Jarmierzem, wszystek swój czas poświęcał na nauczanie go i nawracanie, Luboń, wróciwszy do domu z gniewem i bólem, zaniemógł i legł złożony chorobą. I tu natychmiast po baby posłano, aby mu radziły. Lecz stary i nic przyjmować nie chciał, i życie miał

już w obrzydzeniu. Przystępu prawie nikomu nie dając do siebie, leżał to senny, to nieprzytomny.

W domu tymczasem działo się, co się zwykle wśród grozą utrzymanej służby dzieje, gdy swobodę uzyska. Parobcy się rozbiegli, rozchwytywano, co kto mógł, szalała czeladź, puściwszy sobie cugle.

Rozeszła się wieść po sąsiedztwie o chorobie starego, ale nikt się nie chciał

wdawać w nieswoje. Stary dogorywał otoczony babami, które rozpędzić się nie dając, kadziły go, kropiły, zamawiały chorobę, na próżno. Wreście ktoś z sąsiadów dał znać do grodu, że w Krasnejgórze, w bezpieczeństwa dworze, parobcy niszczą całe mienie i dwór niemal roznoszą.

Włast już wstawać zaczynał, gdy Srokicha z tym wpadła. Nie o mienie szło synowi, ale o obowiązki dziecięcia. Czuł się niemal winnym tego nieszczęścia, które rodzica spotkało, i zerwał się na gwałt wracać do Lubonia. Na próżno i Dobrosław, i Jarmierz błagali go i strzymywali, chciał, wyrwawszy się, iść pieszo; dano mu nareście konia. Jarmierz zrazu nie śmiał mu towarzyszyć, potem zawstydzony męstwem jego powiedział, że go nie opuści. Siedli więc na konie i pospieszili do Krasnejgóry.

Już z dala dojeżdżając do dworu, można było się domyślać, co się tam dziać musiało. Stary leżał dogorywając, a czeladź z dziewczętami w lasku pode dworem płasy wyprawiała i śmiechy, a śpiewy pijane rozlegały się dokoła. W podwórzu poroztwierane wrota, ślady spustoszenia i łupieży, we drzwiach kupa starych bab, gwarzących nad kadzią piwa i miskami kaszy a klusek. Wszyscy niemal na pół pijani spotykali przybywających. Jarmierz został w podwórku, aby natychmiast ład jakiś starać się zaprowadzić, a Włast wszedł do izby. Na niskim pościeliu leżał stary, wychudły, z osłupiałymi oczyma, z obnażoną piersią, dysząc z trudnością. Chrapliwy oddech ten, ciężki, słychać było z daleka. Gdy Włast wszedł, zdawał się już nie widzieć nic i nie poznawać go, leżał, jęcząc, nieruchomy. Syn przykląkł przy nim, z lekka ujął rękę i pocałował. Luboń drgnął, oczy stojące nieruchomo poruszyły się, usta otworzyły, spojrzał i pierwszym znakiem oprzytomnienia było, że

dłoń wyrwać usiłował. Słabym głosem zawołał: - pić! Włast znalazł kubek i z troskliwością dziecięcia przytknął napój do spiekłych ust chorego, który chciwie pić zaczął.

Orzeźwiło go to na chwilę, oczyma powiódł po ścianach i zatrzymał je na synu długo. Zdawał się zdumiony. Zamknął powieki, otworzył je powtórnie i przy mrużył

jeszcze.

- Włast! - rzekł po cichu. - Upiór!

- Syn twój, ojciec mój.

Luboń nie odpowiedział nic, oczy się przymknęły, usypiał.

Całą noc Włast przesiedział tak u łóżka, służąc ojcu, który tylko wody żądał i więcej nie mówił nic. Usypiał, przebudzał się i znowu sen go morzył. Nade dniem sił

mu trochę przybyło, dojrzał siedzącego u nóg syna i mruknął:

- Włast.

- Jestem, ojciec mój...

Starzec niedowierzająco powtórzył raz jeszcze pytanie, usłyszał tę samą odpowiedź i począł się w niego wpatrywać.

- Gdzie byłeś? - zapytał Luboń.

- Leżałem chory, na grodzie.

- I wróciłeś tu?

Włast ukląkł.

- Aby cię prosić o przebaczenie za nieposłuszeństwo. Ojciec mój, jam musiał posłusznym być Bogu...

- Bogu! Bogu! - zamruczał Luboń, jakby myśli zbierał; po chwili rzekł

osłabłym głosem:

- Mocny Bóg! Wielki Bóg!

- Ojciec mój, i dobry to jest Bóg, i łaskawy.

Starzec się zadumał; widać było, że pokora i łagodność syna złamały go wreszcie. Łzy mu się z powiek potoczyły i oschły na spalonych policzkach. Długo znowu trwało milczenie, Włast choć słaby

Sam, służył z troskliwością niezmierną ojcu. Duma poganina nie pozwalała mu powiedzieć dziecku własnemu, ani że czuł

się winnym, ani że mu przebaczał, lecz nie okazywał gniewu, gdy Włast, po cichu mówiąc, starał się go pokrzepiać i natchnąć nadzieją; słuchał go z chciwą ciekawością. Słowo miłością natchnione działało.

Włast jako chrześcijanin nie mógł się zbliżyć do chorego ojca, nie myśląc o jego nawróceniu. Zdawało się to niepodobieństwem, lecz Luboń o tym, dawniej nienawistnym, Bogu chrześcijan słuchał teraz cierpliwie. Pogodził go z nim ten syn pokorny i miłosierny.

Tymczasem uchodziło życie ze złamanego starca. Myśl się stawała jaśniejszą, odzyskiwał przytomność, ale siły tracił. Napoju przyjmować już nie mógł, oddech stawał się cięższym, usta zaniemiały, oczy tylko świadczyły, że duch pozostał w ciele. W tych godzinach ostatnich Włast o Bogu swym mówić mu zaczął, malując żywymi wyrazami jego potęgę i łaskawość, i cuda, jakie czynił, i życie wieczne, które dawał. Starzec nie spuszczał z niego oczu, a gdy Włast, zebrawszy się na odwagę, zapytał go, czy chciałby wiarę przyjąć, odpowiedział mu skinieniem głowy.

Z niewysłowioną radością Włast wodą pokropił chorego, chrzcząc go w imię Boga jedyneho, któremu dziękował za to, że pierwszym owocem apostołstwa był

najbliższy mu krwią rodzic jego. Odmówił potem modlitwę, której konający słuchał

z wyteżoną uwagą; był to Ojciec nasz słowiański. Z ostatnim Amen, jak do snu zamknęły się powieki Lubonia i ręka, którą syn trzymał w dłoniach, stygnąć zaczęła.

Włast z piersi własnej zdjął krzyżyk i położył go umarłemu w rękach, które stężały, objąwszy ten znak zbawienia. Klęknął potem i modlić się zaczął. Na modlitwie zastał go Jarmierz, który w ciągu tego czasu ład na nowo zaprowadził w zburzonym domu i czeladź grozą do posłuszeństwa przymusił.

Szło teraz o pogrzebanie zwłok starca chrześcijańskim obrzędem. Wówczas już zwyczaj palenia zwłok, chociaż się utrzymywał, nie był obowiązującym. Wielu, przykładem sąsiednich chrześcijan, wolało mniej kosztownie grzebać zwłoki.

Składano je wszakże na uroczyskach, zgliszczach i polach wśród lasów, gdzie dawniej były żalniki. Włast nie mógł pogrzebu uczynić uroczystym, boby musiał

zachować przy nim stare obrzędy pogańskie; poświęcił więc część lasu za domem jako "rolę bożą" dla przyszłych chrześcijan i tam w cichości, jednego Dobrosława tylko uprosiwszy, przy modlitwie, którą sam odprawił, pogrzebał zwłoki ojca. Działo się to potajemnie, z obawą i nie bez przeczcucia następstw, jakie ściągnąć miało to postępowanie, które ludzie sobie inaczej tłumaczyć mogli.

W istocie wszystek tłum, który rachował na stypę, ucztę i przyjęcie,

zawiedziony w nadziei począł szemrać, że syn, mszcząc się na ojcu, jak psa go po cichu rzucił gdzieś w dół, nie uczyniwszy ofiary i nie sprawiwszy tryzny. Od czeladzi dworskiej począwszy szemrali wszyscy, patrząc na Własta mściwie, a przyjaciele starego Lubonia odwracali się od niego, nie chcąc

go znać i odgrażając się. Część tej niechęci spadła nawet na Jarmierza, który Włastowi był posłusznym i okazywał mu uszanowanie.

Nazajutrz po cichym pogrzebie tym pusto i smutno było na dworze w

Krasnejgórze. Jarmierz chodził z głową zwieszoną i źle jakoś wróżył o przyszłości.

Czeladź wprawdzie musiała być posłuszną, lecz posepnyimi oczyma patrzyła na nowego pana, którego między sobą palcami jako zdrajcę i odstępcę wskazywali. Nie strwożyło to Własta, który postanowił w miejscu pozostać i nie bardzo się tając z wiarą nową, starać się o jej rozszerzenie.

Rozdział 2.

Niepokój szerzył się po kraju, chociaż nic go jeszcze nie usprawiedliwiało. Po lasach i osadach powtarzano sobie cicho, że Mieszko starą wiarę chce zagubić, ale kneź nie czynił nic przeciwko niej jawnie. Wszystko po dawnemu zostało: kontyny, chramy, kamienie, słupy z głowami bożków, ofiarne ołtarze stały nie naruszone.

Gęślarze z pieśniami jak przedtem chodzili i uroczystości odbywały się, jak lud odprawiać je nawykł był od wieków. Nie zagrożano nikomu, nie zakazywano, a jednak strach jakiś owładnął wszystkimi. Spoglądano na gród nad Cybiną z trwogą i niepokojem.

Na dworze zjawili się ludzie jacyś nieznani, podejrzani, którzy się z kneziem zamykali, naradzali, przychodzili i znikali znowu. Mieszko zaczynał się swoich ulubienic pozbywać; kilka z nich naprzód wyswatano wojskowym, którzy je z dobrym wianem pozabierali, reszcie pozostałej kneź pozwolił szukać sobie mężów lub odejść do rodziny.

Stara Różana, która nie miała tego co dawniej kłopotu z podwładnymi, stękała teraz widząc, że się niepotrzebną stanie. Lilia płakała w kątku, inne chodziły strwożone, nie wiedząc, co począć z sobą. Dwór tymczasem na nowo, a wspaniale urządzać kazano i rzemieślnicy w nim pracowali. Choć nie mówił nikt i nie tłumaczył, co to oznaczać miało, domyślali się wszyscy. Mówiono półgłosem o prędkim przy byciu czeskiej kniehini.

Sydbór tymczasem z polecenia Mieszka ludzi ściągał, zbroił i siłę gotował

jakby do wojny, choć na granicy dosyć było spokojnie. Starzy głowami potrzęsali, rozumiejąc może, iż ta siła wielka nie przeciw nieprzyjacielowi się sposobiła, ale dla bezpieczeństwa w domu.

Warga też i inni wróżbici radzili pokorę i czajenie się, aby nadaremnie co lepszego z ludu nie ginęło. Po lasach, nocami, trwały ciągle narady; wiedziano, co się na zamku działo, lecz nikt nie mógł z pewnością powiedzieć, co i kiedy tam czynić zamierzano, bo Mieszko się nikomu nie zwierzał i nie zmieniał postępowania swojego.

Jednego dnia tylko z chramu Jessego na grodzie wszystek skarb wojenny, który tam był złożony, i stanice z bóstwami sam Mieszko, poszedłszy do gaju świętego, przy sobie zabrać kazał do dworu i zanieść do swojego skarbcza. W chramie pozostał tylko stary posąg i to, co przy nim zawieszono było.

Dlaczego to uczyniono, nikt nie wiedział. Starzy stróże świątyni stali patrząc, mówić nic nie śmieli. Koszami ogromnymi wynoszono naczynia, sztaby, blachy, kruszec wszelki i oręż. Gdy na rozkaz knezia komornicy jego wzięli stojące za posągami stanice święte, gdy i te na dworzec poniesiono, oczy starych wróżbitów zasły łzami, ścigali je wzrokiem, aż póki pod dach wniesione nie znikły. Z tych, co byli na straży u chramu, żaden się odezwać nie śmiał, żaden zapytać. Obawiano się Mieszka. Lecz stłumiony gniew gorszym był może od jawnego. Gdyby wybuchnął, kneź by go w pierwszej chwili poskromił, wolałby widzieć płomień i zalewać go niż czuć żar podziemny, który, nie wiadomo gdzie i kiedy mógł nagle zaświecić luną.

Pomiędzy narodem wrzenie było wielkie; Wargę i inni uśmierzali je i czekać kazali; mówili: - Nie czas... ludzi ma dużo gotowych na wszystko, przyjdzie godzina...

Z wolna, co było potajemnie chrześcijańskim w kraju, co się dawniej z tym kryło, teraz poczynało coraz jawniej występować. Ochrczeni śmieiej podnosili głowy; omijano ich, lecz nikt nie śmiał się przeciw nim porywać.

Wiedzieli wszyscy, że Włast na Krasnejgórze, w komorze tej, w której zmarł

ojciec jego, urządził był ołtarz i rodzaj kaplicy. Była ona zamknięta i nie dopuszczano do niej, tylko tych, co już chrzest przyjęli, a do progu tych, co się do niego przysposabiali; lecz służba ciekawa przez szpary zbadała, że tam stał nakryty stół z krzyżem, dwoma świecznikami i kielichem w pośrodku, naczynie miedziane z wodą i rozmaite przybory, których użytku nie rozumiano. Złocistą deskę na ołtarzu pokazywano jako Boga, do którego się chrześcijanie modlili.

W pewne dni zjeżdżali się różni ludzie z daleka i odprawiało się tu coś tajemniczego, bo choć Jarmierz stał na straży i zbliżyć się nie dozwalał czeladzi, podsłuchano śpiewy z dala. Ukryci w krzakach starzy dziadowie-wróźbici zapamiętywali twarze i nazwiska, tych co tu przychodzili i przyjeżdżali, na przyszłą zemstę ich znacząc. Nie porywano się jeszcze na nich jawnie, lecz wszyscy ci nowi chrześcijanie na śmierć skazani byli, a dwory na spalenie.

Jedna z rodzin najdawniej nawróconych, Pomianów, straciła już była

najstarszego, głowę domu, którego w lesie nie wiadoma ręka dościgła. Znaleziono go z włócznią w piersi, martwego na rozdrożu, a włócznia w pierś krzyżyk mu wbiła.

Dwa razy pod dwór podłożony ogień ledwie zawczasu ugasić zdołano.

Dobrosławowi zgorzały jego stodoły i szopy, a nikt nie umiał powiedzieć, skąd w nich ogień powstał. Jarmierz nocy nie dosypiał, lękając się o Krasnogórę. Widocznie złośliwe ręce jakieś podrzucały płomień, poiły bydło wodą zatrutą, wyrządzano szkody w polach, lecz winowajcy znaleźć było niepodobna.

Tak z jednej strony Mieszko wydał potajemnie wojnę starej wierze, a ona z pokorą pozorną broniła się, nie podnosząc głowy. W grodzie nad Cybiną, w Gnieźnie i po innych zamkach lud orężny zbierano, a po uroczyskach, w puszczech, na osamotnionych horodyszczach schodzili się nocami wróżbici i gęślarze na ciche narady. Nikt jawnie nie wypowiadał jeszcze wojny, a wszyscy czuli ją i

przygotowywali się do niej.

Jednego dnia komornik wezwał Własta do knezia. Porzuciwszy dwór swój na opiece Jarmierza, pojechał posłuszny. Na wstępie Dobrosław go powitał i poprowadził do swojej komory z twarzą wesołą prawie.

- Mój ojczy, - rzekł, - cieszcie się. Nadchodzi i dla nas godzina wyzwolenia.

Mieszko walczy jeszcze z sobą i ze starym w sobie pogaństwem, ale nareszcie ulegnie. Dubrawka przybywa wkrótce.

Tu wskazał ręką ku gajowi świętemu i chramowi.

- Tam, gdzie dziś bałwanom jeszcze się lud kłania, stanie świątynia

prawdziwego Boga. Mieszko zwleka, skłania się sercem i żał mu starego nałogu, wyuzdania i swobody, w jakiej żył; jednego dnia naszym już jest, drugiego poganinem znowu, przecie zwycięża w nim dobra wola. Reszty wpływ kniehiny dokona. Nie chce on jawnie wystąpić przeciwko starym błędom, lecz daje nam swobodę nawracania. Was jednego mało... Więcej duchownych nam potrzeba. Skąd ich weźmiemy? Niemców naród nie cierpi, choćby mu zbawienie przynosili, to z ich rąk je odepchnie. Czesi w domu mają dosyć do czynienia. Trzeba nam męża, co by powagą, wiekiem, nauką, świętobliwością i kneziowi, i nam przodował, a wiódł, męża doświadczenia i ducha wielkiego.

Dobrosław złożył ręce jakby w zwątpieniu. Włast, a raczej ojciec Matia, milczał pokornie.

- Byliście długo między Niemcami, którzy ze Słowiany graniczą, są tam kapłani naszego języka świadomi? Kneź, który was wezwał, nic wam nie powie, tylko byście na zwiady nad granicę jechali i języka się starali dostać; a ja mówię wam, przyprowadźcie z sobą kapłana, który by owczarni przyszłej mógł być pasterzem.

- Ciężkie brzemię wkładacie na moje słabe ramiona - odezwał się ojciec Matia.

- Pocieszam się tym tylko, że nie ja, niegodny sługa boży, ale Duch Święty wybierać będzie tego, którego zechce postawić na świeczniku. Gdybym do ziemi latyńskiej mógł iść! A! Stamtąd, z Rawenny lub Rzymu przywiódłbym apostoła, lecz za długo nań czekać byście musieli.

Szeptali jeszcze, gdy Dobrosława wezwano do knezia, a ten z sobą Własta poprowadził; Mieszko się go znać spodziewał i łaskawie mu się uśmiechnął.

- Potrzebny nam jesteś odezwał się. Od granicy coś się rusza. Gero czy jego zastępca gotuje się na nas. Trzeba wypatrzeć, co oni tam sponiają, abyśmy w gotowości byli. Jedźcie, patrzcie i wracajcie. Język i obyczaj ich znacie.

Włast się do kolan mu skłonił.

- Miłościwy Panie - rzekł - spełnię rozkazanie Wasze, ile sił starczy.

- A w podróż ludzi i co potrzeba Dobrosław wam dostarczy ze skarbcu mojego

- dodał Mieszko.

Nie dano Włastowi czasu tyle, aby do domu mógł powrócić; ludzi i konie, szaty i zapasy kazano wydać skarbowe. Tak niespodzianie znalazł się młody kapłan przed podróżą, która niebezpieczeństwo groziła, choć kilkanaście godzinami wprzód wcale o niej nie myślał. Lecz że sprawa wiary się z nią łączyła, nie zawahał się na chwilę.

Nazajutrz do dnia musiał wyruszyć.

Wieczorem Srokicha, dowiedziawszy się o jego przybyciu, pośpieszyła do swojego gołąbka, chociaż od czasu, jak się w nim domyślała chrześcijanina, mniej dlań była czułą i z pewną doń przystępowała obawą. Miłość dla dziecka walczyła z odrazą do chrześcijaństwa. Stara spłakała się, mówiąc o losach Hoży, Lubonia, a nawet Dobrogniewy, której teraz żałowała, choć za życia niegdyś ciężką dla niej była. Włast pytany nie przyznał się jej, dokąd jedzie, nie mogąc zdradzać tajemnicy, ale we dworze wiedzieli wszyscy, iż w jakąś podróż się wybiera.

Ani zbyt licznym, ni zbyt szczupłym poczem nie mógł wyruszyć nad Łabę; czterech ludzi, którzy z Niemcami nieraz się już widzieli i u nich byli w niewoli lub na szpiegach, dobrano mu do orszaku. Na czele nich stał Rudy Sulin,

najprzebieglejszy z ludzi na usługach dworu, umiejący być w razie potrzeby Niemcem, Serbem, Wilkiem, Pomorcem, Czechem, bo wszystkimi mowy jakby własną władał, a obyczaj wszelaki znał, jakby się w nim zrodził i chował. Sulina postawa nawet mieniła się, jak mu było potrzeba, i jak zwierzę, co na zimę wdziewa futro białe, aby go nie zdradziła szersść w śniegu, tak on umiał przybierać pozór, jakiego mu było potrzeba. Nie trwożyło go też nic i wesoła myśl trzymała się, choć miecz wisiał nieraz nad karkiem. U Niemców w niewoli umiał się z pęt rozplątać, z jamy wyleźć, z murów spuścić, stróżów złudzić i z rąk im się wysliznąć; z Pomorców i Wilków naigrawał się jawnie. Snu nie potrzebował, jedzenie mu byle jakie starczyło... i drogi człowiek był na te czasy. Dobrosław mu też drogiego sobie Własta powierzył.

Rudy Sulin zarówno jak Włast znał wszystkie ścieżki, przejścia i przesmyki, brody na rzekach, niebezpieczne kąty, gdzie się rabusie zasiadali i chody, którymi przemknąć się było najłatwiej.

Trzej inni ludzie, mający towarzyszyć im, byli, jak potrzeba niemi, posłuszni, silni i czujni. Z innymi też się przedzierać na pogranicze nie byłoby podobna, bo i od Słowian, i od Niemców groziło niebezpieczeństwo.

W czasie niewoli swej Włast przebywał dosyć długo u niemieckiego wojaka, który tu z Frankonii przywędrowawszy, osiadł na zamczku nad Łabą i rycerstwem, a raczej łupiestwem na Słowianach się zabawiał. Była to prawa ręka Gerona, owego strasznego Serbom i Polanom margrafa, który tyle krwi przelał niewinnej, a zwano go Gozbertem.

Takich jak Gero i Gozbert ludzi potrzebowali cesarze niemieccy do tej walki zjadłej z poganami, którą wiedli, chcąc zawładnąć ich ziemią, do czego im nawracanie za pozór dobry służyło. Starym już dziś

był ów Gozbert, ale rzemiosła nie rzucał i wiódł życie, do którego przywykł, na przemiany w swoim burgu uczując i używając lub na łowy przeciw dziczy wyjeżdżając z garścią swych ludzi. Ten to Gozbert niegdy Własta był cesarzowi wraz z sokołem darował, a gdy później ochrzczony i uwolniony wracał do domu kapłanem, zajechał mu się pokłonić i przypomnieć, a był

jako duchowny dosyć miłościwie przyjęty. Teraz też myślał znowu udać się do niego, skąd łatwiej by mu już było do Quedlinburga jechać, szukając kapłana a pasterza.

Zameczek Gozberta sterczał na samej granicy. Było to gniazdo, z którego drapieżna garść wypadała za Łabę, łupy doń znosząc i jeńców. Jeżeli stary rabuś i żołnierz nie był w pochodzie, wesołe życie pędził w swym grodku. Wybaczano mu wiele, bo pogańskiej krwi na obmycie swoich grzechów nie szczędził. On i jego pacholki dokazywali straszliwie, znęcali się okrutnie, rozpustowali ohydnie, lecz zwało się to na wracaniem; człowiek dziczał w takich zapasach, a co dzień narażając życie, płacił sobie za to, używając go bez miary. Dla tych wojaków wyuzdane duchowieństwo też było powolnym i musiało ich rozgrzeszać, bo powstrzymać od grzechu nie było podobna. Stary Gozbert był dwa razy żonatym, ale mu obie jego małżonki pomarły; miał dwóch synów, wychowanych na następców tego rzemiosła, dwór liczny płci obojej i skarbiec dobrze naładowany. Na zamczku też, gdy był w domu, niczego sobie nie żałowano. Z postrzyżonymi głowy, wychudły i wynędzniały niewolnik słowiański służył tej butnej czeredzie, która go na równi niemal ze zwierzęty stawiała. Choć posiwiały w ciągłych bojach, Gozbert trzymał się jeszcze prosto i siłę zachował dawniejszą; ociężały tylko nieco od otyłości, którą obżarstwo i opilstwo sprawiło.

Burg Gozbertów na cyplu między dwiema rzekami wystawiony, szczupły

dosyć, ale uchodzący za niezdojony, zwał się po słowiańsku Uściem, Niemiec go przerobił na Adlerburg. Dokoła tego gródka, wyjąwszy osadę u stóp wzgórza rozciągniętą, z samych Niemców złożoną, pustynia była szeroka. Nikt by w sąsiedztwie Gozberta i jego hałustry nie wytrzymał, nie mogąc ani mienia, ani życia, ani dzieci, ni sług być pewnym.

Pacholkom pańskim czasu pokoju tak wszystko było wolno, jak czasu wojny.

Nie poszanowali własności niczyjej ani żadnego prawa. Sam stary pan i jego synowie Dodo i Berto z trudnością mogli ich w karbach utrzymać. Bywały wypadki, że dla przykładu i wieszać, i ścinać musiano, dawszy się tylko wypowiedać, aby na tamym świecie rachunek znaleźli skończony. Trafiało się, że ci apostołowie po drodze rabowali przez omyłkę kościoły i w klasztorach zakonnice nie szanowali klauzury. Gdy publiczna pokuta w kościele i bosy pochód ze stryczkiem na szyi nie pomógł raz i drugi, musiano w końcu uciec się do miecza. Gozbertowi ludzie sławni byli w okolicy, a w bitwach, dobrze zbrojni i wdrożeni, okrutną rzeź sprawiali; jednakże woleli zawsze napadać na bezbronne osady, w których swobodniej mogli dokazywać.

Pomimo rodzaju życia, jaki wiódł sam pan i jego słudzy, on i oni nadzwyczaj byli pobożni. W tych czasach im kto więcej grzeszył, tym czuł się do większej obowiązany gorliwości i surowości względem drugich i siebie. Gozbert też dla duchownych był z poszanowaniem wielkim, a święta, posty i kościelne uroczystości z nadzwyczajną surowością obchodził sam i dopilnowywał, by je wszyscy szanowali.

Nieraz w wigilię dnia najstraszniejszej rzezi i rozpusty rano wszyscy spowiadali się pobożnie, słuchali mszy i dopiero wzięwszy błogosławieństwo, szli na łupieżę i morderstwa.

Wierząc w to poszanowanie Gozberta dla duchownych, Włast jechał wprost do niego: ubezpieczała go znajomość, kapłańska szata, a wręczcie to, że konie i ludzie, jakich miał z sobą, niepozorni byli i chciwości obudzać nie mogli.

Podróż do Adlerburga nużącą była i długą, bo musieli wymijać osady, często kryć się, aby dać przejść oddziałom kraj przebiegającym, wlec się więcej nocami i rankami niż dniami. Jesień też zaczynała być słotna, strumienie wzbierały, drogi się stawały błotniste, a na brody niewiele rachować było można.

O kilka mil od burgu, zbliżając się ku Łabie, znaleźli się wśród kraju opuszczonego, w którym tylko stare zgliszcza wiosek, porośnięte chwastami, o dawnym ich istnieniu świadczyły. Gdzieś tam mogiła zielona i pogańskie cmentarzysko pamiątką lepszych czasów pozostały. Teraz ludzi tu już widać nie było.

Z dala gniazdo Gozbertowe nie bardzo było pokaźne; dwie małe wieżyczki przysadziste i nieforemne sterczały nad nim, a wyżej jeszcze za nimi gruby stołb odwieczny bez dachu. Wzgórze było łyse, w murach też zieleni żadnej nie dostrzegło oko; ściany dokoła obejmowały i zasłaniały budowy, tak że dachów ich nawet nie widać prawie było nad nimi.

Rankiem wyjechawszy z lasów, przed południem zbliżyli się ku burgowi, u którego stóp pokazała się nędzna miejscina, prawie cała z drewnianych domków złożona. Ponad nią wyżej nieco wznosił się kościelny dach spiczasty z krzyżykiem.

Na drodze krytej, wiodącej do zamku, widać było uwijających się ludzi konnych i pieszych, co Włastowi dawało nadzieję, że Gozberta zastanie spoczywającego w gnieździe. Byli jeszcze o kilka staj od wzgórza, gdy trzech konnych puściło się ku nim ze psami. Byli to Dodo i Berto, synowie pańscy, swawolący sobie i dokazujący z końmi, których ciekawość wzięła dotrzeć do przybywającego orszaku nieznanych ludzi.

Dodo, który był jednego wieku z Włastem i pamiętał go jeszcze z tych czasów, gdy się nad nim jak nad niewolnikiem znęcał, poznał zaraz dawnego towarzysza i wielkim go przywitał okrzykiem. Zsiadł z konia Włast, chcąc go sobie ująć grzecznością, lecz Dodo przypomniawszy sobie w nim duchownego i z poszanowaniem pewnym sam zbliżył się do niego.

- Jakżeś ty się tu zabłąkał, ojczcie Matio? - zapytał, zawsze śmiejący się, gruby już i otyły niemal jak ojciec, młody Dodo. - Czy cię twoi poganie precz wygnali?

- Jeszcze nie, miłościwy grafie - odparł Włast. - Przybyłem z dobrej woli wam i miłościwemu ojcu waszemu, grafowi Gozbertowi, się pokłonić.

- Jedźcież ze mną, rad wam pewnie będzie. Właśnie u nas dnia jutrzejszego w kościele nabożeństwo, duchownych kilku sprowadzono na nie, przydadcie się i wy ze mszą świętą - dodał Dodo. - Ojciec teraz z panami duchownymi obiadauje wesoło, chociaż to dzień postny, ale przy rybach miód i wino

potrzebne.

Dodo i Berto, konie swe powściągnąwszy, jechali, tak rozmawiając, na zamek razem z Włastem, ale na stromą drogę wiodącą do bramy dostawszy się, nie wytrzymali wolnego kroku i rzuciwszy podróżnych na zmęczonych wierzchowcach, sami w cwał na wyprzódki puścili się na górę. Nierychło po nich, gdy już pozsiadali, Włast wdrapał się do pierwszych wrót, które na podwórzec, stajniami i szopami otoczony, prowadziły.

Zewnętrzny ten dziedziniec, pełen koni, wozów, stosów drzewa i wszelkiego łomu, kup gnoju, trzody chlewnej i ptastwa, pastuchów i posługaczy, nie bardzo dobrze o zamku uprzedzał. Wśród tej ciasnoty i wrzawy, ryku i krzyku, przedarłszy się z trudnością, dostali się do bramy i mostu zwodzonego, który do właściwego wnętrza burgu prowadził. Tu stała straż zbrojna, więcej dla zwyczaju niż z potrzeby, a w pobocznych sieniach leżeli pachółkowie porozdziewani spoczywając. Drugi podwórzec lepiej wyglądał; otoczony budowlami murowanymi dokoła i zakończony w głębi wysokim stołbem, który stanowił w razie oblężenia ostatnią obronę i schronienie. I tu jednak gospodarstwo Gozbertowe widać było, bo około studni, w pośrodku pachółków, też swobodnie się wylegujących, rozlegały się śmiechy i głosy.

Na prawo i lewo wąskie drzwi wiodły do komnat pańskich, których

rozporządzenie z dawniejszych czasów dobrze Włastowi znanym było. Tu on zsiadłszy z konia i kilka słów Sulinowi szepnąwszy, udał się na prawo, aby starego grafa pozdrowić. Poprzedzili go już z oznajmieniem dwaj synowie.

Na pierwszym piętrze, na które wiodły wąskie i ciemne wschody, w niezbyt obszernej salce, której strop z olbrzymich, poczerniałych, rzeźbionych belek był

złożony, za stołem, za stawionym cynowymi kubkami i dzbanami, siedział stary graf, otoczony gośćmi swoimi. Obiad był już skończony, a kości od ryb pozostałe na miskach świadczyły, iż post ściśle zachowano; po twarzy Gozberta zarumienionej poznać też było można, iż do dzbanka zaglądał.

Z prawej strony siedział w czarnej sukni duchowny z włosiem siwym i twarzą poważną a surową, za nim drugi, młodszy od niego, w którego oczach rozum i życie połyskiwało, jeszcze walką nie wyczerpane. Oba na łańcuchach krzyże złociste mieli na piersi. Opoдал nieco młodziechny w sukni kapłańskiej, z twarzyczką jeszcze zaledwie rozkwitłą, z oczyma spuszczoneymi skromnie, pokornie małe miejsce zajmował, jakby jak najmniej chciał być widocznym.

Po lewej ręce Gozberta, rozparty butnie, na wpół leżąc na stole, w kaftanie skórzanym, z ogromnym wąsem, z włosiem czarnym najeżonym, z dumą na czole i w oczach, siedział rycerz jakby tylko co ze zbroi rozdziany, spoglądając po towarzyszach swych z lekceważeniem. Za nim jeszcze podobna do niego, ale pokorniejsza postać wojaka tuliła się w cieniu pod ścianą. Dwaj synowie grafa stali, tylko co powróciwszy, przy ojcu.

Przez ciasne okna z zabudowanego podwórza światło mało co wpadało do

izby, która wyglądała smutnie. W głębi jej nie zgrabny, szeroki, nadzwyczajnych rozmiarów komin od

jesiennego chłodu nałożonym ogniem obraniał. Pod jego kapturem kilku rycerzy takich pomieścić się mogło wygodnie. Para kłód suchych dogorywała w jego głębi. Na jednej ze ścian komnaty widać było olbrzymi krucyfiks drewniany, odziany do kolan białą koszulą, którego włosy rzeźbiarz, zwątpiwszy o dłucie, zastąpił ludzkimi. Straszna ta postać, nieforemnie wycięta, w istocie bolesne czyniła wrażenie. Na innych ścianach pomalowane były z niewielkim kunsztem jaskrawe kwiaty i liście, wśród których zaledwie dostrzec się dawały ludzkie jakieś postacie. Pod ścianami stały ciężkie ławy stare, z dębu wyciosane, i skrzynie do siedzenia zamczyste. Na nich porzucone płaszcze, pozdejmowane świeżo stroje, odpasane miecze się walały. Kilka psów leżało i chodziło, szukając na próżno po podłodze zwykle im rzucanych kości.

Przez otwarte drzwi do drugiej izby dostrzec było można, na czterech słupkach z podniebieniem drewnianym stojące, łoże i sypialnię znać grafa Gozberta. Ciężkie powietrze przesycone wonią piwa, wina korzeniami zaprawionego i jądła stanowiło atmosferę izby tej, na zamku najobszerniejszej i najozdobniejszej pono. Mieszkańcy zamkowi więcej też w polu niż tu przebywali, a gdy chronili dla spoczynku, wszystko im było dobrym. Gdy Włast przystąpił z pokornym ukłonem do grafa, stary zwrócił się ku niemu swą czerwoną twarzą i uśmiechnął, potem, miejsce koło duchownych wskazując mu na ławie, zawołał:

- Będiesz, ojczy Matia, między swoimi; siadaj, a jeżeliś głodny, każ sobie co dać, boć się jeszcze może znajdzie, a nim co będzie, napij się. Na czczo to zdrowo, po jedzeniu zdrowo, wśród jedzenia zdrowo i nigdy nie szkodzi. - To mówiąc, nalał

w kubek ze dzbana i prawie gwałtem wcisnął go Włastowi, który szepnąwszy cicho, że pije za zdrowie i pomyślność grafa, poszedł z nim zabrać najniższe miejsce za młodym duchownym.

Oczy dwóch dostojników, siedzących wyżej u stołu, ciekawie się ku niemu zwróciły. Pokornie siadłszy, miał czas spocząć i rozpatrzyć się, gdyż rozparty na stole wojak, który na chwilę przerwał jakieś opowiadanie, natychmiast począł

ciągnąć je dalej. Głos jego z głębi szerokich piersi jak z więzienia wychodzący brzmiał dziwnie ostro i zdawał się przejęty goryczą jakąś i boleścią. Twarz też wyrażała i dumę, i zniechęcenie razem.

Rozdział 3.

Rozmowa między gośćmi grafa Gozberta, gospodarzem, duchownymi toczyła się dalej, nie przzerwana przybyciem Własta, który ustronne miejsce zajmawszy, cicho się jej przysłuchiwał. Odbijało się w niej to, co podówczas najmocniej Niemców zajmowało: szczęście i wielkie wyniesienie się Sasów, losy Ottona i wspomnienie ojca jego Henryka .

Rozparty ów rycerz z twarzą dumną zdawał się być lepiej od innych

uwiadomiony o wszystkich przygodach cesarskiego domu, do którego krwią i powinowactwem należał, choć wnosząc z mowy i złośliwych przycinków, nie bardzo był mu życzliwym.

- Wy może i nie słyszeliście - mówił sparty na stole - o pierwszej żonie króla Henryka, bo

świętobliwa Matylda pamięć tamtej zatarła, ale ludzie wiedzą i pamiętają piękną Hateburge. Nie zawsze nasz cesarski ród tak był Kościołowi posłuszny i świętobliwy jak teraz. Było to wówczas, gdy się Henryk wsławił

podbiciem Głomaczów i zawojowaniem ich ziemi nad Łabą. W Merseburgu, na starym mieście, żył niejaki Erwin, do którego ono prawie całe należało. Miał tylko dwie córki, z których jedna Hateburga, słynna z piękności, owdowiawszy młodo, zakonną zasłoną się przyodziła. Przecież, gdy urodziwy Henryk się do niej zgłosił, wołała go za męża wziąć niż ślubu dotrzymać. Gdy się o tym przewielebny Zygmunt, biskup halbersztadzki dowiedział, zwłaszcza że Hateburgi wiano znaczne klasztorowi odpadało, pozwał nieprawych małżonków przed synod i klątwą im zagroził. Ledwie się Henryk wyprosił cesarza, że sprawę do jego przybycia odłożono. Zwlekła się ona, a tymczasem Henrykowi się Tammon narodził. Żyli z piękną Hateburgą, póki Henryk młodszej i ponętniejszej Matyldy nie poznał.

Dopiero, gdy go ta ujęła za serce, równie wdziękami, jak i bogactwy, przypomniał

sobie pan, że to pierwsze jego małżeństwo grzesznym było i nieprawym; więc starszą Hateburge rzuciwszy, ku młodej przysłał Matyldzie, która jest matką dziś panującego Ottona.

- Nie jest to żadną tajemnicą - odezwał się starszy z duchownych poważnie -

boć ludzka rzecz błądzić, a gdy się kto, choć późno, poprawi, zawsze lepiej, niżby w grzechu pozostał. Świętobliwej zaś pani Matyldy...

- Skłaniam i ja przed tą panią głowę - odparł Wigman - ale gdy sławia cnoty Henryka, czemu bym i lekkości jego nie miał przypomnieć?

- Lekkości ludzkie lepiej - rzekł duchowny - milczeniem przysłaniać, aby drugich do popelniania ich nie ośmielały.

- Dostojny ojczy - odezwał się Wigman - ani milczenie pomoże, ni gadanie zaszkodzi, ludzie ludźmi będą i krewkami. A nasz dzisiejszy cesarz jestli wolen także od wszelkiego zarzutu?

Na to ze śmiechem rzucone pytanie zamilkli wszyscy, gospodarz spojrział na cesarskiego powinowatego i mruknął:

- A cóż mu zarzucacie?

- Alboż wdowy po Longobardzkim Ludwiku, którą sobie Berengary

przeznaczał, nie zachciało mu się na sam odgłos o jej piękności? Albo mu jej skrycie i podstępnie nie odmówił?

- Jak to odmówił? - przerwał Gozbert. - Berengary Adelajdę posadził do więzienia, głodem i musem męczył ją, chcąc sobie pozyskać. Litością zdjęty pan nasz po drodze do Rzymu wstąpił, by ją oswobodzić, a gdy mu sprzyjała, czemu się z nią nie miał połączyć?

- Jak ojciec, tak syn - zawołał Wigman szydersko - szczególnie do wdów pięknych a bogatych smak mieli! O mało potem nie przypłacił za piękną Adelajdę drogo, bo mu się syn własny zbuntował, bojąc, aby z nowego małżeństwa dzieci mu nie odebrały części dziedzictwa.

- Czemuż o tym nie mówicie raczej, - odezwał się duchowny, - jako ten nasz pan wielki, bohaterski, mężny, jakiemu równego cnotą i odwagą nie mieliśmy, potrafił zmóc zbuntowanego syna, zwyciężyć Berengarego i złamać wszystkich nieprzyjaciół swych, a precz odżec Ugrów i państwa granicę rozszerzyć i nad Rzymem, stolicą świata, zapanowawszy, cesarską uwieńczyć się koroną?

- Mój ojciec - zawołał Wigman - póki człek żyje, sprawa to nie skończona!

Miłościwy cesarz dwa razy do Rzymu chodzić musiał robić porządek, jednych ze stolicy apostolskiej zrzucić, a drugich na niej sadzać... Kto wie, co jeszcze będzie?

- Niech nas Bóg uchwata, by gorzej lub inaczej być miało! - zawołał graf Gozbert.

Wigman się uśmiechnął chytrze.

- Tu jeszcze, na wschodniej granicy, dużo do roboty zostało, - rzekł. - Czeski Bolko wprowadzie nam na Ugrów pomógł, ale to jego była sprawa tak dobrze, jak nasza, a kto wie, z kim jutro trzymać może? Nie przysiągłbym, że z Ugami na nas pójdzie. Ze Słowiany też, ilu ich jest, roboty dosyć i na długo.

Gozbert się uśmiechnął.

- Nie bojemy się ich, nie bojemy! Jakeśmy Bolka czeskiego wzięli, tak z pomocą bożą i Mieszka polańskiego zwalczymy.

Wigman się rozśmiał.

- Cny grafie, gospodarzu mój - rzekł - nie godzi się, abym ja chleb wasz jedząc, wam ościami oczy wykałał, ale ci Słowianie, Polanie, Wilki, Milżyńcy i jak oni się tam zowią, to dla nas dobra rzecz. Są oni jak staw, w którym się ryba rodzi.

Gdy Geronowi lub wam szczupaka na stół potrzeba, siedziecie na konie i pojedziecie na rybołówkę na pewne. Trzeba wam niewiaśc, nabierzecie ich sobie do wyboru; trzeba parobków i tych dostarczą wam lasy i osady, tak samo jak bydła i owiec, i miodu, i wszelkiego łupu.

Gozbert się nieznacznie uśmiechnął, a Wigman mówił dalej:

- Mnie się widzi, miłościwy grafie, że gdyby ze Słowiany i Polanami pokój nastał, gdyby się oni pochrzcili i przyszli z pokojem, uczyniliby wam krzywdę niemałą.

- Dałby to Bóg - przerwał starszy z duchownych - aby wiarę świętą przyjęli!

- Ale cóż by naówczas robił Gero na wschodniej granicy, co by poczynał cny Gozbert, nie mając nic do roboty? A na ostatek może i takiemu jak ja, odrażonemu od pańskiego oblicza Wigmanowi, oni, Słowianie, na co się przydali?

Gozbert popił z kubka, węża pokręcając zadumany.

- Co się tyczy Słowian wszystkich - rzekł - nie troskajcie się, do przyjęcia wiary przez nich daleko. W Czechach, gdzie na gwałt kościoły budują, po lasach ofiary sprawiają jak dawniej, lud stoi przy swoich drewnianych bożyszczach i niełacno je porzuci.

Włast, który milczał dotąd, nie mógł się powstrzymać, aby nie powiedzieć cicho:

- Da Bóg, że się to odmieni.

Spojrzeli na niego duchowni i Gozbert, a z pogardą z dala oczyma zmierzył

Wigman, lekce go sobie ważąc widocznie.

- A jakże się to ma zmienić? zapytał Gozbert.

- Nie jest to już tajemnicą żadną, że kneź Mieszko żeni się z córką Bolka czeskiego Dubrawką, która chrześcijanką jest. Z nią, przy pomocy bożej, wiara Chrystusowa do nas zawita i rozkrzewi się.

Gdy Włast wyrzekł te słowa - do nas, - z uwagą większą poczęli nań spoglądać wszyscy. Wigman w niego wlepił oczy.

- Kapłanów nam tylko mężnych a gorliwych potrzeba - dodał Włast. -

Szczególniej, co by język ludu rozumieli i przemawiać doń mogli.

- Sto lat upłynie, sta kapłanów zginą - począł Wigman - a wy z waszą dziczą ślepą nie przejrzyście! Słowianin jak szczenię ślepo się rodzi, ale pies prędko przeziera, a on na zawsze ślepym zostaje!

Na te uwłaczające narodowi wyrazy Włast, zarumieniwszy się, zrazu

odpowiedzieć nie umiał cesarskiemu powinowatemu, który z własnego porównania śmiał się sam, bo mu jakoś nie wtórowali drudzy.

- Duchownym jestem - odezwał się Włast - w końcu nie wypada mi nic

innego, tylko obelgę znieść i przebaczyć. Miłościwy panie, - dodał jakby natchniony,

- jako od duchownego przyjmijcie to życzenie, aby was Bóg nie pokarał i nie upokorzył, a oręza wam przed owymi ślepcami składać nie zmusił.

Słyszac tę odpowiedź, dumny Wigman z oczyma zaiskrzonymi i pięścią

zaciśniętą zwrócił się do Własta:

- Milcz, ty klecho jakiś! - zawołał. - A dziękuj swej sukni i gościnie tej, że ci na wieki pyska wszetecznego za to życzenie zamknąć nie każe. Wigman ani przed cesarzem, bratem swym, nie

upokorzy się nigdy, cóż dopiero przed parszywymi jak wy poganami!

Mowa ta gwałtowna, nieprzystojna, a niezasłużona, widocznie nikomu z

przytomnych się nie podobała, bo wszyscy umilkli; duchowni zaś na Własta spojrzeli, jakby chcąc się przekonać, co uczyni i jak się znajdzie.

- Dziękuję wam, miłościwy panie - odezwał się Włast - iż mnie cierpliwości uczyć raczycie, a przypominacie naukę Zbawiciela, która uderzonemu w policzek drugi nastawiać każe. Najnędniejszy i niegodny sługa boży, szczęśliwy jestem, gdy cierpieć mogę...

Wigman już prawie odpowiedzi tej nie słuchał, ze dzbana nalał sobie miodu i pić go zaczął chciwie, plecami się potem zwróciwszy do Własta, sparł się tak na rękę, by na niego nie patrzył i mógł nawet o przytomności jego zapomnieć.

Czas jakiś panowało milczenie, duchowni wszyscy z pewną ciekawością i poszanowaniem spoglądali na Własta, który, już zupełnie ochłonawszy i pobladłszy, spokojnie na swoim miejscu siedział. Gozbert parę razy na niego spojrzął tak, jak by też z odpowiedzi, którą za zuchwałą uważał, nie bardzo rad był.

Wigman zaś, unikając nowej zaczepki i przedmiot rozmowy chcąc zwrócić ku czemu innemu, począł mrużąc opowiadać, wedle powszechnej w owym czasie wiary, iż mu ojca jego duch często się nocami pokazywał, co on miał za sprawę jakąś i pokusę szatańską.

Starszy z duchownych na te słowa odezwał się:

- A dlaczegóż by w istocie duch ojca waszego nie miał przybyć do syna, żądając od niego pomocy?

- Bo, - zawołał Wigman, - włóczyć się duchom umarłym po ziemi, na której już nic do czynienia nie mają, pewnie Pan Bóg nie dopuszcza.

Mówił to szydersko, gdy starszy z duchownych, wysłuchawszy go, począł:

- Jest rzeczą jednak pewną i mnogimi przykładami wiarogodnych osób

stwierdzoną, iż duchom zmarłych często bywa dozwolonym ukazywać się na ziemi.*

Gdy świętej pamięci król Henryk, ojciec Miłościwego Pana, cesarza naszego Ottona, wielką mocą podbił Czechów, Dalemińców, Obodrytów, Wilków, Hawłów i

Redarów, a przywiódł ich do posłuszeństwa, dzikie te plemiona, udając uległość i pokorę, zrazu dań składały i siedziały spokojnie. Lecz nie potraowało to długo, gdyż ze zwykłym sobie uporem wnet potem, korzystając z tego, iż król Henryk gdzie indziej był zajęty, powstały nagle i wielkimi tłumami na padły miasto nasze Walislewo, szturmem je opanowały i rzeź sprawiwszy straszliwą, z dymem je puściły. Ale nie dał się im Henryk długo cieszyć owocem zdrady i pomścił na ich grodzie Łenczynie krzywdę swoją. Walislewo zaś na nowo odbudowano. Tu nowo ustanowiony pleban, pobożny człek, zwykł był zawsze o pierwszym brzasku zorzy iść do kościoła na jutrznię.

* Z Kroniki Ditmara (przypis autora, który przytacza dalej szereg cudownych zdarzeń za tym kronikarzem, księga I, 11- 12).

Raz, gdy doń tak zmierzał i wszedł na cmentarz, zdumiał się mocno i osłupiał, widząc zgromadzony tłum ludzi, cisnących się do nieznanego kapłana, stojącego we drzwiach kościoła i przynoszących mu ofiary. Zrazu tak był widokiem tym przerażony, iż naprzód kroku postąpić nie śmiał. Nabrawszy jednak męstwa, począł

się przez tłum ów przeciskać, z podziwieniem nie widząc między ludźmi ani jednej znajomej twarzy. Szedł tak ku drzwiom kościelnym, gdy na drodze spostrzegł

niewiastę przed tygodniem zmarłą, która go spytała, czego by tu żądał. A gdy jej opowiedział, iż modlić się szedł, odparła mu, że już modlitwy i bez niego odprawione zostały, dodając: "A ty też niedługo na tym świecie żyć będziesz".

Zamilkli wszyscy i Wigman też, który cierpliwie słuchał, gdy drugi kapłan dodał, iż w Magdeburgu nocą w kościele kupców coś podobnego widywano, że się tam dusze zmarłe nocą, zapaliwszy świece na ołtarzu, zbierały i odprawiały psalm, jutrznię i laudes , a gdy brzask dnia nastawał, wszystko to znikało.

Za czym i najmłodszy kleryk nieśmiałym głosem, zapytał ojca

duchownego o pozwolenie, dodał ku temu, jako z ust szanownego starca słyszał, iż za biskupstwa czcigodnego Baldryka, który na utrechkiej siedział stolicy, w mieście Doventer, kościół bardzo stary i na pół rozwalony podniesiono i na nowo poświęcono. Ustanowiony pleban, jednego dnia rano bardzo przybywszy cicho do kościoła, ujrzał go pełnym nieboszczyków, przy światłach zapalonych

odśpiewujących pieśni kościelne. Natychmiast o tym doniósłszy biskupowi, otrzymał

rozkaz od niego, aby następnej nocy sam się w kościele na straży spać położył. Tak się też stało. Aliści ledwie usnął, gdy go zbudził hałas i porwany przez zmarłych wraz z pościelą precz z kościoła wyrzuconym został. Biskup, ścierpieć tego nie mogąc, surowo mu polecił, wzięwszy z sobą relikwie święte i pokropiwszy wodą święconą, stać na straży kościoła. Spełnił rozkaz jego pleban, lecz oka zmrużyć nie mógł i modlił się. Aliści o zwykłej godzinie tłum nieboszczyków znowu wtargnął do kościoła i z miejsca pochwywszy kapłana, złożyli go przed wielkim ołtarzem, tu go na wolnym ogniu paląc, aż zgorzał. Po czym biskup post trzydniowy i nabożeństwo za dusze zmarłych nakazał.

Gdy młody duchowny skończył, najstarszy z nich potwierdził to opowiadanie i wszyscy zamilkli. Średni zaś siedzący za nim, dodał:

- Nie godzi się nam śmiertelnym wiedzieć więcej, a jak święty Paweł upomina:

"Każdy ma rozumieć wedle swej miary, jaką mu Bóg wydzielił" .

Moja zaś miara tak jest maluczka - dodał Wigman - iż ja niewiele z tego wszystkiego rozumiem.

Zgorszono się tym powiedzeniem wielce, ale krewniakowi cesarskiemu

zmiłczano.

Już też i on, i Gozbert, zmęczeni tą rozmową i kuflami, ziewali, wyciągali się i szukali innego przedmiotu, a że nieszpornego nabożeństwa nadchodziła godzina, starszy z kapłanów wstał prosząc, aby ich do zamkowej prowadzono kaplicy.

Syn grafa Gozberta, Dodo, ze ściany wzięwszy klucze, począł iść, wiodąc ich za sobą. Włast też im towarzyszył. Zeszli z pierwszego piętra znowu w podwórze zamkowe i aż do końca jego pod stołb się dostawszy, gdy tu drzwi mocne, dębowe Dodo otworzył, znaleźli się w niskiej i ciemnej izdebce za kaplicę służącej. Jedno okno oświecało ją z głębi, naprzeciw którego ołtarz stał skromny, a przy ścianach ławy i siedzenia dębowe. Taż sama prostota jak w mieszkaniu panowała w domku bożym, który świeczniki miał drewniane tylko i wszystek niemal sprzęt takiż.

Chrystus też podobny, wiszący na krzyżu, okryty koszulką, z włosami na głowie, ścianę jedną zajmował. Najstarszy z duchownych rozpoczął nieszpory, a inni mu wszyscy odpowiadali. Nabożeństwu temu jednak z zamkowej gawiedzi nikt nie był

przytomnym, nawet młody graf Dodo do ojca powrócił.

Już słońce było nad zachodem, gdy wszyscy czterej kapłani, z kaplicy wyszedłszy, a przykrząc sobie znać towarzystwem dumnego Wigmana i za dusznym izby powietrzem, na ławie kamiennej w podwórzu, naprzeciw studni usiedli dla rozmowy.

Włast szczególnie obudzał ciekawość ich i radzi byli dowiedzieć się o losach jego a przygodach. On też tajenia się z nimi przyczyny nie miał i na zapytania odpowiadając, całą im swojego żywota historię opowiedział. Na ostatek, gdy do podróży tej przyszło i jej celu, rozgrzany nadzieją uczynienia czegoś dla kraju, powstał Włast z ławy i złożywszy ręce, jął mówić do starszych kapłanów:

- Ojcowie i panowie moi, do was zwracam teraz mowę moją serdeczną. Azali nie lepiej i nie zgodniej z nauką Zbawiciela kraj nasz nawrócić niż burzyć go i niszczyć? Pragniemy wiary i wołamy apostołów. Z niebezpieczeństwem życia dostałem się tu ufając, iż dla nowej owczarni, dziś szczupłej jeszcze i małej, pasterza znajdę. Dajcie mi go!

Wysłuchawszy tej mowy, starszy mu odparł, że sam podobne apostołstwo między świeżo ledwie nawróconymi pogany mając w Mysznach, choćby pragnął, oddalić się nie może. Zarazem jednak ku towarzyszowi średnich lat, śmiałego oblicza i pogodnej twarzy obrócił się.

- Ojczy Jordanie - rzekł - językaście Słowian i obyczajów, a zabobonów ich świadomi. Azali wam, miasto spokojnej plebanii, wojownicze pasterstwo, gdzie nieustannie wilki odganiać trzeba, się nie uśmiecha?

Milczał ksiądz Jordan i zadumał się.

- Więcbym miał moje owieczki opuścić na polu, a szukać obcych i

nieznanych? - zapytał z uśmiechem po chwili.

- Mój ojciec - odparł Włast - owieczki te wasze już drogę z pola do owczarni znają i pasterz się dla nich szybko znajdzie niż dla tych naszych zdziwionych, które wilki chwytają na pustyni. Wprawdzie kneź nasz, Mieszko, ani sam chrztu jeszcze nie przyjął, ani mógł ludowi wiarę nową ogłosić. Cierpliwy to jest pan i rozumny, a choć w nim stary poganin się odzywa i walczy z rodzącym się neofitą, w Bogu nadzieję mamy, iż zwycięży ostatni. Przez niewiastę przyszedł grzech na świat -

dodał Włast - ale też przez niewiastę przyszło na świat odkupienie i przez niewiastę wszędzie, jak owe, co balsam niosły, wchodzić będzie wiara między narody. I nam przyniesie ją Dubrawka, pani wielkiego męstwa, która się nie lęka nie ochrzczonego rękę podać kneziowi, aby go do chrztu przywiodła.

Ksiądz Jordan, wysłuchawszy mówiącego Własta, ujął go obiema rękami i pocałunek dał mu braterski wołając:

- A wielu was tam jest, takich jak wy, ojciec Matia?

Wstydem zapłonęło oblicze młodego duchownego, spuścił oczy i dodał:

- Ojciec mój, takich jak ja znajdzie się pewnie wielu, a lepszych życzę i spodziewam się. Nabierzcie tylko ochoty do apostołstwa i jedźcie ze mną, jedźcie ze mną!

To mówiąc ukląkł i za nogi go uściskał, a powstawszy mówił dalej:

- Ojciec mój! Niewymowną miłością kocham tych moich braci, będących w

ciemnościach, ten kraj mój odcięty od świata, który wy dzikim zowiecie i pogańskim. Tak, czci on bałwany i światła nie zna, bo mu go nie ukazano, ale, wierzcie mi, żadne plemię może tak usposobionym nie było do poznania i umiłowania prawdziwego Boga. Pradziadowie nasi nie znali też, tylko jedno bóstwo najwyższe, wszechmogące, zabobon stworzył duchy pomniejszych, ojcowie nie znali wielożęstwa, niewiasty nasze niepokalaną czystością sławiły się, mężowie gościnnością dla swoich zarówno i obcych. Gdy słowo boże padnie na tę rolę żyzną, wierzajcie mi, zrodzi ono owoce złote.

- Tak, mój synu - odparł starszy duchowny chcąc wierzyć, że cię nie zaślepiła miłość do swoich, lecz rola ta żyzna chwastem od wieków zarosła i krwią ją polewać trzeba.

- A cóż czynili apostołowie po odejściu Chrystusa Pana? Azali im nie

polecono nawracać narody i nieść światło w najodleglejsze świata końce? - rzekł

Włast.

Tak rozmawiając a ożywiając się, nieznacznie wyszli z podwórca i

przeszedłszy bramę, w której straż stała, znaleźli się prawie sami, nie wiedząc jak, w pierwszym podwórca zewnętrznym, w którym większy jeszcze ruch i wrzawa panowała niż z rana. Tłum

zamkowy do bramy pierwszej się cisnął, w którą właśnie grupa ludzi zbrojnych, wracając znać z jakiejś wyprawy, wjeżdżała. Okrzykami witano tych bohaterów, lichy zbrojnych w lada jakie blachy kawałki, oszarpanych, obłoconych, pokrwawionych i pijanych.

Konie, na których jechali ludzie grafa Gozberta, ledwie się na nogach trzymały i robiły bokami, obciążone przez jeźdźców i sakwy łupami wyładowane. Na czele gromadki jechał, wielce do pana swego podobny, otyły brzuchacz, osiwiwały w tych wyprawach i rozbestwiony nimi, z brodą szarą, umazany na rękach krwią, z wargami sinymi i oczyma czerwonymi. Ujawszy się w bok, spoglądał dumnie poza siebie na jadących pachółków. Ci dokoła opasywali razem z trzodą pomieszanych ludzi, po większej części rannych, sińcami okrytych, z głowy okrytymi, z rękami w tył

powiązanymi. Pomiędzy nimi szły i kobiety młode, prawie nagie, z włosami rozpuszczonymi, zapłakane, niosące dzieci na rękach lub tulące twarz i piersi ze wstydu. Mało było starców, niewiele dzieci. Te, których płacz im dokuczał, Niemcy po drodze, o drzewa głowy im roztrzaskując, porzucali. Okropny widok wystawiała ta gromada jeńców, a jednak serca chrześcijan tych nie poruszały się litością, śmiano się i radowano dziko z tej niewoli pogan, których nie wyżej od bydła ceniono.

Rycerze grafa Gozberta, stojący na zamku, zbiegli się wszyscy przypatrzeć niewolnikom, szukając między nimi, nad kim by się zwierzęco znęcać mogli. Oprócz ludzi prowadził ów Moryc, dowódca oddziału, stado owiec tłustych i kilkadziesiąt sztuk bydła, witanych okrzykami przez załogę.

Hałas i wrzawa na dziedzińcu i wesele było tak wielkie, że siedzący dotąd z Wigmanem przy stole Gozbert, któremu syn doniósł o powrocie Moryca, wyszedł też się pocieszyć widokiem łowów szczęśliwych.

Były one w istocie pomyślniejsze jeszcze, niż się na oko zdawało. W liczbie jeńców, których Moryc wiodł za sobą, był skępowany dwukrotnie powrozami sławny wódz Słowian, Samo, który napadał od dawna niemieckie osady i

nielitościwie je plądrował. Nie miał on litości nad Niemcami i od nich się też jej nie spodziewał. Nie ujęliby oni Samona, gdyby nie zdrada. Inny Wend, imieniem Zmiej, który się z nim zadarł, naprowadził nań Niemców i śpiącego dał im w ręce. Samo się bronił wściekle, ale cóż mógł jeden przeciw dwudziestu? Przeszyty kilką strzałami, z głową roztrzaskaną, pokaleczony, związany nareście, włókł się milczący, wiedząc, iż na śmierć idzie. W sercach innych ludzi byłby wzbudził politowanie, tak mężnie i dumnie znosił swoją niedolę. Człowiek ten był żubrzej siły i rozrostu, ogromny, ponurego wejrzenia i twarzy spalonej. W tej chwili spływająca po niej krew nie pozwalała rysów dopatrzyć, białka oczów tylko świeciły na twarzy oblanej szernią posoką. Ani jęk, ani słowo nie wyrwało się z ust jego, oczów prawie nie raczył

zwrócić na katów. Patrzył tylko w ziemię i na tych, co szli razem z nim w niewolę pędzeni. Smagano go biczem, dzieci rzucały kamieniami, nie drgnął nawet; urągano mu się, nie słuchał.

Włast, któremu człowiek ten przypominał tylu podobnych braci, spojrzął na niego z politowaniem. Towarzysze jego duchowni patrzali ze zgrozą. W tłumie opowiadano o tym, co Samo wyrządził Niemcom.

W tej chwili wyszedł graf Gozbert, a Moryc, zsiadłszy z konia, do nóg mu się pokłonił, wskazując na zdobycz, którą był dumny.

Graf poklepał go po ramieniu.

- Samona waszej miłości przywiodłem! - zawołał dowódca. - Mogę pochwalić się tą zdobyczą. Dziewcząt młodych jest ze sześć, niewiast kilka niczego, ludzi do roboty zdatnych tylko braliśmy, starców pozabijano. Dzieci kilkoro dla księdza przyprowadziłem, aby je pochrzcili. Małych nie bardzo było czym żywić, bo kto by tam je chował, te gadziny!

Graf Gozbert opatrywał łupy, rad był widocznie.

- Cóż z Samonem wasza miłość uczynić każe? - zapytał Moryc.

- Powiesić, i to zaraz! - odparł graf krótko. - Jutro święto jest, nie warto go psuć taką robotą.

- Powiesić pod ręce, aby się męczył dłużej - dodał Moryc - bo jużci tak krótką, łagodną śmiercią tego zwierza pozbyć się nie godzi. Zasłużył na to, aby się z nim pobawiono. Naszym wydzierał wnętrzności.

- Zróbcie z nim, co chcecie - mruknął graf - byle do jutra było skończonym.

Jutrzejszy dzień chcę poświęcić nabożeństwu cały.

Obszedłszy dokoła owo stado ludzi i zwierząt, z którego widoku się radował, Gozbert jeszcze raz oświadczył swe zadowolenie dowódcy, obiecał mu nagrodę i poszepnął coś do ucha, a sam ku pierwszemu podwórzu się zawrócił.

We wrotach stali duchowni, oprócz może księdza Jordana i Własta, zimnym okiem spoglądający na męczarnie nieszczęśliwych jeńców, którzy już na ziemię padli odrętwieli znużeniem. Depcząc po nich, chodzili pachotkowie i wybierali, a dzielili ich, gdzie który miał być zapędzony. Jęków ani skarg słyszeć nie było, dzieci tylko płakały.

Uprzedzając noc i spełniając rozkazy grafa, Moryc kazał wywlec Samona za mury, opatrzywszy miejsce, gdzie miał być powieszony. Samo spędzony wstał i wleczony sznurami wyszedł, znikając z oczów przytomnym.

Mrok padał, gdy duchownych wezwano na wieczerzę do grafa. Zastali tu

zastawiony stół rybami i mleczywem, ponalewane dzbany, a Wigmana przed ogniem wyciągniętego na ławie. Wszyscy, jak z rana, pozajmowali miejsca swoje. Starszy kapłan odmówił *Benedicite* i biesiada poczęła się zrazu milcząca. Pierwsi do misy sięgnęli Wigman i grafowie, potem duchowni, na ostatek szary koniec, Włast i młody kleryk przy nim siedzący.

Rozmowa nie była jak z rana poważną; Gozbert, unikając tego, nastroił ją wesoło, a choć miał przy stole kapłanów, nie wahał się dopuszczać żartów cynicznych. Wigman wszakże nie dał się nimi rozbudzić z odrętwienia, jakie go napadło, mówił mało, zdawał się drzemającym i zamyślonym.

Zamknął się cały w sobie, jak gdyby osnuwał coś potajemnie. Gdy Gozbert doń mówił, zdawał się nie słuchać. Tak, mimo usiłowań gospodarza, wieczerza dosyć upłynęła smutnie.

Wigman tylko, gdy się psy pod stołem gryźć zaczęły o skorupy od jaj, ości od ryby i resztki jadła, które im rzucono, ozwał się, jakby sam do siebie:

- I pies ma pamięć krzywdy a pragnienie zemsty. Jakżeby człowiek miał ją zapomnieć?

A gdy na mówiącego patrzano, dodał:

- Byłem raz u krewniaka mojego, Arnolfa, który nad Bawarią miał władzę; siedzieliśmy przy stole z wielu innymi, gdy do człowieka jednego nagle podskoczył

pies, ugryzł go i uciekł. A że nikomu innemu nic złego nie uczynił, zdziwiło to nad miarę wszystkich. I spostrzeżliśmy, że człowiek ów drżał, cały pomieszany, którego gdy naglić počęto, ozwał się głośno:

- Pies ten wiedział, co uczynił; pana jego, spotkawszy śpiącego w lesie, ubiłem. Naówczas on próżno obronić się go starał, dziś mnie obwinia i zemstę wywiera, i widzę to, że lub tu, lub na przyszłym sądzie, wszelki winowajca nie uniknie kary*.

*Ditmar (przypis autorski – z *Kroniki Thietmara* – Liber I 27/16) Skończywszy opowiadanie, Wigman dodał głośno:

- Chociażby był cesarzem!

Wychylił potem kubek i dodał jeszcze:

- A Wigman, choćby psem miał zostać, pomści się i ukąsi.

Nierad tej mowie, Gozbert popatrzał groźnie na Wigmana, ale dumny krewniak cesarski, nie zważając na to bynajmniej, zamyślił się znowu i tak do końca wieczerzy, na gospodarza już ani patrząc, ani doń mówiąc słowa, pozostał.

W milczeniu pijących porzucili duchowni i przed północą, dla jutrzejszych mszy, udali się na spoczynek. Gdy Włast izby swej górnej, w której mu posłano wraz z klerykiem, okno otworzył, ujrzał w świetle księżyca, na belce z muru wystającej, zawieszone ciało Samona, którego głowa, opadła na piersi, koniec męczarni zdawała się zwiastować. Okropny ten widok łzy mu na powieki wycisnął.

Na jedno oka mgnienie błysnęła mu wątpliwość, czy chrześcijanie ci

prawdziwymi są synami bożymi, i wnet jako grzech odpychając ją, padł na kolana, aby się modlić.

Rozdział 4.

W kilka dni później Włast już ze swej wycieczki powracał, uspokojony tym, że nie jechał sam. Obok niego, po prawej ręce, w milczeniu odmawiając pacierze kapłańskie, ksiądz Jordan rozpatrywał się

po kraju, w którego granice już wkroczyli.

Ten sam to był kapłan, którego Opatrzność mu nastęczyła na Adlerburgu, u grafa Gozberta. Z niemałą trudnością udało mu się go nakłonić. Nie mógł mu obiecać nic, czym by go mógł pociągnąć i zachęcić, nie ofiarował mu nic oprócz apostołstwa, widoku walki, a może męczeństwa. Lecz obok poczwarnych istot, które wieki te rodziły, religia chrześcijańska, ilekroć padła na serca czyste, na umysły wielkie, na wybranych, tworzyła z nich ludzi poświęcenia i świętych.

Ksiądz Jordan był kapłanem już z apostołstwem obeznanym, od młodości w tej pracy zahartowanym. Opowiadał on ewangelię i po dzikich zakątkach, kędy się promień światła nie wcisnął nigdy jeszcze, i tym możliwym, na wpeł nawróconym, co światło czyste obracali na swój użytek, czyniąc z niego przewrotnego sługę. Wiedział

już, jak mówić było potrzeba do tych, co nigdy nie słyszeli, i do tych, co słyszane źle zrozumieli. Mąż był cierpliwości niezmordowanej i niewyczerpanej, mocy ducha niezmożonej, wesela przy tym wewnętrznego pełen i spokoju. Wielka prostota i dobroć łączyły się w nim z rozumem jasnym. Wiedział on, że oddając się na usługi Mieszkowi i krajowi, do dawnej wiary przywiązany, będzie miał wiele trudności do zwyciężenia, nie nagłych a przechodzących, ale powracających i upartych.

Uśmiechało mu się to jednak, że będzie pasterzem trzody nowej i przez siebie samego stworzonej. A po drodze, nim na gród przybyć mieli, starał się zawczasu objaśnić o ludziach i związku tego, co go tam oczekiwało. Mieszka rad był

odgadnąć, a o tym właśnie Włast mu najmniej umiał powiedzieć. Domyślali się go ci, co żyli z nim, nikt powiedzieć nie mógł, by go znał.

Od granicy już Włast, któremu jego kraj najpiękniejszym się w świecie wydawał, ukazywał go księdzu Jordanowi wychwalając. Kapłan widział go smutnym. Przerażała go wielka ilość kamieni, słupów Tryglówowi i Światowidowi poświęconych, źródeł, miejsc ofiarnych, dębów i gajów, w których ślady obiat i obrzędów pogańskich napotykali. Świadczyły one o przywiązaniu ludu do swojej wiary, przepowiadały niezmierną pracę, jaka tu na apostołów czekała.

Lecz Włast mówił, że gdy wszystkie te miejsca, jak w Czechach, poznaczone zostaną krzyżami i niejako ochrzczone, będą służyć też ku opamiętaniu i nawracaniu.

Ksiądz Jordan musiał zrzucić swoją suknię duchowną, wdziać odzież używaną w kraju, a że języka był świadom, mógł uchodzić prawie za krajowca. Już w drodze, rozmawiając z Włastem i Sulinem, starał się swoją serbszczyznę nałamywać na język polański, mniej naówczas daleko od niej różny, niż później się wyrobił.

Powierzchność nawet przyszłego pasterza, choć wojskową i rycerską nie była, nie raziła niczym nadzwyczajnym, a odznaczała się powagą, pozwalającą brać go za zamożnego władkę. W ciągu drogi im dłużej obcował z nim Włast, im poznawał go bliżej, tym się więcej rozmiłował w nim, a przekonywał, iż go nie traf ślepy, ale Opatrzność wybrała sama na trudny obowiązek pierwszego apostoła i pasterza.

Ponieważ oba drogą znużeni byli, a mało zbaczając, mogli się wprzód dostać do Krasnejgóry niż nad Cybinę, Włast postanowił naprzód do siebie zawieźć księdza Jordana, dać mu tam spocząć i dopiero drugiego albo trzeciego dnia wybrać się z nim na dwór książęcy. Przyjął tę myśl podróżny, rad będąc, że lepiej pozna kraj i już zdążali ku Krasnejgórze, o której Włast myślał nie bez tęsknoty i miłości. Wyrzucił

sobie nawet to przywiązanie zbyteczne do miejsc, w których przebył dzieciństwo, prawie je grzesznym uważając.

Droga wiodła lasami, już po trosze z liści jesienią ogołocionymi. Z

niecierpliwością pewną Włast wyglądał dworu i cieszył się, że poczciwego Jarmierza zobaczy. Wjechali wreszcie w ten gaj, który dwór z boku osłaniał. Włast nie mógł

pojąć już, dlaczego dworu widać nie było, gdy nagle pobladł i konia wstrzymał, takie go opanowało wzruszenie. Całej siły ducha użyć musiał, aby się zdobyć na wyrazy:

- Bądź wola Twoja!

Stary dwór w Krasnejgórze był zgłiszczem tylko. Sterczały z niego pozostałe, nie dopalone belki, ogniska kamienne, obalone ściany. Z budowli nie pozostało nic.

Pogorzeliśko straszny widok przedstawiało. Kilku ludzi błąkało się dokoła niego, a Jarmierza teraz dopiero ujrzał Włast, leżącego na ziemi w opalonej odzieży. Pożar nie musiał być dawny, gdyż choć wygasło wszystko, gdzieniegdzie dymiały węgle jeszcze. Za dworem, ze spalonych szop wypędzone stały trzody, a przy nich siedzieli ludzie, spoglądając ku miejscu, przez które przeszło zniszczenie.

Włast skoczył z konia, a Jarmierz podniósł się z ziemi, powoli podchodząc ku niemu z załamanyymi rękami. Zbliżył się też i ksiądz Jordan.

- Mój Jarmierzu - zawołał Włast - jakże się to stało? Co było przyczyną?

- odezwał się Włast, widząc niemego chłopaka, któremu rozpacz nie dozwalała ust otworzyć.

Jarmierz obejrzał się ostrożnie.

- Nie wiem... nic nie wiem - rzekł trwożliwie. - W nocy ogień się wziął z czterech rogów zagrody i nie było ratunku. Ocaliliśmy, co się wynieść dało.

Włast nie śmiał spytać o kaplicę, Jarmierz wskazał mu tylko leżące na kupie sprzęty, zapasy, odzież i broń, między którymi i najdroższy kielich ofiarny się znajdował.

W lasku naprędce sklecony szałas dozwolił spocząć przy najmniej, bo noc nadchodząca do grodu przybycie utrudniała. Reszta zapasów starczyła dla niewymagającego księdza Jordana i gospodarza. Siedzieli milczący, spoglądając na spalony dom rodzicielski, którego ruina Włastowi z oczów łyżyciskała.

Jarmierz upokorzony był i znękany tym, że pod jego opieką zostawione

domostwo taki los spotkał. Po cichu zaczął opowiadać, że przed wieczorem dnia tego widziano kilku w okolicy kręcących się dziadów, Wargę i dwóch jego towarzyszków, że przed parobkami od kilku dni odgrazano się puścić z dymem dwór, w którym chrześcijanie się schodzili i swoje składali ofiary. Nie ulegało wątpliwości, że mściwa ręka podłożyła ogień, a parobcy podmówieni ratować nie chcieli, wcześniej jakoś swoje mienie wyniósłszy.

Włast wprędce opłakał swą stratę i złożył ją jako jedną więcej ofiarę dla wiary, którą przyjął. Należało myśleć o odbudowaniu. Jarmierz już, nie czekając przybycia pana, wysłał z siekierami do lasu. Lecz też sama ręka nie mogła rzucić żagwi i zniszczyć nowego domostwa? Na to nie zważając, Włast budować rozkazał, postanowiwszy w duchu pierwszą izbę dokończoną poświęcić jako kaplicę Bogu i uczynić ją domem modlitwy.

Smutny był nocleg ten pod szałasem, na modlitwie w części i na cichej rozmowie z Jarmierzem spędzony. Od niego dowiedział się Włast, że gdy płomień buchnęło i łuna od niego nad całą okolicą rozgorzała, którą i nad Cybiną było widać, przypadli komornicy, wysłani od Mieszka na zwiady, i pomagali do ratunku. Kneź

więc zawiadomionym był o stracie, jaka spotkała Własta.

Nad rankiem, odprawivszy pacierze, dwaj duchowni ruszyli z tych zgliszczów ku Poznaniowi i stanęli na grodzie właśnie, gdy Sydbór i Mieszko ludzi nowo zaciężnych opatrywali i liczyli. Wszystko się tu zdawało przysposabiać jakby do wojny. Ruch był na zamku wielki. Oddziały, jedne nie uzbrojone jeszcze przyciągały, drugie z dowódcami odchodziły. Broń dobywano ze skarbców, liczono się z jej zapasami w Gnieźnie, nad Cybiną, po innych grodkach Mieszkowych.

Z dala już bystre oko pańskie poznało powracającego Własta i mały orszak jego, policzyło snadź ludzi i postrzegło nieznanomego w tej kupce. Zaledwie z koni zsiąść czas mieli, gdy Mieszko nadszedł z twarzą jak zawsze spokojną i wesołą. Nie spojrział nawet na księdza Jordana, jak gdyby go widzieć nie chciał, i ozwał się z dala do syna Lubonia:

- Dobrze się stało, że starego dworu pozbyliście się, na pół był już spróchniały.

Musicie już wiedzieć o tym.

- Tak, Miłościwy Panie.

- Nie frasujciez się, stanie nowy, idźcie do Dobrosława.

Skinął ręką, a sam do Sydbora powrócił. Ksiądz Jordan, pilno się

przypatrujący, nie rzekł słowa i poszedł za swym przewodnikiem. Dobrosław też, najrzawszy ich, śpieszył naprzeciw i zabrał z sobą do izby, gdzie swobodniej się rozmówić mogli.

Gdy weszli do niej, a drzwi się za nimi zamknęły, Dobrosław rękę księdza ucałował i posadził na pierwszym miejscu, a sam zwrócił się do Własta z ubolewaniem:

- Kneziowscy ludzie - rzekł cicho - wysłani stąd na łunę w powrocie z Krasnejgóry pochwycili w lesie dwu dziadów, którzy się podłożeniem ognia przechwalali. Przyciągnięto ich tu na gród i posadzono w ciemnicy, a kneź, choć się waha i wzdraga, pono dla przykładu da ich obwiesić obu. Lecz że lud ich szanuje, a narodu drażnić nie chce, nie wie sam jeszcze, jak postąpi.

Obawiając się, aby z jego przyczyny krew się nie lała, Włast, posłyszawszy to, natychmiast pobiegł do Mieszka i spotkawszy go wracającego do dworu, do nóg mu padł, prosząc o przebaczenie dla dziadów.

Mieszko zdziwił się mocno:

- Oni ci przecie szkodę wyrządzili i zemsta ci należy!

- Miłościwy Panie - odezwał się Włast - chrześcijanie zemsty nie znają. Nauka nasza nieprzyjaciołom nakazuje przebaczać i kochać ich. Błagam Was!

Mieszko rad był może, iż się od narażenia narodowi w chwili tej uwolni, więc gdy Włast prośby powtarzał, ręką skinął i rzekł mu:

- Czyńże z nimi, co sam chcesz.

Nie tracąc chwili, Włast poszedł do ciemnicy, w której Wargę i towarzysza jego zamknięto. Gdy mu wrota do tego lochu w wałach wygrzebanego otworzono, zobaczył dwóch dziadów, leżących na ziemi, którzy go wzrokiem dzikim powitali milcząco. Warga go poznał i nie wątpił, że wydany na pomstę Włastowi dozna straszego losu. Nie ruszył się więc nawet, na wszystko będąc gotowym.

Włast zbliżył się.

- Za cóżeście pod moje domostwo ogień podłożyli? - zapytał.

Starcy dwaj popatrzyli długo na siebie, jakby się oczyma radzili, co

odpowiedzieć mają. Po chwili Warga zamruczał:

- Co się pytasz? Rób swoje!

- Nic wam złego nie uczyniłem - odezwał się Włast. Ślepi jesteście i nie wiecie, co robicie, ani za co mnie prześladujecie. Wy uczyniliście mi krzywdę, -

dodał. - Ja wam za nią płacę dobrem i wyprosiłem u knezia, że mam prawo wypuścić was na wolę. Idźcie i uchodźcie, a pomnijcie, że ta wiara, co uczy dobrem płacić za złe, lepszą jest.

Warga, słuchając, z pewnym rodzajem wzgardy uśmiechał się, a gdy Włast dokończył, ruszył się wnet, biorąc za kij i dając znaki towarzyszowi, by za nim pospieszał.

- Wasza wiara, - mruknął, - głupia jest, bo ty mnie puszczasz wolno, a ja z ciebie się śmieję i co w sercu mam, to zachowam.

Nie spojrzawszy na Własta, wychodził już z lochu, potem zwrócił się od drzwi:

- Nie śmiecie Wardze nic uczynić - zawołał - nie śmiecie! Wiecie, że on silny i że za niego mścić się będą, dlatego puszczacie wolno. Nie bójcie się, drugi raz w ręce wam nie popadniemy, a dostaniecie się wy w nasze... - dokończył dzikim śmiechem i poszedł.

Włast stał, zawrzał w nim gniew na chwilę, ale nowy chrześcijanin był

wiernym nauce swojej i kłamu jej zadać nie chciał; zniósł więc to urągawisko i pogróżki, zwyciężył się i dał ujść obu dziadom, którzy natychmiast pobiegli ukryć się mu sprzed oczów, znajomymi sobie drożynami przemykając się ku gajowi i świątyni. Nauka, jaką im Włast chciał dać, była straconą, ale on w sumieniu swoim spokojnym pozostał.

Gdy Dobrosław oznajmił Mieszkowi o towarzyszu, którego ze sobą Włast przywiózł, Kneź nic mu nie odpowiedział. Zdało się, jakby znowu ulegając jakiemuś wpływowi czy obawie, cofnął swe postanowienie wcześniejsze, nie zapytał więcej o niego i zostawił Dobrosławowi wolę rozporządzania się i działania, jak chciał.

Ksiądz Jordan więc za poradą jego został z nim razem, oczekując zręczności, by mógł przemawiać, nauczać i kierować. Na oko nic żadnej nie zwiastowało zmiany, z Czech tylko zapowiadano przybycie kniehini Dubrawki, ale i to pokryte było jakąś tajemnicą. Kneź mało mówny na zapytania odpowiadał niejasno. Na zamku wszystko było w gotowości.

Jednego poranka Włastowi kazano jechać do Pragi, dodano mu tych samych ludzi, którzy towarzyszyli mu w pierwszej wycieczce, a gdy o cel podróży zapytał, Mieszko mu rzekł:

- Pokłońcie się ode mnie...

Rad, że do chrześcijańskiego kraju się dostanie, Włast był posłuszny, pożegnał

księdza Jordana i pojechał.

Na zamku znowu to samo stare życie się wiodło, tylko nowy apostoł, któremu jego bezczynność dolegała, nie pytając nikogo, z kijem w ręku począł szukać owieczek. Często po całych dniach go na grodzie nie było, a gdy Dobrosław już miał

wysyłać szukać go niespokojny, wracał nagle wesół i rozpromieniony, zapewniając go, że Opatrzność boska nad nim czuwa i nic mu się złego stać nie może.

Niezmiernie prędko rozpatrzył się ksiądz Jordan w kraju i jego stosunkach, a zetknąwszy się z kilku ochrzczonymi dawniej, przez nich jak po nici trafił do innych lub tam, gdzie siane ziarno wzejść mogło. Około niego potajemnie skupiać się zaczęli wszyscy, dotąd rozpierzchli, nabierając otuchy.

Mieszko widywał go i o nic nigdy nie pytał udając, iż o niczym nie wie.

Jednego dnia z nim i Dobrosławem poszedł, wiodąc ich do gaju i świątyni, jakby to miejsce chciał im ukazać, ale nie rzekł nic. W kilka dni radził obu z Sydbórem jechać do Gniezna i obejrzeć

Lechową górę, a ostrów na jeziorze, gdzie stały świątynie pogańskie .

Wśród tego pokoju, który usypiał pogan, tłumaczących go sobie jak Warga obawą, nagle, jednego dnia, Mieszko nadzwyczajnie począł czynić przygotowania.

Dwóchset ludzi dobrano z przybocznego orszaku co najdorodniejszych i wydano dla nich odzież paradną, oręż drogi i konie ze stad najpiękniejsze. Ze skarbca podobywano naczynia najdroższe i przyniesiono do izb na dole, gdzie biesiady się odbywały. Mieszko ostatnią swą ulubienicę z wianem bogatym odprawił do rodziny, stara Różana została w niewieścim dworcu sama jedna i płakała z obawy, aby i jej, nie mającej już tu co czynić, nie oddalono. Mieszko kazał ją przywołać do siebie; weszła smutna, choć zawsze strojna, niżej niż zwykle do nóg mu się skłoniła.

- Masz wiedzieć - rzekł Kneź, - że żonę biorę z wielkiego domu, kniehinę sławną. Jak strzegłaś tamtych, tak i tej służyć będziesz, nad jej dworem mając dozór.

Pilnujże, byś na jej łaski zasłużyła, a rozkazy spełniała.

Różana pokłoniła się raz jeszcze, chcąc coś pomówić, bo do mówienia zawsze niepomierną miała ochotę, lecz Mieszko nakazał milczenie i poszedł niewieści dwór i izby oglądać.

Stały komnaty puste, smutne, ale z przepychem pańskim przygotowane na przyjęcie gościa wielkiego, aby wszystko czego tylko kniehini zapragnąć mogła, znalazło się pod ręką. Cienkie tkaniny, kobierce wschodnie, złote i srebrne naczynia, misy, nalewki, dzbany, świeczniki świeciły porozstawiane wszędzie. Spiżarnie pełne były łakoci, piwnice napojów, a kwiaty, na jakie się jesień zdobyć mogła, i wonne zioła po rozrzucano wszędzie. Gdzie dawniej wrzawa niespokojnych niewiast po całych dniach się rozlegała, teraz cicho już było jak w grobie. Jedne z najpokaźniejszych izb w głębi dworca kneź kazał zostawić pustą, nie mówiąc o jej przeznaczeniu.

Tegoż wieczora Mieszko poszedł do siostry. Domyślano się tam zawczasu, co się na zamku gotowało, a Górka nie bardzo była może rada nowej pani i nowemu porządkowi, nie wiedząc, jak się zgodzi z nieznaną bratową. Podejrzliwym okiem spoglądała na brata i przyjęła go z należnym poszanowaniem, ale milcząco. Kneź

usiadł zadumany i począł się jej przypatrywać.

- Nic już ci też, Górka, zamężpójście na myśl nie przychodzi? - zapytał nagle.

Siostra się zarumieniła mocno, bo po wiek wieków żadna niezamężna

dziewica nigdy się przyznawać nie zwykła, by sobie stan zmienić zyczyła. Zawsze się to uważa za nieprzyzwoite pożądać czepeca. I Górka też z dumą pańską odpowiedziała bratu po chwili namysłu.

- Miłościwy Panie, być może, iż wam się mnie pozbyć chce z domu, alem ja nie zatęskniła w nim nigdy...

- A przecie - odezwał się kneź - tak tu wiecznie nie możesz pozostać. Szkoda by krasy i młodości. Ale to moja rzecz męża wyszukać, wiano dać i sprawić wesele.

Górka się zarumieniła mocniej jeszcze, kneź spojrział z ukosa.

- Nie bój się - rzekł. - Znajdę ci takiego, co będzie godnym pięknej jak ty kniehini. Ty wiesz, że ja Bolkową córkę biorę, abym jedną nogą w Czechach stał, czekając, póki dwoma nie będę mógł stąpić. Ona, chrześcijanka, idzie za mnie. Ty też chrześcijanką zostać musisz, a poniesiesz z sobą tę wiarę do Ugrów, którym rękę podamy, aby Czechów trzymać zawsze grozą i nie dać się im uciskać. Dziki to naród, wojowniczy i straszny. Musieli się na nich wszyscy Niemcy zebrać do kupy nad Lecha, aby zwyciężyć, a w domu oni niezwyciężeni. Tobie tam panować przystało i królować.

Górka nic nie odpowiedziała, bo niewieście naówczas, choć by rodu

pańskiego, swojej woli mieć się nie godziło. Mieszko mówił na wpół do niej, wpół

do siebie, uśmiechając się myśli swej:

- Nie obawiaj się, brat ci krzywdy uczynić nie da, a jeśli z domu jego wyjdiesz, nie pożałujesz zamiany. Od tej wiary nowej, którą Niemcy swoją zowią, nie obronimy się już. Zewsząd nas ogarnia, panuje wszędzie, wojować z nią nie można, ale przyjąwszy ją, nią wojować będziemy, choćby z cesarzem.

W sprawie wiary Górka nie miała pono tak samo woli, jak w sprawie własnego losu; słuchała wiedząc, że uczynić będzie musiała, co każą. Westchnęła tylko, bo ją straszono surowością chrześcijaństwa.

- Wiara to straszna... - mówiła po cichu.

Brat nie odpowiadał długo.

- Gdyby w istocie taką była, czyżby ją tylu ludzi mogło wyznawać? - rzekł po namyśle.

Zamyślił się i westchnął, może mu na pamięć przyszły dawne gody i swoboda, lecz nie rzekł nic.

Siostrę pogłaskał po twarzy i z wolna wysunął się z dworu.

Rozdział 5.

Nazajutrz rano świetnie przybrany dwór, starszyzna, stolnicy, cześnicy, służba, pacholki, rycerstwo, Sydbór, który przywdział zbroję świecącą, na ostatek Mieszko sam w płaszczu bramowanym wyjeżdżali z grodu nad Cybiną. Nikt nie wiedział, dokąd i na jak długo. Na zamku gotowano się na przyjęcie mnogich gości.

Kogo? Domyślać się tylko było można. Mieszko nie miał zwyczaju tłumaczyć się nikomu. Dobrosław został w grodzie, mając dozór nad przygotowaniami.

Tegoż samego dnia ksiądz Jordan potajemnie wyszedł zamknąć się w izbie przy dworcu, przyszłej kniehini zostawionej. On i Dobrosław przez cały dzień znosili tam naczynia i szaty, nie wzywając nikogo do pomocy i nie biorąc z sobą ludzi. W

izbie tej, której okno zewnątrz na pół przysłonięte było, tak że zajrzeć do niej nikt nie mógł, ksiądz Jordan urządzał kaplicę z tą radością i przejęciem, jakiego może doznawać kapłan, pierwszy ołtarz stawiając w kraju, pozbawionym prawdziwej wiary. Lice jego promieniało, trzęsły się ręce, gdy sam zaścielał ten stół ofiarny białymi ręczniki, ustawiał na nim świeczniki, ubierał go i przyozdabiał, gdy błogosławił modląc się i krzyż na nim wznosił, przed którym on i Dobrosław odmówili przyjętą modlitwę.

Pierwsza kaplica zamkowa nie wyglądała wspaniale. Był to ołtarz jakby obozowy tego wojska, które tu za wiarę walczyć miało. Gromadka, co się u stóp jego zbierać mogła, szczupłą jeszcze była i izba ta aż nadto dla niej starczyła. Tu, w obecności jednego Dobrosława, pierwszą mszę odprawił przysły pasterz owczarni rozpierzchłej i zmuszonej ukrywać się długo jeszcze.

Mieszko o swoim nawróceniu nie mówił nic; Dobrosław kilka razy rzucał

pytania i nie otrzymywał odpowiedzi.

Orszak, który z kneziem na czele wyruszył z zamku nad Cybiną, pociągnął ku granicy zwykłą drogą. Jesienna pogoda powolnemu pochodowi sprzyjała. Dni wyrachowane być musiały. Wieczorem położono się w lesie, u samej rubieży, na uroczysku, które zwało się Zawite. Rozbito namioty, postawiono szałas, rozpalono ognie, wysłano dokoła strażę i noc upłynęła cała niemal na czuwaniu.

Nazajutrz Kneź kazał obóz zwinąć, lecz z miejsca nie ruszył. Słońce ku południowi wybiło się ponad mgły i świeciło letnim blaskiem, gdy rogi słyszeć się dały z dala i straż nadbiegła, oznajmując o zbliżającym się orszaku czeskim. Wsiadł

Mieszko na koń, a dwór jego cały ustawił się w porządku.

Z dala już widać było okazały orszak, który kniehinę prowadził. Towarzyszył

jej, wedle obyczaju, brat, mnoga liczba panów i dworu ojcowskiego, poczet wojskowy i nieporachowany sznur wozów, które szły jedne za drugimi, strzeżone przez zbrojnych ludzi. Oddział pancernych zamykał w końcu wspaniały ten pochód, któremu przygrywali na trąbach i rogach gędźbiarze. Kniehini jechała na pięknym koniu obok brata, w suknię złocistą przybrana, w płaszczu na ramiona zarzuconym, złotymi blaszkami naszywanym. Na widok Mieszka zarumieniła się męska jej twarz i oczy śmiało nań spojrzały. Nie było to trwożliwe dziewczę, ale towarzyska pańska i niewiasta czująca się królową.

Młodszy Bolko o kilka kroków ją wyprzedził, witając Mieszka, po czym oba z koni zsiadłszy, szli do Dubrawki, która też z wierzchowca się spuściwszy, lekkim ukłonem pozdrowiła męża swojego. Ale Mieszko inaczej ją chciał witać i śmiejąc się objąwszy w pół, całe pogańskim obyczajem, zarumienioną w twarz pocałował.

Podano sobie ręce. Wesele malowało się na licach.

- Jesteście, Miłościwa Pani - zawołał Mieszko - już na mojej, a razem na swej ziemi, gdzie ja gospodarzem. Przystało tę dobrą godzinę uczcić dobrą myślą.

To mówiąc skinął na stolników swych i rękę jedną Dubrawce, drugą podawszy Bolkowi, powiódł ich pod dęby nade drogą, gdzie rozesłane było sukno i naczynia stały z jadłem i napojami. Dla obu też orszaków becunki były pogotowiu. Tymczasem gęźbjarze grali wesoło na trąbach i rogach i lica się śmiały wszystkim. Dwa dwory, czeski i polski, po raz pierwszy zbliżyły się ku sobie przyjacielsko, podając sobie dłonie i próbując języka, który obu posługiwał zarówno, prawie będąc jednakim. Z

kniehiną mnogi lud jechał; niewiasty, usługa, dworacy, duchowni, panowie, lecz na przyjęcie było pogotowiu wszystko na drodze i starczyłoby dla liczniejszej jeszcze drużyny.

Wmieszany w ten dwór stał Włast w towarzystwie kilku duchownych, między którymi surowa twarz i uboga suknia ojca Prokopa zwracały oczy Mieszkowego orszaku. Dziwnie wydawał się im ten człowiek stary, w odzieży prostej, w obuwiu wyszarzanym, z głową postrzyżoną, podobny do żebraka, a śmiało obracający się wśród świetnego orszaku panów, który okazywał mu uszanowanie.

Nie biesiadowano tu długo, gdy oba kneziowie, powstawszy, dali znak

dalszego pochodu. Przyprawdzono konie i Mieszko stanął na swoim obok Dubrawki, której lice nie zdradzało najmniejszej obawy, uśmiechając się owszem weselem i ciekawością.

Od granicy poczynał się ten kraj nie ochrzczony jeszcze, pełen jawnych oznak pogańskiego bałwochwalstwa, na którego widok lica duchownych pochmurniały.

Dubrawka jednak nie ulękła się stojących na rozdrożach bałwanów i zdawała się na nie uwagi nie zwracać. Wesołymi żartami skracano podróż, którą z nadzwyczajnym odbywano pośpiechem. Gdy na drugim przystanku spocząć koniom było potrzeba, Mieszko, ujrawszy Własta, zawołał go ku sobie i łaskawie pozdrowił.

- Weź kilku ludzi i lepsze konie - rzekł - pojedźcie przodem o nas oznajmić, aby wszystko było pogotowiu.

Tak więc, choć znużony drogą, Włast musiał natychmiast nie spoczywając, przodować orszakowi. Ostrożność ta była zbyteczna, gdyż na grodzie dzień i noc stał

lud mnogi, gotów na przyjęcie kniehini, i starszyzna, żupanowie, władcy, kmiecie byli już zgromadzeni. Oni i orszaki ich napełniały nie tylko gród, ale zalegały pola nad Cybiną i Wartą. Mnogie też tłumy ciekawych z uczuciami różnymi zbiegły się patrzeć na przybywającą panią. Roilo się dokoła ludem, nad drogą wszędzie stały szeregami cizby niezliczone w oczekiwaniu na to widowisko, którego następstwa napełniały trwogą.

Z tą panią nową jechała wiara nowa, rozpoczynało się życie jakieś nowe, którego przecucia niepokoiły. Niewiasty płakały, mężowie stali sparci na kijach, zadumani. Starcy przebiegali tłumy z pieśnią żalowaną. Czuli wszyscy, iż dzień ten zapowiadał życie odmienne. Jakże? Nikt nie śnił naówczas, wiedzieli tylko, że ze starym rozbrat wziąć było potrzeba, a z nim zrosło się wszystko, co najdroższym było.

Pośrodkiem tych gromad milczących, które mogły mniej śmiałą niż Dubrawka niewiastę przejąć

trwogą, przesuwali się orszak Mieszków i czescy rycerze a panowie. Już o mil kilka od Poznania drogi były nabite ludem, ale zarazem poczty wojenne stały na nich, siłą Mieszkową ukazując obcym. Nie ustępowały one pokaźnością Czechom ani urodą ani orężem. Minęły te czasy, gdy Polanie nasiekiwanymi pałkami i smolonymi oszczepami walczyć musieli, mało mając kruszcu i oręża. Za Ziemomysła już zdobyto i zakupiono dosyć zbroi i mieczów też nie brakło. Żelaza miano obficie i łatwiej nabyć je było w nadmorskich miastach handlowych. Wojny z Niemcami dostarczały go także. Skarbiec Mieszków nie ustępował najzasobniejszemu i nie wyczerpywał się, ale powiększał. Na Czechach widać wprawdzie było ogładę, jaką im ściślej z cesarstwem i Zachodem stosunki przyniosły, ale w wojsku Mieszka więcej było starego, słowiańskiego ducha i resztek tego tajemniczego świata, który też w sobie miał wyrobione długimi wiekami życie.

Wśród wrzawy trąb, rogów, okrzyków i śpiewów wjeżdżała na nową swoją

stolicę Dubrawka, z tak niewzruszonym umysłem i ciekawymi oczyma mierząc ją, jak owego wieczora nad Wełtawą nieznanego jej jeszcze przybysza, który za męża był dla niej przeznaczony.

Z okna swojego dworca oczyma zazdrosnymi może i zażawionymi

przypatrywała się Górka tej nowej pani, przeciw której wyjść nie śmiała.

W drzwiach dworu zsiadłszy, Mieszko podał rękę żonie i wprowadził ją do wielkiej izby biesiadnej. Tu stali panowie jego, poważne starce z siwymi brody i dorodni mężowie, pokłonami witając panią, z góry spoglądającą na nowych poddanych swoich.

Skromny dworzec drewniany ubogo się musiał wydać kniehini, do

murowanych ścian nawykłej: nie było tu nic, co by chrześcijaństwo przypominało, lecz drewniana chata Mieszka świeciła nagromadzonymi bogactwami, które nawet panów czeskich zdziwiły. Stoły się ugięły pod ciężarem kowanych sreber, wystawionych więcej na pokaz i zdumienie niż z potrzeby.

Przyjąwszy cześć i powitanie dworu, który wykrzykiwał wesoło, Dubrawka zwróciła się do Mieszka: - Panie Miłościwy - rzekła - nie uczuję się ja tu ani żoną Twą, ani gospodynią, dopóki nas duchowny nie pobłogosławi.

Mieszko trochę się zmarszczył.

- Kniehini moja - rzekł - obejrzyjcie się po komnatach i podwórzach, policzcie tych ludzi, co nas otaczają. To są, jak ja, poganie wszyscy. Gdybym ja dziś Waszemu się Bogu pokłonił, kto wie, co by mnie czekało jutro... Dajcie mi czas, a pracujcie ze mną.

- Lecz żyć z Wami nie mogę inaczej - odpowiedziała Dubrawka. - Niech ślub zostanie potajemnym, a przecie on dopełnić się musi.

Przystąpił Bolko z naleganiem. Mieszko stał jakby w niepewności, co miał

począć. Nie położono mu wprzód warunków tego ani się spodziewał, by ulec musiał, a dnia tego zasmucać nie chciał waśnią. Nie rzekł nic; obrócił się, patrząc po przytomnych, czy oczyma znak

dał komu, czy szepnął słowo, nikt nie dopatrzył, lecz wnet odezwał się do Bolka i Dubrawki, iż im dworce swe i izby wszystkie, i komnaty dla żony zgotowane chce okazać. Szli więc z wolna; Mieszko, wiodąc kniehinę, Bolko jeszcze jako stał we zbroi i rynsztunku podróżnym. Dobrosław jako przełożony nad dworem.

Czescy i polscy panowie zostali, stojąc w biesiadnej izbie i czekając na powrót pana. Trzy złotogłowem okryte krzesła u osobnego stołu zgotowane dla nich były.

Przez izby i podsienia Mieszko z pierwszego dworu skierował się ku

mieszkanom królowej. Tu już niewieście towarzyszki, służbę pani i jej dworaków przyjmowała Różana, która się bogaciej i wykwintniej niż kiedykolwiek przybrała.

Dubrawka przeszła szereg izb, komór, składów pełnych bogactw, nie spoglądając prawie na nie. Ostatnie drzwi stały zamknięte przed nimi. W chwili, gdy się do nich zbliżyli, jakby czarodziejską siłą otwarły się ze wnętrza i za nimi dała się widzieć światłami płonąca kaplica. U ołtarza bogato obwieszono stał ksiądz Jordan, mając przy sobie ojca Matię i ojca Prokopa. Mieszko szedł widocznie chmurny i prawie gniewny, lecz milczący i posłuszny. Dubrawce oczy się śmiały.

Za nimi wnet zatrzaśły się drzwi i w obliczu kilku tylko świadków ksiądz Jordan pokropił naprzód wodą chrztu knezia milczącego, a potem szybko obrzęd ślubu dopełnił. W tych obrzędach musiano ze względu na szczególne położenie, na ważność ich, odstąpić od wielu warunków, zapomnieć o wielu ceremoniach, dopuścić się umyślnie zaniedbań. Szło o to, aby chrześcijańska przysięga związała przyszłych małżonków. Drżącym głosem pobłogosławił im ksiądz Jordan i związał dłonie.

Dubrawka dopomagała małżonkowi, aby wykonał to, co dla ważności obrzędu koniecznym było. Na twarzy Mieszka malował się niepokój ciągły i

zniecierpliwienie, które trwało, dopóki nie wyszli z kaplicy i nie wrócili do oglądania komnat z drugiej strony dworca położonych.

Z twarzą weselszą jeszcze Dubrawka z mężem i bratem wróciła do biesiadnej izby, aby zasiąść z wiankiem dziewiczym, którego, jak mówiła, nigdy zrzucić nie chciała, na przygotowanym siedzeniu obok męża i brata.

Polańscy panowie mogli się teraz przypatrzeć kniehini, którą każdy ciekaw był

nie tylko zobaczyć, lecz odgadnąć. Nie zdawało się to trudnym. Na pierwsze wejrzenie Dubrawka, nadto będąc dumna, by się ukrywała z czymkolwiek, wydawała się z wesołym usposobieniem, odwagą i męskim niemal charakterem. Mieszko przy niej zdał się daleko do odgadnięcia trudniejszym. Śmiała się ochoczo i głośno, wyzywała żarty i oświadczała wręcz, że zabawy i płasy lubiła bardzo. Polańskim panom nawykłym do bojaźliwych niewolnic zahukanych, kniehini wydała się jakby nową całkiem istotą. Dla dzikich nieco ludzi miała urok ta śmiałość czeskiej niewiasty, stojącej od razu niemal na równi z mężczyznami, okiem, mową i odwagą.

Mieszko śmiał się z nią razem, łagodnie i dobrotliwie, zdawał niemal uległym, przecież kniehini czuła w duszy, że niełatwo go pokonać i podbić potrafi. Instynkt mógł ją tego na uczyć. Śmiałość i samowola, z jaką się Dubrawka ciągle okazywała jawnie, słabego człowieka byłyby uczyniły niepewnym siebie i chmurnym, Mieszko brał to lekko, wtórował śmiechowi i wesołości, jakby je w dziecku spotykał.

Pod koniec uczyty, przeciągającej się długo, goście, wedle zwyczaju, zaczęli nowo zaślubionym składać podarki i u nóg młodej pani zebrała się góra cała osobliwych rzeczy, które o zamożności starych rodów świadczyły. Dziękował

Mieszko śmiało i wymownie, jakby stara znajoma dziękowała młoda pani. Dziwili się jej wszyscy, że tak od razu przystała do ludzi, do domu, do nowej ziemi i nowych poddanych. Mieszko też poglądał niekiedy z ciekawością na ożywioną jej twarz i jasne oczy, w których najmniejszego wahania się i niepewności widać nie było.

Po uczcie, która się przeciągnęła, nastąpiły pląsy i tany, ale kniehini, choć im poklaskiwała okazując, że nie są obojętne, tego dnia nie chciała iść z drugimi i pozostała przy mężu. Wkrótce też Bolko odprowadził ją do dworca, a Mieszko znikł

także, zostawując Sydbóra w zastępstwie swym, by gości uraczał, nie dając im się oddalić.

Weselne ucztowanie musiało trwać dni kilka bez przerwy w każdym domu, tym bardziej w książęcym. Nazajutrz też od rana stoły były pozostawiane wewnątrz dworca i w podwórcach karmiono poczty wojenne polskie i czeskie, które się zabawiały wyścigami, rzucaniem pocisków i strzelaniem. Jak poprzedzającego dnia, tak tego tłumi ludu okrywały, przypatrując się widowisku i biesiadzie.

Szczęściem, surowy dozór zapobiegł, by wśród tego rozochocenia

chrześcijanie z poganami, Polacy z Czechami nie poważnili się o lada co. Czeski dwór, czując wyższość swoją, lekce czasem sobie cenił i prześmiewał Polan, a w tych nie cierpliwa krew wrzała i hamować było trzeba nieustannie, aby z małej sprzeczki duża bójka nie urosła. Chodziła też starszyzna, naglądając i ładząc natychmiast, gdziekolwiek głośniejszy krzyk usłyszała lub zaognione postrzegła lica.

Ludzie z pocztów kneziowskich i do dworu należący, już przygotowani i oswojeni z wielą nawykami chrześcijańskimi, godzili się z nimi, słuchali opowiadań i poufale przestawali. Wewnątrz grodu wesoło szło i ochoczo, lecz gromady, które stały z dala na wałach, wpatrując się w igrzyska te, i kupa starców, wyglądających ze świętego gaju, groźną i smutną miała postawę.

Ojciec Prokop, nawykły do swobodnego obracania się w Czechach wiedząc, że i tu już wiara miała opiekę i obronę, wcale nie czuł potrzeby zachowywania pewnych ostrożności i ukrywania się z sobą. Zaraz też drugiego dnia z innym duchownym wybrał się, zasłyszawszy coś widać o zakładaniu kościoła, aby miejsce nań przeznaczone obejrzyć. Jak wszędzie, tak i tu duchowieństwo na poświęconych czci bałwanów uroczyskach, na posadach świątyń i słupów stawiało kościoły i krzyże. I tu więc gaj i świątynia zdawała się przyszej, pierwszej katedry polańskiej miejscem koniecznym.

Ojciec Prokop ze spokojem i odwagą, nie postrzeżony wyszedłszy ze dworca, przesunął się przez tłumy zebrane i posunął ku gajowi.

Przystęp do niego dla obcych był wzbroniony; jakby na straży stała tu kupka dziadów i wróżbitów, którą kapłan, pominawszy, wszedł pod drzewa, kierując się wprost do kontyny. Lecz zaledwie kilkanaście postąpił kroków, gdy straż, na znak jakiś dany jej przez jednego ze starszych, pobiegła za nim. Z dala patrzący na to Dobrosław, ujrzawszy ją z podniesionymi kijami lecących z wściekłością za ojcem Prokopem, miotających przekleństwa i rozjadłych, natychmiast pobiegł na ratunek.

Nim miał czas dojść na miejsce, już starcy pochwycili byli kapłana i targając go, bijąc, ciągnęli z sobą ku chramowi. Ojciec Prokop ani mógł się bronić przeciw rozjuszonej zgrai; podarto na nim suknie, niesiono go niemal na rękach, gdy krzyk naprzód Dobrosława dał się słyszeć, a wnet on sam napadł na zuchwałych wróżbitów. Wściekłość ich była tak wielka, że nawet Dobrosławowi z trudnością przyszło wyrwać im z rąk czeskiego księdza. Nie śmiał zaś wołać na pomoc ludzi ani zajścia tego czynić widoczniejszym, bo łatwo i lud z wałów, i pijani wojacy mogli się wmieszać, a powszechny zamęt i bój wywołać. Ulękli się wreszcie i uspokoili owi stróże świątyni i ojciec Prokop, choć oszarpany i potłuczony, mógł się z pomocą obrońcy ze szpon zajadłych starców oswobodzić. Co najprędzej wyciągnął go z sobą z gaju Dobrosław, tłumacząc mu, że jeszcze tu żadnych środków do wprowadzenia publicznego wiary przedsięwziąć nie było czasu i że póki sam kneź ich nie obmyśli, dawne zwyczaje pozostać muszą w swej sile.

Tak szczęśliwie wypadek, który mógł grozić zamieszaniem, przeszedł prawie nie postrzeżony i ojciec Prokop wrócił do dworca, mało co wzruszony

niebezpieczeństwem własnym, lecz niespokojny o przyszłość swej kniehini i kraju, tak nie przygotowanego do nawrócenia.

Na dworcu tymczasem i sama kniehini, i towarzyszki jej wyprawiały wesołe płasy, nuciły śpiewy, a polańscy panowie podziwiali te niewiasty, jakim podobnych nie widzieli. Dubrawka zyskiwała sobie serca uprzejmością swą i, niecierpliwa równie jak ojciec Prokop, nie wahała się coraz rzucić słowo o nowej wierze. Dziwnie się to apostołowanie mogło wydać wśród zabawy, lecz młoda pani przejęta była swym posłannictwem i w środkach spełnienia nie przebierała; panowie też czescy naśladowali ją w tym porywczym apostołowaniu i pod koniec dnia pochmurniały twarze, między Czechami a Polanami zaczynało się dawać czuć oziębienie, rozdział

jakiś coraz widoczniejszy. Mieszko z dala patrzył, milczał, nie mówił nic, ale chmurniejszym był.

Trzeciego dnia nie ustawały stoły pańskie i zabawa, lecz nie szła już tak, jak zrazu. Poprzedzającego dnia bójek na grodzie było kilka, lud warczał jakoś na przybyszów.

Czwartego rana sam na sam naradzał się Kneź z Sydbórem i Dobrosławem, gdy śpiewając, z wesołą swą twarzą i pańskim wejrzeniem, weszła Dubrawka. Na widok jej pogodniejsze też oblicze przybrał Mieszko, a oczyma swoim towarzyszom wskazał, aby ich samych zostawili.

- Mieszku - ozwała się, widząc ich ustępujących Dubrawka, - weseliliśmy się ochoczo trzy dni całe, czas przystępować do dzieła!

Mieszko popatrzył trochę zdumiony.

- Duchowni czekają, nie ma co zwlekać i nawracanie a chrzest rozpoczynać należy.

- Piękna Kniehini moja - rzekł Mieszko - jeśli niewiasty Twojego dworu zechcecie nawracać czyńcie, proszę, ale co do mojego narodu, zostawcie mnie staranie. Jedyne to sposób byłby, żeby nic nie uczynić lub głową nałożyć, gdybyśmy się porwali nagle i nie przygotowawszy!

To mówiąc wstał, pocałował żonę, śmiejąc się, i rzekł do niej:

- To moja sprawa.

Stała jeszcze zdumiona i trochę zmieszana Dubrawka, gdy kneź dodał:

- Jeden z tych, których wyście z sobą przywieźli, wczoraj o mało życiem nie przypłacił nieopatrności, bo go ledwie z rąk zajadłych ludzi wyrwano. Twoi Czesi nie zdali się do nawracania, bo nas nie znają. Miłościwa Pani, damy im podarki bogate, ale ich stąd odprawimy do domu.

Dubrawka, która najwięcej liczyła na swój dwór, zasmuciła się bardzo, lecz Mieszkowi się przeciwieć nie było sposobu. Z twarzy mu patrzyło, że choć śmiał się, ale żelazną miał wolę.

- Nie złękniecie się zostać tu wśród nas, pogan, samej? - dodał Mieszko.

Dubrawka, choć może w istocie czuła trwogę, okazać się jej wstydziła. Męska jej dusza brzydziła się nią.

- Z Wami przecież zostanę, obawiać się nie ma czego.

Mieszko się jej dziękczynnie uśmiechnął.

Ja, - rzekł, - znajdę duchownych, wyszukam ludzi, godzinę naznaczę, a gdy ta przyjdzie i powiem, że chrzest muszą przyjmować - przyjmą. Kto się oprze - zginie.

Lecz nim się to stanie, mój dwór i moje wojsko moim być musi, aby mi naród nie był

groźnym. W jednym dniu odmieni się twarz tej ziemi, ano, dzień ten ja jeden wiem.

Miłościwa moja, ja sam poganinem jeszcze jestem. Nawróćcie wprzód mnie i nauczcie. Słucham Was często i nie rozumiem. Co u nas cnotą było, u Was jest występkiem, co u Was się zowie pięknym, nam się wydawało złym. - Ruszył

ramionami. - Mięsa mi zakazują jeść, a skądże ja wezmę siłę? Zemsta zbronią, a któż się mnie będzie lękał?

Dubrawka słuchała go i z wolna może przekonała się, że to nawrócenie, które się jej tak łatwym wydawało, było dziełem nie jednego słowa.

Musiała spuścić głowę i zamilknąć. Mieszko ujął ją pod rękę.

- Tymczasem chodźmy, a weselmy się, a wy, Kniehini moja, zabawiajcie się ze swoimi, których pożegnać musicie. Czechów odprawić trzeba i dlatego, aby naród nie rzekł, że ja ich dla wprowadzenia nowej wiary potrzebowałam.

Wyszli milczący i skierowali się ku dworcowi, w którym pomieszane głosy gędźby, śpiew, wrzawę i śmiechy słyhać było. Grali Czesi na rogach i piszczałkach, kilku gęślarzy u drzwi śpiewało, za stołami piła starszyzna i pokrzykiwała; inni nucili pieśni razem, aż się rozlegało. Wszystko to umilkło, gdy kneź ukazał się z żoną, ale natychmiast skinął, aby byli myśli wesolej. I znowu huczało i brzmiało dokoła.

Tego wieczora Włast wyprosił się u knezia, aby mu było wolno do

Krasnejgóry zbiec na godzinę. Skinął mu głową przyzwalająco i ojciec Matia, któremu wrzawa weselna przykrą była, natychmiast dosiadł konia, biegnąc na swoje zgorzelisko. Mrok już padał, gdy się znowu znalazł na skraju lasu i jak za pierwszym razem, zastawszy tu spalony dwór, teraz uląkł się i stanął osłupiały.

Niemniej go zdziwiło to, co tu ujrzał, bo mu się też cudem niemal wydało.

W miejscu zgliszcza stał już nowy dworzec, daleko obszerniejszy od pierwszego, gotowy, dokończony, pokryty, ogrodzony tynami, odbudowany cały do najmniejszej szopki.

Oczom zrazu wierzyć nie chcąc, Włast podjechał pod wrota i miał zsiadać, gdy z drugiej strony nadbiegł Jarmierz, a za nim kilku parobków. Ze zdumienia nie wiedząc, co mówić, Włast wprost poszedł do dworu, Jarmierz mu towarzyszył. Gdy się sami znaleźli w progu, odwrócił się ku niemu Włast i spytał:

- Jak to być mogło, ażeby dwór stanął tak rychło?

- Z rozkazu knezia ludzi gromada nasza wielka - odezwał się Jarmierz. - Jam z moimi patrzył tylko z założonymi rękami.

Dworzec nowy pobudowany był podobnie do starego, lecz wyższy od niego, okazańszy i obszerniejszy. W miejscu komory, w której zmarł Luboń i gdzie była kaplica, staraniem Dobrosława nowy ołtarz stanął z wszelkim do służby bożej przyborem.

Tu naprzód, na kolana padłszy, Włast, zalany łzami, modlił się długo. Wstawał

jeszcze poruszony i przejęty cały, gdy w progu ujrzał postać niewieścią. Nie mógł on poznać jej zrazu, osłoniętą miała twarz i głowę czepcem zamężnych niewiast.

Dopiero zbliżywszy się do niej, gdy mu się do kolan kłaniała, ujrzał w niej siostrę swą Hożę.

- A skądże ty tutaj? - zapytał. - Jakim, sposobem?

Hoża poczęła od rzewnego płaczu, zaszła się, tuląc twarz w chustach, i nie mogła mówić długo.

- Gdzie mąż twój? - zapytał Włast.

Po nowych łzach i płaczu domyśleć się mógł brat, że jakiś los nieszczęśliwy spotkać musiał Wojysława; nie chciał już naglić o odpowiedź, bo Hoża coraz nowymi zalewała się łzami.

Jarmierz, który za nią stał, szepnął mu na ucho, że dziesiętnicy Mieszkowi długo się za nim z jego rozkazu uganiali, nocą go napadli w chacie leśnej, związanego wzięli na gród, a tam nazajutrz Mieszko obwiesić go kazał.

Hoża, oplakując męża, nie wiedząc, co począć ze swym sieroctwem i

wdowieństwem, pieszo przywlokła się do rodzicielskiego domu, w którym musiała szukać przytułku. Upewnił ją Włast, że pozostać może i mieszkać jak u rodzica, pocieszając zasmuconą. Zdziwiło go tylko, że kneź, który go widywał ciągle i mawiał z nim prawie co dnia, ani o odbudowie dworu, ani o sprawiedliwości domierzonej nad Wojysławem nie wspomniał nigdy. Pan był milczący i zamknięty.

Tak w nowo odbudowanym dworze pierwszy wieczór spędził Włast, któremu siostra po staremu usługiwać chciała. Nie dopuścił jednak tego, rozkazując jej usiąść razem do stołu, przy którym i Jarmierz zajął miejsce. Radowało się serce jego myślą tą, że Opatrzność zesłała mu siostrę, aby jak ojciec nawróconą została. Zdało mu się też, że i Jarmierza, już przy gotowanego, łatwo do przyjęcia nowej wiary skłonić potrafi. Ale pierwszego tego wieczoru zaraz, gdy z niecierpliwych ust wyrzywały mu się już wyrazy natchnione, przekonać się mógł, jak daleko stały pojęcia tych biednych ludzi, w nieświadomości wychowanych, wykarmionych życiem innym od chrześcijańskich wyobrażeń. Hoża wprawdzie słuchała go chętnie, lecz więcej ją zdumiewało to, co mówił, niż przekonywało.

Włast postanowił cierpliwie, powolnie, wytrwale poświęcić się pozyskaniu tych dusz. W myśli jego było połączenie siostry z Jarmierzem i oddanie im po ojcu majątności. Sam on dla siebie nie potrzebował nic; chciał wymówić tylko kaplicę i w tym domu pierwszych chrześcijan gromadzić. Bliskość zamku, położenie w lesie i na ustroni czyniło to miejsce dogodnym. Zdawało mu się, że ci, co z dymem raz dwór puścili, drugi już raz ważyć się nań i porwać nie będą śmieli. Najpiękniejszymi marzeniami kołysany, po długiej wieczornej u domowego ołtarza modlitwie, Włast legł spocząć, nazajutrz do dnia chcąc powrócić do zamku, w którym spodziewał się zastać więcej ciszy i spokoju. Rano przy drzwiach zamkniętych odprawivszy tu pierwszą ofiarę za duszę ojca, pomodlivszy się na grobie jego, pożegnawszy czule siostrę, przeprowadzany długo przez Jarmierza, Włast na duchu spokojny i szczęśliwy, na zamek nad Cybinę powracał.

Zawiódł się tylko sądząc, że tu już spokój panował; teraz bowiem, po przyjęciu Czechów, następowało huczne ich po żegnanie.

Rozdział 6.

Po odprawieniu poczystnym Czechów, których Mieszko obdarzonych sownie wkrótce do granicy odesłał, cisza znowu na zamek wróciła i na pozór nic się w nim nie zmieniło.

Nie poruszono ani chramu w Gnieźnie na górze Lecha, ani starej na grodzie nad Cybiną świątyni; kapłani chrześcijańscy nie odprawiali jawnie nowej wiary obrządków, żadnymi oznakami nie objawiała się ona na zewnątrz.

Ksiądz Jordan odprawiał po cichu mszę świętą w zamkowej kaplicy, ale na nią Dubrawka z trudnością mogła męża przyciągnąć. Nowo i dawniej nawróceni gromadzili się po cichu na Krasnejgórze. Gdy następowały dnie, które Kościół zwykł

uroczyście obchodzić, drogami różnymi zewsząd ściągali się ludzie do dworu Luboniów i zbierali się w małej kapliczce. Często-kroć przebywali tu po dwa i trzy dni przyjmowani przez Własta, spędzając większą część godzin na nabożeństwie.

Śpiewy dawały się słyszeć coraz śmielej i choć się na pozór jeszcze ukrywano, z każdym dniem odwaga rosła w wyznawcach Chrystusowych. Dodawało jej to, co się działo na zamku kneziowskim, a nikomu to tajnym nie było.

Jarmierz, z obawy napaści jakiej, pilno około dworu stróżował; nie

wpuszczano do zagrody, tylko znajomych ludzi. Zdawało się też, iż wróżbici i gorliwsi obrońcy bałwochwalstwa, choć się uparcie przy nim trzymali, cofali się w głąb lasów i ukrywać starali. Można było sądzić, że stracili odwagę do dalszych wystąpień. Około dworu choć się czasem nie postrzeżeni snuli ludzie, na tych nie zwracano uwagi, gdy się z dala trzymali; parobcy i czeladź, mająca stosunki podejrzone, zręcznie się ukrywała z nimi.

Jarmierz był już ochrzczony, gorliwie uczył się swych obowiązków

chrześcijanina; Hoża też, nie opierając się woli brata, słuchała go i zdawała nauki brać do serca.

Na zamku, choć Mieszko na pozór nie czynił nic, robiło się bardzo wiele.

Ksiądz Jordan był duszą wszystkiego. Choć Niemiec pochodzeniem, był

prawdziwym chrześcijaninem i przywiązał się dawno do Słowian, teraz do Polan, których stał się bratem serdecznym. Pan Bóg go stworzył do tego posłannictwa, dając mu anielską cierpliwość, wesele a przytomność ducha, nie opuszczające go nigdy.

Na grodzie zbierały się ciągle kupy wojska, wśród którego ksiądz Jordan prawie nieustannie się krzątał. Dawał się spoufalać z sobą, zyskiwał ludzi przysługami i datkami, a potem na proste umysły umiał działać bardzo też prostymi środkami. Toż samo, na inny sposób, Dobrosław robił u dworu. Nie upłynął tydzień, ażeby w kaplicy książęcej nie ochrzczono kogoś potajemnie, a każdy neofita, stawał

się natychmiast narzędziem do nawracania towarzyszków. Z władków i żupanów kilkunastu już dało się skłonić do przyjęcia chrztu, ci w domach swych tygodniami ugaszczali księdza Jordana. Wiara chrześcijańska miała dla nich, oprócz tego uroku, jaki jej tylko jest właściwym, potęgę jakąś wyższości, siły, którą z sobą niosła, mającej kraj podnieść i odrodzić, postawić go na stopniu równym innym. Moźniejsi wiedzieli, jak stały naówczas chrześcijańskie narody zamożnością,

obfitością wszystkiego, umiejętnością życia w pokoju i wojnie. Przykład Mieszka, połączonego z żoną chrześcijanką, gotowego do przyjęcia uroczystego tej wiary (z czego nie czyniono tajemnicy), skłaniał możniejszych do naśladowania. Dubrawka otwarcie ich do tego namawiała i nagliła o pośpiech.

Chociaż wszystko na pozór niby jakaś osłaniała tajemnica, lud, który stał przy swych starych bogach, wróżbici i gęślarze, starszyzna, ofiarnicy wiedzieli dobrze, co się po dworach działo, co na zamku gotowano w milczeniu. Obawiając się jawny stawić opór, zbiegali starowiercy w głąbie lasów, knowali i przemyślali nad zemstą, grozili nią, ale na nic się porywać nie śmieli. Starszyzna czekać kazała pomyślniejszej doby, wojny lub zawikłania. Szukano wodza i znaleźć go było trudno. Mieszko, choć milczący i nieczynny znali go był im strasznym. Wiedzano, że to, co go otacza, dwór, wojsko, urzędnicy będą mu ślepo posłuszni. Nie było zresztą pozorów do poruszenia ludu, bo jawnie kneź nic nie czynił przeciwko staremu obyczajowi.

Z każdym dniem tymczasem rosło a mnożyło się chrześcijaństwo, najmniej jednak między ludem, który trzymał się tego, do czego nawykł od wieków. Na oko więc spokój był największy, ale kneź wiedział przez swych ludzi, że po lasach wrzało i opór się przysposabiał. Dlatego może, chcąc być pewniejszym zwycięstwa, zwlekał kroki stanowcze. W ciszy uroczystej przysposabiało się to dzieło, które o przyszłości narodu stanowić miało.

Wśród tego niewiadomego trudu ucierano się na granicy z Geronem i jego namiestnikami; Mieszko wychodził sam, wysyłał Sydbóra; walczone ze szczęściem różnym.

Nadchodziły wielkanocne święta. Ksiądz Jordan wielkie ponosił utrapienie z kneziem, do postu go nie mogąc nałamać, w czym i Dubrawka mało pomogła, Mieszko wcale ich słuchać nie chciał, mięso na stół przynosić kazał, żonę do jedzenia go zmuszał i lekce to sobie ważył. Miał się już ów czterdziestodniowy post ku końcowi, gdy jednego dnia nagle zapowiedziano podróż jakąś. Śmiejąc się Dubrawka spytała go, czyli by od tej nakazanej wstrzeźliwości uciekał.

Rozciągała się ona, jak widzimy z opowiadań Dytmara, nie tylko do użycia mięsa, ale do wszelkich innych przyjemności cielesnych, od których się czasu postu powściągać musiano. Mieszko jakoś na te przestrogi i namowy był głuchym dotąd i pytanie Dubrawki zbył dwuznacznym głowy ruszeniem.

Badała go więc, dokąd jechał, ale śmiechem i milczeniem odpowiedział; próbowała się dowiedzieć, czy zabawi długo, rzekł obojętnie, że tego naprzód obrachować nie może. Coś tajemniczego, niezwyklego podróż ta zapowiadała.

Ksiązę wyruszał zwykle w licznym poczcie, teraz zaledwie kilkunastu wyznaczył

ludzi. Między innymi, co było najdziwniejsza, i ksiądz Jordan miał mu towarzyszyć.

Suknie i konie, z których baczna Dubrawka odgadnąć coś chciała, wybrane były tak, jakby Kneź się ze swoim dostojenstwem nie bardzo chciał objawiać. Orszak też ani zbyt lichym być miał, ani nadto pokaznym.

Trwoga jakaś ogarnęła żonę. Znajac męstwo męża, mogła się obawiać, że się zuchwale z garścią tą

gdzieś rzucić może. Próbowwała księdza Jordana o cel wycieczki, kapłan jej słowem swym zaręczył, że nie zna go, nie wie o niczym, a we zwany, posłusznym być musi.

Jednej nocy, dobrze nad ranem, nim się reszta dworu przebudziła, kneź siadł na koń i z tą szczupłą garstką zniknął z grodu. Nie wiedziano nawet, w którą się udał stronę.

Stara Różana, która usiłowała sobie zaskarbić łaski nowej pani, tegoż dnia szepnęła jej po cichu, iż od szatnego się do wiedziała, jakoby Mieszko w podróż szaty i stroje pobrał na krój niemiecki, a ludzi kazał też tak poodziewać, aby ich nie łatwo poznać można, do kogo należeli. Zdawało się to więc dowodzić, że się udać musiał do Niemiec, co i towarzystwo księdza Jordana potwierdzało. Wiedziała Dubrawka o tym, że sąsiadując i nieustannie mając do czynienia z Niemcami, Mieszko od dzieciństwa języka ich dobrze się wyuczył. Mógł więc przekraść się nie postrzeżony, ale trwogą myśl tej wyprawy napełniała serce Dubrawki, bo z twarzy mógł go łatwo poznać niejeden nieprzyjaciel, co go widział z bliska na polu bitwy lub przy zjazdach i umowach na granicy.

W istocie Mieszko, nikomu się nie zwierzywszy z tego, dążył ku granicy niemieckiej, do Sasów.

Na pół drogi zjechał się z nim Chotek, nawrócony dawniej wódz Lutyków, z którym stosunki były częste, choć tajemne; Mieszko połączył się z nim, przybrał

imię Wrotka, knezia, krewniaka jego i w podwojonym orszaku wkroczyli na niemieckie ziemie. Nie lękał się od nikogo zdrady, gdyż najmniejszej po sobie nie okazując obawy, jechał jako sprzymierzeniec cesarski, przeryzując się ku Quedlinburgowi, gdzie zwykłym swym obyczajem cesarz Otto święta miał

przepędzać.

Znając dotąd tylko z posłuchów kraje niemieckie, Mieszko po raz pierwszy mógł się im przypatrzeć z bliska, a przekonać o wielkiej różnicy między nimi a ziemiami słowiańskimi.

Przejeżdżali miasta, osady, mijali zamki, świadczące o urządzeniu kraju zupełnie różnym i na pozór silnym, tak że wojna nigdy go całkiem spustoszyć nie mogła. Ludzie tu trzymali się spójnie i karnie, wszędzie nad sobą mając władzę surową.

Podróż szła powoli, a w drodze było się czemu przypatrywać. Kościoły i klasztory, stojące po wszystkich znaczniejszych osadach, wyglądały wspaniale: dwa razy ksiądz Jordan zapukał do wrót gościnnych opactw i monasterów i

zgrupowaniom tym a kunsztom, które one uprawiały, Mieszko się przyglądał ze zdumieniem. W owej epoce przepisywanie ozdobne rękopismów, malowanie, rzeźba, złotnictwo, szczególnie dla potrzeb kościoła i klasztorów, były w rękach zakonników. Oni kuli sprzęty ze srebra, złota i brązu i okrywali je świetnymi barwami.

Duchowieństwo świeckie i zakonne nie tylko w tym, we wszystkim

przodowało. Tryb życia i porządek był tu całcie inny. Siła, która wcale nie istniała u Słowian, bo tam kapłanami byli naczelnicy rodzin, starszyzna, kneziowie, wróżbici, siła osobnego stanu kapłańskiego, występująca obok i na równi z władzą świecką, podpierająca ją, kierująca nią zarazem, tu się objawiała Mieszkowi jako nowa i nie znana.

W obecnej chwili cesarska potęga Ottona była tak wielką, że sobie przywłaszczała zwierzchnictwo i nad duchowieństwem; właśnie był cesarz zrzucił

Jana XII, a Leona VIII na stolicy osadził, zapewniając dla swych następców prawo ustanawiania głowy Kościoła. A jednak cesarz ten sam ulegać musiał

duchowieństwu i w niczym sprzeciwić mu się nie mógł. Otaczało go ono czcią, ale stało na straży prawa i sumienia, wskazywało drogi, broniło fałszywych, groziło karami, rzucało anatemy. Była to siła nie znana słowiańskiemu panu, a tej poddać się on musiał. Stała ona ponad wszystkim, cesarz kłonił przed nią głowę.

Po drodze ustępować musieli z drogi orszakom biskupów, świetniejszym niż świeckich hrabiów i książąt, potężnie zbrojnym, ciągnącym z bogatymi dwory, okazałością i powagą, a choć edykta zakazywały zbroi i hełmu duchownym (wyrzucano ich używanie Janowi XIII), wielu prałatów jechało przy mieczach i w zbroi.

Książdz Jordan opowiadał ciągle, ile to ziem i osad należało do kościołów, ile szlachty wpisało się w ich opiekę i poddaństwo. On mu był, tłumaczem "wielu zagadkowych rzeczy, które poganinowi na pierwszy rzut oka zrozumieć było trudno.

Uderzały one silnie człowieka, nie obeznanego z tym światem nowym, z jego hierarchią i porządkami, ale Mieszko umiał tak pokrywać swe zdziwienie, iż się z nim nie wydał wcale.

Nie unikali spotkań i znajomości; Chotek, towarzyszący Mieszkowi, znał tu wodzów i grafów wielu, przed którymi pokornym był sługą, choć w duszy ich nienawidził. Wdawano się więc w rozmowy i ciekawych spraw nasłuchać się było można. Kneź, z którego twarzy biła buta nieposkromiona, jak mógł, pokornego Lutyka udawał. Ten i ów pytał ich, po co i z czym jechali; Mieszko mruczał, że z pokłonem i ciekawością jedzie, aby tak możnego władcę jak cesarz Otto zobaczyć.

Nikogo to nie dziwiło; ciągnęli również, jak wiedziano, po słowie od Ugrów, Bułgarów, od Duńczyków i Greków.

Było to w Wielkim Tygodniu. Wiosna, acz wczesna, niestała była i

przemieniana; deszcz i śnieg ze słońcem walczyły, drogi kałużami stały, rzeki były wezbrane i podróż uprzykrzona szła powoli. A tuż ku Quedlinburgowi się zbliżając, coraz było tłumniej na gościńcach. Wzgórzystsza coraz okolica, piękna dla oka, jeszcze się w zieloną trawę nie była całkiem przybrała, łąki tylko już młodą trawą się okryły. Tu oczów od najrozmaitszych widowisk oderwać było trudno: tłumami płynęły ku miastu poczty książąt, grafów, margrafów, biskupów i wszelkiego ludu.

Wśród nich i słowiańskie książątka zawojowane spotykały się, ciągnące z żalami i prośbami do

cesarza. Konne te poczty, zbrojne różnie, każdy odziany inaczej, mówiące językami najrozmaitszymi, spoglądały na siebie ciekawie, często nie bardzo przyjaźnie, szydersko nawet i wzgardliwie. Grekom śmiesznie wydawały się obciste frankijskie stroje, Bułgarom saskie okrycia głów słomiane, a tym, co z odkrytymi włosami jechali, czapki Włochów zdały się próżnym ciężarem.

Mieszko, choć pańsko wyglądał z lica, z małym swym niepokąźnym

orszakiem ginął w tej powodzi. Było mu to może na rękę, gdyż więcej widzieć pragnął, niżeli być widzianym. Wiodło mu się też bardzo szczęśliwie i nie zwracał

oczów na siebie, aż o pół dnia drogi do miejsca, ku któremu dążyli, gdy tu, całe niespodzianie, o mało bez niczyjej winy zdradzonym nie został.

Z rana, spuszczać się z góry, natrafili na liczny i okazały poczet, który z dala ciekawość knezia obudził. Dla dognania go konie puszczone kłusem i w chwili, gdy się mijać mieli, obróciwszy się, Mieszko poznał na przedzie jadącego swojego szwagra, młodego Bolka czeskiego. On też przez niego postrzeżonym został i poznanym, nie pozostało mu więc nic, jeno, zatrzymawszy konia, przyznać się do potajemnej wycieczki pod cudzym imieniem.

- Spodziewam się - rzekł Mieszko - że ani Wy, ani ludzie Wasi, nie zechcecie wydać mnie, kim jestem. Jadę, abym się przypatrzył oczyma własnymi temu, o czym mi ludzie opowiadali, ale nie chcę, aby o mnie wiadano.

Bolko nie tylko zgodził się na to chętnie, ale dla bezpieczeństwa większego zaprosił, aby się Mieszko z nim połączył, by jadąc w jego orszaku, mniej jeszcze oczów zwracał na siebie. Tak też się stało i skromnie w poczet Czechów wmieszawszy się z ludźmi swoimi, chętnie zgodził się kneź na podrzędne stanowisko, Bolkowi dając pierwszeństwo.

Chociaż w tym roku napływ do dworu cesarskiego mniejszym był może niż w innych latach, zawsze jeszcze był dość znacznym, aby dać pojęcie o potędze cesarza Ottona. W murach miasta, na zamku, cesarz zaledwie i najbliżsi go z rodziny i dworu, a najdostojniejsi z duchowieństwa, arcybiskupi, książęta Kolonii, Trewiru, Moguncji pomieścić się mogli; reszta gospody sobie pod namiotami w polu szukać musiała nad obu ramionami Body .

Poczty pańskie, niemal wszystkie dokoła na równinie i stokach wzgórzów otaczających rozkładały się obozami, a namioty różnobarwne, szałas i budy wielką już przestrzeń zajmowały. Gdzieniedzie ponad nimi powiewały małe chorągiewki z przeróżnymi znakami. Wśród ciżby wojskowych i ciurów tłum najróżnorodniejszych handlarzy, kupców, kuglarzy i posługaczy roił się, wykrzykując i nawołując. Bliżej bramy miasta, przy wozach okrytych, kupcy z Wenecji i Amalfi dobijali się wnijścia dla sprzedaży. Na tysiące liczyć było można poczty panów, które już Bolka i Mieszka poprzedziły, tak że chcąc sobie dogodnie i niezbyt odległe znaleźć miejsce na obozowisko, musieli szukać długo, dobierać, a potem się o nie prawie z orężem w rękę dobijać jeszcze.

Z samego miasta, mocnymi mury i wieżami obwarowanego, widoczniejszymi były niż pałac cesarski klasztory i kościoły, niedawno jeszcze z wielką wspaniałością wzniesione i obdarowane. Cesarskiej krwi niewiasty pobożne pierwszymi tu były opactwa przeoryszami; w zamkowym kościele sascy

panowie grób wystawili dla siebie, tu spoczął Henryk, ojciec Ottona, i matka jego. Kopyły i krzyże kościelne wysoko panowały nad grodem.

Zaledwie spoczawszy na wytkniętym obozowisku, które Bolko znamieniem

swym na włóczni osadzonym naznaczyć kazał, wdziawszy suknię i przypasawszy miecze, Bolko i Mieszko razem poszli do kościoła. Na nieszpornym nabożeństwie najłatwiej mogli ujrzeć z dala pobożnego pana, którego oba oglądać byli ciekawi.

Z nimi i za nimi szedł tłum mnogi z obozu ku kościołowi, wśród którego różne narodowości rozpoznać lub domyślać się ich mogli. Frankijskich strojów prostota mieszała się już z grecką, ze Wschodu przywiezioną wykwintnością, krótkie opończe niemieckie ocierały o płaszcze dalmackie fałdziste; szli giermkowie dwubarwni, których odzież na poły była żółta i niebieska, obok rycerzy zbrojnych jakby do wojny z dzidami w rękę, tarczami, nożami u pasa i mieczami. Jedni z długimi włosy i odkrytymi głowy, drudzy w skórzanych, blachami obciążanych hełmach, inni w słomianych kapeluszach i czapkach futrzanych. Wprawniejsze oko mogło rozpoznać Sasów, Bawarczyków, Franków i Szwabów, Włochów i Duńczyków, Greków i

Ugrów w dziwnych strojach przybranych bogato. Fryzyjskie płaszcze, greckie okrycia, jedwab i wełna składały się na ubiory pstre i jaskrawe, a błyskotkami nawieszane. Dawna prostota Franków ustępowała już obyczajowi nowemu. Przepych dworu saskiego i bizanckiego odbijał się w hołdownikach Ottona, który Rzym i Włochy zagarnawszy, z nich miłość do wystawności i błyskotek przyniósł z sobą.

Do kościoła zaledwie się już mogli docisnąć. Mieszko po raz pierwszy oglądał

z bliska budowę z takim kunsztem i okazałością, jakby nie ludzką ręką wzniesioną.

Kamienne jej ściany wyniosłe, sklepienia wiszące w powietrzu, ozdoby, oświecenie, bogactwo ołtarzów, choć teraz na wpół zasłanymi żałobnymi okrytych, szaty duchownych, naczynia ofiarne, postacie Ukrzyżowanego, gołąb złocisty nad ołtarzem, zdający się ulatywać w powietrze, skrzydlate anioły, olbrzymie posągi przejmujące grozą, surowe i straszne, odgłos śpiewów pełnych boleści, uroczysty spokój świątyni i pokora wszystkich w niej znajdujących się, uczyniły wrażenie jakiejś trwogi i niepokoju na mieszkańcach i panu krajów, żyjących w pierwotnej wieków prostocie.

Trony - cesarski i biskupi, stojące naprzeciw siebie, zwróciły naprzód jego oczy. Na jednym z nich siedział w czapce ze złocistym kołem i przepaską kamieniami sadzoną mąż o surowej twarzy, z brodą ciemną nie strzyżoną, z pochylonym czołem, zamyślony i smutny. Twarz to była rycerza, pana, człowieka nawykłego walczyć z losem i przełamywać, co stało na drodze, poorana

marszczkami, fałdami porznięta, ogorzała, zmęczona. Domyśleć się było można w nim ojca, co musiał walczyć z synem, z bratem, z papieżem, z cesarzem bizantyjskim, z Saraceny i Ugami, ze Słowianami i własnym narodem, który zwyciężył wszystkich i teraz spoczywał w swej sile, marząc może o połączeniu dwóch koron cesarskich na jednej skroni, przez Teofanię dla syna wyswaną.

Odziany płaszczem purpurowym, obszytym klejnotami, spiętym klamrą iskrzącą na piersi, w

przepasanej kosztownym pasem od miecza tunice, w szkarłatnym obuwiu, Otto siedział na tronie złotym, którego dwie lwie paszczęki spod fałdów płaszcza wyglądały. Zamyślony słuchał pieśni, która się lała powoli jak krew z rany. Nie rozumiejąc słów jej, czuć było jęk jakby konających z rozpaczy.

Tuż przy tronie, na stopniach, aż do dołu posadzki, ustawieni byli, jak posągi nieruchome, cesarscy urzędnicy wedle dostojęstwa, dzierżący miecze, laski, tarcze pańskie i godła władzy. Z odkrytymi głowami, ze wzrokiem spuszczonego obwieszeni łańcuchami, okryci płaszczami bogatymi czuwali na straży przy panu.

Naprzeciw, na drugim tronie, niższym, ale wspaniałym jak cesarski, pod baldachimem także, siedział starzec z brodą siwą, z głową okrytą czapką dwurożną złocistą, od której dwa końce szyte spadały, w płaszczu bogatym, ze złotą laską pasterską w ręku. Otaczał go równie prawie liczny orszak duchowieństwa, przyklękającego przed nim, przynoszącego mu światło i kadzidło, podtrzymującego księgi w złotych okładzinach, rękami ich gołymi dotknąć nie śmiejąc.

Przed nimi obu i nad nimi wznosił się ołtarz, a wśród niego na prostym krzyżu z ledwie ociosanego drzewa umęczony Zbawiciel, ranami okryty, konający, odarty, w cierniowej koronie, królował wyżej purpury i złota, w majestacie boleści.

Mieszko, duchem poganin jeszcze, nie rozumiał tego Boga, ale drżał przed nim.

Niżej stał tłum ogromny, w żelazo okuci rycerze, cali w łuskowych kaftanach, niektórzy z tarczami okrągłymi, po których Duńczyków poznać było można; inni z owalnymi, rzymskimi, inni z ogromnymi puklerzami gockimi, z mieczami u nasadzonych pasów złotych, w blachach, w okryciach jasnych, w strojach najrozmaitszych, Longobardowie, Włochy, Skandynawy. Grecy, Dalmaci,

Bułgarowie, Francuzi.

Na każdej z tych twarzy czarnych, białych, śniadych, czerwonych, żółtych, napiętnowanej pochodzeniem odmiennym, inny charakter, inne ludzkie tryskało uczucie i myśl, to rozbudzona, to na pół uspiona, to w pieluchach dziecięcych drzemiąca. Wszystkie te sprzeczności, niesforności, zapaśnictwa w milczącej czci łączyła jedność wiary i jedna karna władzy podległość.

Potęga tego Boga i pana chrześcijan, który w jego imieniu sprawiał rządy nad światem, nigdzie się wyraźniej odmalować nie mogła, jak tu i w tej chwili. Na skinienie z tych dwu tronów w najodleglejsze krańce ziemi gotowe były biec te hufce i ćmy zbrojne.

Mógłże Mieszko walczyć z tą siłą jak fale wzburzonego morza wylewającą się na ziemię? Stał on wpatrzony, zamyślony, a w głowie jego zarazem przesuwało się wspomnienie o wszystkich ziemiach jednej mowy, rozdzielonych, rozproszonych, rozbitych, które on mógł w imię tej samej bożej potęgi zjednoczyć. Mieszko czy Bolko, ktokolwiek miał rozum i siłę, nie miałaby państwa od granic Bizancjum aż po rubieżę Ottona?

Upokorzenie, uczucie słabości, jakiego doznał na chwilę, ustąpiło dumie pewnej i nadziei. Sascy książęta w swym gnieździe nad Łabą byliż dawniej potężniejsi od niego? Ażeby dorosnąć do tej

potęgi, potrzeba było tylko tych dwu tronów siłę uspić, sprzymierzyć się z nią, pokłonić jej, cierpieć, milczeć, unżyć się, by podnieść, może dopiero w spadku pokoleniom zostawić owoc tego upokorzenia i ofiary.

Gdy w chórze brzmiały żałobne pieśni kościelne, Mieszko stał, myśląc o sobie, o przyszłości rodu i narodu swojego, okiem trwożliwym badał tę twarz cesarską, niepojętą dlań, bo widział na niej teraz pokorę tylko i smutek. Tak pokornym musiał

on być, aby pozyskać siłę.

Ściśnięci wśród mnóstwa napełniającego świątynię, stali aż do końca długich modłów i śpiewów. Umilkły wreszcie i cesarz, przykłonawszy, ruszył ze swojego tronu, przeprowadzany przez biskupa i duchowieństwo. Niesiono przed nim światło i kadzono mu jak bóstwu. Szeregiem przed nim postępowali dostojnicy, dzierżący miecze, tarcze, laski, rozgarniając tłum, strzegący, aby się suknia pańska nie otarła o ciżbę poślednią. W tym orszaku szedł Billung saski i Otto król, syn cesarski, i Luitgarda, i książęta bawarscy, i mnodzy inni. We drzwiach świątyni znikało powoli widzenie, kościół ciemniał, mrok i cisza zalegała go, lampy płonęły tylko u grobu Chrystusa.

Bolko i Mieszko stali długo, przypatrując się odpływającym tłumom, które po ulicach miasta, w podwórcach pałacu i drzwiach domostw znikały.

I im pora było odchodzić do obozu, gdyż do oblicza cesarskiego nie

przystępował nawet z daleka, kto chciał. Poszli więc w milczeniu, nie mówiąc nawet do siebie, i dostawszy się do bramy, znaleźli się na obozowisku. Tu paliły się latarnie, gdzieniegdzie pobrzękiwała muzyka i mimo żałoby odzywały się śpiewki, rżały konie, a okolica przypominała przeddzień bitwy, gdy wojsko się położy na pół, wpół czuwa, aby nazajutrz do boju gotowym było. Mieszko, ścisnąwszy szwagra, nie mówiąc słowa o tym, co widział, pod swoim namiotem legł na spoczynek.

Rozdział 7.

Pierwszego dnia Wielkiej Nocy cesarz Otto po nabożeństwie dawał

posłuchanie z dala przybyłym posłom, panom i książętom. Bolkowi też czeskiemu dzień ten do złożenia hołdu był wyznaczony.

Każdy z książąt szedł z poczem swoim, który w pierwszej izbie zwykle pozostawał. Przystęp do cesarza nie był łatwym; otaczał go dwór wielki, ogarniali proszący, skarżący się, domagający posiłków i pomocy, przybyli z daleka. Wielu odsyłał pan do swych kanclerzy, pisarzy i starszyny, licznej ponad miarę, z niektórymi wymieniał słowo dobre, innych całkiem przypuścić nie dozwalał. Stali ci, co gniew na siebie ściągnęli, po trzy dni w podwórcach zamkowych, a w końcu czasem wyniesiono im odpowiedź, aby na rok następny przybyli.*

*Ditmar (Przypisek autora)

Dla Bolka cesarz, jako świeżego sprzymierzeńca, mając w pamięci Ugrów może i Lechowe pole, łaskawszym się okazał. Wpuszczono go dla pokłonu, a Mieszko, wmieszawszy się między poczet szwagra, z dala się tylko przypatrywać mógł majestatowi cesarskiemu. Otto siedział na złocistym krześle, okrytym poduszkami szkarłatnymi, w jedwabnej sukni lekkiej, perłami obszywanej. Poza nim stał cały dwór w łańcuchach, szkarłatach, drogich futrach i pasach kamieniami sadzonych. Niedaleko tronu srebrny stół pozłocisty, na którym widać było wyryty wizerunek stolicy Bizancjum, zastawiony kubki i naczyniami złocistymi, okryty tuwalniami szytymi, błyszczał jak ołtarz kościelny. Obok starego Ottona stał syn w złotogłowie i jedwabiach, sparty na wielkim mieczu, którego pochwa iskrzyła się od szmaragdów i rubinów. Bogactwa nagromadzone dookoła zdawały się umyślnie, aby olśnić tych, co cesarzowi pokłonić się przychodzili. Wszystko, na co ówczesna sztuka grecka, handel Wschodu, zręczność Włochów i Gallów zdobyć się mogła, otaczało cesarza. Szkarłaty, o które się tak dobijał Luitprand dla Ottona, jak o rękę Teofanii dla syna jego, rozlegały się wszędzie. Podłogę wyścielały kobierce, ściany okrywały, szyte królowej Matyldy i Edyty, córki Luitgardy i Matyldy ręką, opony wzorzyste.

Wszystko to jednak najmniej Mieszka zdumiewało; w swym skarbcu, w

drewnianym dworze nad Cybiną miał może tyleż drogiego kruszcu, co Otto.

Zazdrościł mu nie złota i jedwabiu, ale powagi i siły, tych zjednoczonych ludów, podbitych narodów, szerokich granic i mnogości hołdowników. Z dala spojrział na cesarza, na syna, jakby badał myśl ich i ducha.

Bolka przyjął Otto łaskawie; o ojca starego zapytał, o Ugrów, których posłowie przybyli, zagadnął, skinął i odprawił. Tego dnia Bolka z poczem jego przedniejszym wezwano do pańskiego stołu i mieli cześć obiadować z niemieckimi książętami, poglądającymi na ochrzczonych Słowian jak na stworzenia, co ledwie ludźmi nazwać się mogli. Mieszko słuchał, jak się na niego odgrażano i jak mu wróżono zagładę. Na próżno Bolko oznajmił, iż wkrótce wiara chrześcijańska ogłoszona zostanie u Polan, szydzono z tego i naśmiewano się. Któryś z margrafów ozwał się, że jeden tylko Gero chrzci skutecznie Słowian, przypominając tę ucztę, na którą zaprosiwszy kilkudziesięciu wodzów słowiańskich, margraf ich wszystkich w pień wyrżnąć kazał.

Już ku końcowi utrapionej biesiady świadkami im być przyszło

niespodzianego wcale wypadku. W podwórzu wrzawliwe zaczęły odzywać się głosy, mianowicie jeden górujący zuchwale nad innymi. Poskoczyła więc pospiesznie służba cesarska, aby uśmierzyć wrzawę, gdyż Ottona brwi groźnie się marszczyć zaczynały.

W drugiej komnacie, do której drzwi były odsłonięte, siedział cesarz u srebrnego stołu z córkami i synem. Dano mu znać, iż gwałtownie i natarczywie dobijał się przypuszczenia Wigman, graf lunenburski. Był to ten krewniak cesarski, którego Włast spotkał na zamku grafa Gozberta, niespokojny duch, któremu się zdało może, że jak Ludolf i Thankmar potrafi zmusić Ottona do dania mu jakiej marchii nad granicą lub księstwa wewnątrz Niemiec. Znano go wszakże zbyt dobrze, aby mu zaufać miano. Wigman miewał sobie poruczone zlecenia i dowództwa, a nigdy z żadnej sprawy nie wyszedł inaczej jak z waśnią i bójką. Dostyc było imienia Wigmana, by cesarzowi popsuć biesiadę i myśl wesołą; wysłał natychmiast przeciw niemu podkomorzego, czekać mu w podwórzu

rozkazując.

Wigmanowi, który się mianował jakimś siostrzeńcem Ottonowym, w

podwórzku, między gawiedzią wystawionemu na pośmiewisko, stać się nie chciało.

Odrzekł więc hardo, że czekać będzie, ale nie z pacholkami, tylko w cesarskich komnatach, i wszedł gwałtem prawie do pierwszej z nich, gdzie właśnie między innymi książęty i grafami Bolko z Mieszkiem siedzieli. A że niejeden już raz kneź

się z nim oko w oko w bitwach spotykał i dobrze się znali, uląkł się przeto Mieszko, aby nie był przezeń wskazanym, i podparłszy się na stole, twarz sobie w części zasłonił. Gdyby Wigman go publicznie po imieniu nazwał, a podstępne przybycie na dwór cesarski odkryło się, wiedział Mieszko, iż mu to groziło niebezpieczeństwem, bo nie będąc jeszcze sprzymierzeńcem Ottona, za szpiega wypatrującego mógł być wzięty. Szczęściem dla niego, Wigman wszedł jeszcze cały oburzony i gniewny za doznane zrazu przyjęcie obelżywe i niewiele widział, co się wkoło niego działo.

Stanąwszy naprzeciwko drzwi i stołu cesarskiego, wlepił oczy w Ottona i już ich z niego nie spuścił. Cesarz zaś, który i widział go pewnie, i słyszał, i przez podkomorzego był o nim zawiadomiony, choć siedział naprzeciw, ani nań spojrzął, ani okazał, że się on bynajmniej troszczy. Śmiał się i rozmawiał, umyślnie niby objawiając, że go to nic nie obchodzi, a przeciągał siedzenie u stołu, aby zuchwałego człowieka upokorzyć.

Wigman, któremu pewnie stało na to, aby wystąpił przed cesarzem, jak dla niego przystało, ubrał się ubogo, odarto, niemal brudno, we zbroję porwaną, w chodaki poszarpane, miecz na lada jakim pasku, aby okazał, jak krewniaka w nędzy opuszczono. Lecz mimo to duma biła mu z zasępionej twarzy i strój jeszcze wybitniej podkreślał butę człowieka, który się równy krwią z Ottonem sądził.

Wszyscy książęta siedzący u stołu widząc, na co się tu za nosi, radzi byli doczekać końca sprawy, a spodziewać się było można, że cesarz, publicznie doznawszy napaści hałaśliwej, która jego dostojeństwu uwłaczała, zechce ją powetować tak, aby wszyscy byli świadkami upokorzenia dumnego panka. Gdy się to przedłużało, Mieszko ciągle twarz musiał odwracać i ukrywać, aby przypadkiem w oko nie wpaść nieprzyjacielowi. Na ostatek, gdy misy srebrne sprzed cesarza zdjęto i obrusy szyte, a uczta była skończoną, wyszedł podkomorzy cesarski, dając znak, ażeby się przybliżył.

Jakby od niechcienia, z wolna począł iść Wigman, niby pyszniąc się swą odartą odzieżą i we drzwiach naprzeciwko Ottona stanąwszy, ledwie głowę przed nim skłonił. Dopiero teraz cesarz z groźnym obliczem, zmierzyszy go oczyma, potarł

gęstą i długą brodę i stłumionym głosem zapytał go, czego chce.

- Czego ja chcę, Miłościwy Panie, - ochryplym i gniewnym tonem odezwał się Wigman, - łatwo to odgadnąć, spojrzawszy na mnie i przypomniawszy, kto jestem.

Wszyscy ci nawet, co wojowali z cesarzem i miecz na niego podnieśli, wyposażeni są, a Wigman nie

ma nic. Czas, ażeby się to skończyło!

Otto słuchał, nie patrząc nań.

- I Wigman, - rzekł, - wyposażony był przez cesarza, a wypłacił mu się nieposłuszeństwem i zradą. Niechże cierpi!

- Cesarskiemu domowi nie przynosi to zaszczytu - mruknął Wigman - gdy się krew jego wala, nie mając przytułku i jak płatny ciura służyć musi. Gdy krew zła, to ją z żyły puszczają odparł Otto.

Wigman się cynicznie rozśmiał.

- Nie przyszedłem prosić o łaskę, ale o sprawiedliwość - rzekł. - Na to Was Bóg posadził na tej stolicy, abyście ją sprawiali.

- I pełnię ją, - odparł Otto groźnie, - z większym miłosierdziem niż surowością. Jeżeli zaprawdę zgrzeszył, to chyba łaskawością względem tych, którzy się nigdy opamiętać i nigdy poprawić nie umieją, nawet gdy się im czas daje do pokuty.

- Spójrzcież na mnie - począł, podnosząc głos Wigman, - spójrzcie, a może wyrozumiecie, iż mam słuszość przychodzić tu z żalem i skargą. Przystałoż mi tym być, czymście mnie uczynili? To mówiąc i śmiejąc się szydersko, pokazał na poszarpaną odzież i zbroję.

- Nie myśmy z was uczynili takiego nędzarza, ale wy sami! - zawołał cesarz.

- Zamiast siedzieć na waszym hrabstwie, kumaliście się ze wszystkimi

buntownikami, próbowaliście Słowian zbierać przeciwko nam, wskazywaliście im drogi, chodziliście z nimi.

- Tak samo syn Wasz rodzony chodził przeciw ojcu, gdy mu się

niesprawiedliwość stała. Prawda, szukałem obrony u Słowian, nie mogąc sprawiedliwości znaleźć u Ciebie.

- Idźże i dziś do nich, niech ci pomogą! - odrzekł popędliwie Otto, wskazując na drzwi.

Wigman stał, patrząc dumnie i szydersko.

- To ostatnie cesarskie słowo? - zapytał.

- Proście Boga, aby ono było ostatnim - zawołał Otto - bo po nim mogłoby z ust moich wyjść jeszcze inne, które by na wieki sprawę między mną a tobą rozstrzygnęło!

Wigman, posłyszawszy to, nie zmienił postawy, nie uląkł się i nie ruszył.

- Dobrze jest - rzekł ponuro - iż tego wyroku, groźby i przyjęcia licznych mam świadków. Nie

powiedzą ludzie, że Wigman nie upokorzył się przed swym panem, nie prosił i że został odepchnięty.

Cesarz odwrócił twarz; syn i córki stały w milczeniu, nieco cofnąwszy się, widocznie strwożeni. Świadkowie też mimowolnie w pierwszej izbie z zajęciem oczekiwali końca tej rozprawy, która mogła się albo więzieniem rozstrzygnąć, lub wygnaniem. Otto wszakże ścierpiał tę dumę krewniaka, a gdy ten stał ciągle nieruchomy, dodał:

- Jedźcie, gdzie wam nakazano być, pod rozkazy Gerona, czyńcie, co on poleci, a po upływie roku, gdy nic wam do zarzucenia nie będzie, zobaczymy, co wam sprawić będziemy mogli.

- Pod rozkazy Gerona? Ja?! Pod jego zwierzchnictwo? - krzyknął Wigman. -

Ja bym to ścierpiał, aby mi jeden taki prosty człek przewodził? Aby mnie upokarzał i wysługiwał się?

Cesarz nie chciał już odpowiadać, Wigman, zaczekawszy i widząc, że zmiany wyprosić nie potrafi, ruszył się nareszcie.

- Niech więc się stanie, co przeznaczono - rzekł. - Nie z ręki Waszej, Miłościwy Panie, ale z ręki Boga przyjmuję, na co mnie skazujecie. Będę wiedział, co mam czynić. A jakiegokolwiek następstwa z tego wynikną, niech spadną na tego, co je wywołał. Wigman jest nędznym, ubogim wojakiem, nie mającym przyjaciela ani sprzymierzeńca dodał ale Bóg wielki. Znajdą się może, co go poratują i siłę mu dadzą.

Ta odgródka rozgniewała Ottona, który zwrócił się do swojego dworu.

- Dziękuj Bogu, zuchwały człecze - zawołał - iż dnia Zmartwychwstania Pańskiego, dnia triumfu i wesela nie chcę surowością pokalać! Oddał się natychmiast! - na drzwi po wtórnie ukazał Otto.

Zaczynali się ruszać przybocznicy jego i Wigman, zapewne obawiając się, aby zuchwalszy który na nim ręki nie położył, z twarzą gniewem zmienioną, cofać się począł. Milczenie straszne w obu komnatach towarzyszyło temu powolnemu pochodowi. Jakby obawiając się napaści, Wigman na mieczu położył dłoń i nie ma wątpliwości, że gdyby naówczas kto przystąpił doń, bezkarnie by mu to nie uszło.

Cesarz z dala oczyma śledził każdy krok zuchwałego krewniaka, który nareszcie z wolna i jakby umyślnie mierzył kroki, doszedł do progu pierwszej komnaty, stąd jeszcze groźny wzrok odwrócił na cesarza, popatrzył nań wyzywająco i tak samo, nie śpiesząc, aby nie okazać bojaźni, wyszedł z pałacu.

Jakkolwiek cesarz moc swą i powagę okazał, nieprzyjemne wrażenie po sobie zostawiło to spotkanie. Nikt nie śmiał słowa rzec ani podnieść oczu. Jeden z podkomorzonych wyrzwał za odchodzącym i śledził go w dziedzińcu. Tu Wigman dosiadł konia i w towarzystwie dwóch tylko ludzi, z których jeden wioził jego tarczę, drugi ogromny miecz jednosieczny bez pochwy, z podwórca zamkowego wyjechał.

Łacno się było domyśleć po tym rozstaniu z cesarzem, że Wigman, który już podobnego używał środka, uda się do Słowian i burzyć będzie na granicach plemiona, które najmniejszą nadzieją

połechtą się dawały i nakłonić do buntu. Otto wszakże dosyć był teraz mocen na granicy dzięki Geronowi i przymierzu z Czechami, by się warchoła jak Wigman nie lękać, mogąc raczej spodziewać, iż Słowianie sami w końcu go pochwycają i albo wydadzą, lub zamordują. Nie kazano go więc zatrzymywać ani się go starano ułagodzić i przejednać, puszczając wolno na losy, jakie go spotkać mogły.

Mieszko w czasie tej rozmowy przysłuchiwał się jej z nadzwyczajną uwagą, pierwszy raz słysząc cesarza; z głosu i mowy usiłował go odgadnąć. Posłużył mu Wigman więcej do poznania Ottona niż cały pobyt w Quedlinburgu.

Dnia tego, przed wieczorem jeszcze, na podwórzach młodzież rodzaj gonitwy rycerskiej odprawiała, której sam cesarz z wysokiego ganku się przypatrywał, po czym z duchownymi panami przybocznymi na radę poszedł i na niej do późna pozostał. Niemniej jednak podkomorzowie i stolnicy przy ciągle zastawionych stołach gości cesarskich przyjmowali. Tak upłynęły na nabożeństwach, turniejach, biesiadach, radach i posłuchaniach następane dni, w czasie których Mieszko, ośmielony tym, że go nikt nie poznawał, korzystał z pobytu, aby się całemu porządkowi dworu cesarskiego i jego wspaniałościom przypatrzeć. Ciągle w orszaku Bolka, jako jego powinowaty, skromnie się zachowując, sądził Mieszko, iż nań wcale oczów nie zwracano i nikt o nim wiedzieć nie mógł. Nieodstępny będąc przy Bolku, jego o wydanie tajemnicy wcale posądzać nie myślał ani się go obawiał.

Nadeszły wreszcie dni ostatnie, gdyż cesarz, jak zwykle, za ledwie święta odprawiwszy, w podróż się nazad do Włoch wybierał, których posiadanie więcej go może obchodziło niż sprawy niemieckie. Dlatego tu gotów był ułagodzić, jednać i uspokajać, ażeby tam całą siłę móc obrócić. Ostatniego dnia uroczyste żegnali przybyli cesarza i każdy, wedle stopnia i swojego stanu był obdarzony. Dary te składały się z kosztownych naczyń, pasów i mieczów rycerskich dla przedniejszych osób, bogatych futer i płaszczów jedwabnych, dla pośledniejszych zaś z sukien wełnianych, futer zwykłych i odzieży rozmaitej. Wymagał tego i obyczaj, i cześć cesarza, aby nikt stąd nie odszedł z próżnymi rękami. Na to ostatnie posłuchanie dopuszczano każdy poczet i każdego z książąt i panów osobno, aby cesarz mógł

ustnie wypowiedzieć im, czego nadal po nich wymagał. Niektórym z nich dawał

zlecenia poufne, które na osobności powierzone być musiały. Przyszła więc kolej na Bolka, a temu też bacność na Ugrów poleconą być miała, i siedł on do cesarza, gdy Mieszko, który podarku chciał uwłaczającego sobie uniknąć, zażądał, aby mu dał

zostać. Działo się to w obecności podkomorzego cesarskiego i Mieszko na ucho się zwierzał z żądaniem swym szwagrowi, który nie wiedział, co począć, gdy urzędnik, znać się domyślając może, o co szło, wyraził życzenie cesarza, by Bolko swoich towarzyszków poprowadził, nie odpuszczając. Nie chcąc wzbudzać podejrzenia jakiegoś, Mieszko, przodem puściwszy Sławnika, siedł, starając się jak najmniej być na widoku.

Otto przyjmował wszystkich, siedząc na krześle tronowym takim, jakie

wprzód stało w kościele. Miał też na sobie płaszcz purpurowy i sandały szkarłatne ze złotem. Gdy

wchodzący pokłonili mu się, a Bolko przystąpił naprzód, wielce to zmieszało Mieszka, iż Otton, zamiast na Czechów zwrócić uwagę, pilno mu się przypatrywać zaczął. Kilka słowy potem kazawszy pozdrowić starego Bolesława, podać kazał cesarz kubek złoty, roboty misternej, sadzony perłami i kamieniami, i prosił, by na pamiątkę go przyjął. Innym też dostały się szuby i płaszcze, i Mieszko już się bezpiecznym sądził, gdy cesarz znowu nań pilno bardzo wzrok skierował.

Szepnął coś do ucha podskarbiemu swojemu, a ten mu przyniósł miecz z pasem nadzwyczaj wytwornej roboty, a ceny wysokiej. Poglądali wszyscy zdziwieni, komu by go cesarz chciał dać, gdyż już nikogo tak dostojnego nie było, aby tak drogocenna rzecz dostać mu się mogła.

Ujawszy miecz w rękę, Otto skinął ku Mieszkowi i odezwał się z uśmiechem:

- Nie znam Was, miły Kneziu. Nie wiem nawet, kto jesteście. Dostyc mi tego, że ze sprzymierzeńcem moim i dobrym przyjacielem przybywacie. Chciałbym, abyście i Wy też byli mi przyjaznym; przyjmijcie ten miecz z życzeniem, abyście go nigdy przeciwko mnie nie podnieśli, a raczej z nim w pomoc mi przyszli w potrzebie, tak jak ja gotów będę Was wesprzeć, gdybyście żądali.

Mieszko nie mógł nie przyjąć cesarskiego daru, lecz zarazem uląkł się mocno, domyślając, że był poznanym i zdradzonym. Na twarzy Ottona malowało się raczej zadowolenie i radość, niż gniew lub podejrzenie. Bolko pobladł w obawie, aby nie został posądzonym o wydanie tajemnicy. Nastąpiło krótkie milczenie, a cesarz dodał

jeszcze uśmiechając się:

- Na mieczu tym krzyż jest wyryty. Niech wam przypomni, iż on jedynie jest znamieniem zwycięstwa i że tam, gdzie on nie panuje, ani pokój, ni szczęście panować nigdy nie mogą!

Wszyscy zatem, jeszcze raz się pokłoniwszy cesarzowi, odchodzili, a Mieszko, który swój miecz niósł, nie mogąc go ani przypasać, ani ukryć, ściągnął na siebie oczy całego dworu. Oczywiście było rzeczą, że Otto w nim poznał lub był

uświadomionym o księciu polańskim. Inni domyślali się jeszcze więcej i inaczej, niż było. Szeptano, spoglądając ciekawie na obdarzonego.

Zaledwie w podwórze wyszli, gdy Bolko się zwrócił do szwagra,

poprzysięgając mu, iż nie zdradził on ani żaden z jego ludzi, ale inny ktoś chyba poznać i ukazać go musiał. Mieszko łatwo temu uwierzył, chociaż niepojętym się to zdawało, a podarunek miecza tak bogatego omyłką żadną być nie mógł.

Tym prędzej teraz, obawiając się, aby wieść o nim się nie rozeszła, Mieszko chciał odjeżdżać; posłano po księdza Jordana, który przez cały ten czas u księży przy kościele Świętego Wiperta bawił. Padało nań podejrzenie najmocniejsze, że on przed duchownymi mógł się wydać z tajemnicą, a jeden z nich do cesarza ją zaniósł.

Ksiądz Jordan jednak nie przyznawał się do tego.

Natychmiast obóz zwiącał poczęto i do drogi się sposobić. Inni też goście wyjeżdżali, każdy w swoją stronę; kupcy z bud i szalasów towary na wozy pakowali, ruszając dalej w głąb kraju. Okolice miasta ludna i pełna życia co godzina puściejszą się stawała. Cesarz wkrótce także Quedlinburg miał opuścić i wojsko towarzyszące mu już stało pogotowiu.

Nie wszyscy równie wesoło opuszczali gród cesarski; wielu, jak Wigman, groźbami odprawionych zostało, inni, czego chcieli, nie dopięli. Duchowieństwo tylko całe, pobożnością i dobroczynnością pana wzruszone, opiewało chwałę jego.

Część drogi mając razem ze szwagrem odbywać, Bolko starał się wyrozumieć z niego, jaki dwór cesarski i potęga jego uczyniła na nim wrażenie, nie potrafił

jednak dobrać nic jasnego. Mieszko uśmiechał się, dobrej był myśli, rad z podróży, potakiwał bratu, ale tego, co czuł, nie wydawał.

Rozstali się ku granicy już, tam gdzie się wprzód spotkali, i Mieszko z małym orszakiem swoim puścił się ku Poznaniowi. Następnego dnia o Wigmanie dostał

języka Chotek, który towarzyszył kneziowi, jakoby z Wolinami się zwiącał i coś na pograniczu zamierzał lub przeciwko Polanom, albo nawet Ottonowi, lub obojgu razem. Tym też spieszniej ku domowi dążyć było potrzeba. Chotek wyprawiony został, aby miał oko na swoich i w razie potrzeby z Mieszkiem się łączył. Domyślano się, że Wigman, lub cesarzowi się chcąc zasłużyć, rzucił się do podbojów za Odrę, albo bo i to być mogło obrócić się przeciw niemu, że Słowian sobie groźny zastęp tworząc, by go zastraszył i wyjednał sobie, czego pragnął. Na jednej i drugiej stronie widywano już tego człowieka, który się łatwo przerzucał, gdzie widział korzyść swą lub rozgłos mógł zyskać. Jeszcze z nim trzymali nieraz nadgraniczni margrafowie, gdy już na nich wiazał się z nieprzyjaciołymi. Dla Słowian taki człowiek, jak on, był

pożądanym sprzymierzeńcem, gdyż wojować umiał, odwagę miał, Niemców znał

dobrze, a nigdy nieuspokojonego ducha, ciągle coś knuł nowego, nie spoczywając na chwilę.

Tak jak był nocą i niemal po kryjomu z grodu swojego zniknął, Mieszko, jednej znowu wiosennej nocy, gdy go się nie spodziewano, zjawił się tu po cichu i poszedł Dubrawkę powitać. Nie powiedział jej, kędy był, przywiózł tylko pozdrowienia od brata i podarek, co do myślenia dawało, że w Czechach mógł

bawić, bo Dubrawka o podróży Bolka nie wiedziała.

Tegoż samego dnia do Sydbóra posłano do Gniezna, aby wojska miał

pogotowiu i na dany znak ściągał z nimi. Na zamku ruch się wziął wielki, posłańcy i szpiegi wyprawiono na granicę, ludzi zewsząd spędzano i w przyborach tych do wojny, na czatach niemal stojąc, Mieszko pogodniejszej do czekał się wiosny.

Rozdział 8.

Chodzące po kraju groźne wieści, które przez gadatliwy dwór Dubrawki

mogły być puszczane, kazały się co chwila spodziewać obalenia świątyn pogańskich i powołania ludu do chrztu, tak jak to się w Czechach stało. Niemal co dzień i co godzina wyczekiwano rozkazu, któremu jawnie się opierać nie było sposobu.

Mieszko miał z sobą i przy sobie najdzielniejszą młodzież, ludzi do boju wciągniętych i zupełnie sobie oddanych, a z tymi tłum walczyć nie czuł się na siłach.

W szeregach ich znajdowało się już chrześcijan wielu, liczba ich rosła, starszyzna nawracała się jawnie, cała ludność, bliższa Poznania i Gniezna, powoli już dzieliła się na dwa obozy, stroniąc od siebie i tając przed sobą. Chrześcijanie coraz śmielszymi się stawali, bałwochwalczy coraz bojaźliwsi. Nie w jednej rodzinie ojciec taił się przed synem, brat przed bratem.

Duszą oporu byli starcy, dziadowie, wróżbici, śpiewacy, stróże przy chramach i lud zamieszkały w głębi kraju. Apostołowie jeszcze tam nie byli doszli, i żadnej nie czując zmiany ani z góry nakazu, pochlebiali sobie mieszkańcy osad odleglejszych, że Mieszko nie będzie miał odwagi rzucić się na starą swą wiarę. Przedłużone milczenie, obojętność knezia pozorna, rozmaicie go sobie tłumaczyć dozwalały. Było i takich wielu, którzy sądzili, że Mieszko uwodzi chrześcijan, aby im tym większą zadał klęskę.

Stary Warga, wedle potrzeby, raz przeciwko niemu jątrzył, to znowu w nim kazał pokładać nadzieję. Przybycie Dubrawki zrazu zdawało się zwiastować stanowczą chwilę, lecz gdy upływały miesiące, a nic nie przedsiębrano i kontyny stały całe, różnie myśleć poczęto. Warga i jego towarzysze, co lud się jątrzyć starali i do oporu przygotować, gdy nie było dłużej powodu żadnego do wystąpienia, stracili wpływ i zaufanie. Wzdychano z nimi, pojono ich, ale nie wiązano się słowem żadnym. Na zbiorowiskach, w dnie uroczyste, gdzie się dawniej tłumy zbiegały, teraz coraz puściej było.

Wypadek niespodziany na nowo te ostygłe uczucia przywiązania do dawnych obyczajów rozbudził. O dwie mile od Warty i Cybiny w głąb kraju, w lasach, było jedno z miejsc najwięcej czczonych i jak świątynia szanowanych. Uroczysko zwało się Białem, rzeczka, co je przecinała, Białka lub Świętą. Wody jej w chorobach miały cudowną siłę leczącą, gaj otaczający wzgórze za poświęcony i nietykalny się uważał.

W pośrodku jego wznosiła się od dawna wystawiona nieforemna postać jakiegoś bóstwa, które Bielem nazwano. Ogromny kamień służył mu za podstawę, a bałwan był z drzewa sękowatego, niezgrabnie i grubo wyciosany przedstawiał niby tułub z głową czapką okrytą; bez rąk, bez nóg, z wyrościami, które piersi uwydatniały. Obok Biela dwa inne, żłobkowate, wyrobione jak misy, kamienie przeznaczone były na składanie w nich ofiar. Poza gajem, przy dwóch dębach, w szałasie mieszkał tu zawsze wróżbit stary, który przybywającym pielgrzymom rady dawał, wskazywał, jak i gdzie wody świętej użyć mieli, wróżył im z ziemi i ognia i żywił się z ich datków.

Jednego dnia przybywające z dala niewiasty znalazły starego Złogę w szałasie niby uśpionym, a w istocie umarłym. Nic nie okazywało, ażeby ktoś na nim gwałt popełnił. Złoga był niezmiernie stary, najstarsi gospodarze przypominali go sobie niemłodym już, siwym. Nie było więc nic dziwnego, że nareście usnąć musiał, gdy się siły wyczerpały. Dano znać do najbliższej osady o śmierci Złogi;

zebrali się pokrewni Jego do palenia ciała i pogrzebu, zbiegło się dosyć dziadów i bab. Szło o zajęcie miejsca po nim, które było łakome. Wszczęły się o to spory, bo wielu rościło do tego prawa, nikt nie chciał współzawodnika dopuścić, odgrażali się jedni i drudzy, a skończyło się na tym, że szałas zburzono i na Białem nie było nikogo. Miało się to rozstrzygnąć na jakimś wiecu na Kupałę, tymczasem Biel został bez stróża sam jeden.

Jednego dnia przybyły baby z zimnicą do strumienia i przestraszyły się ujrzawszy, że bałwan został obalony, kamienie poroztaczane, a złośliwa ręka, co tego dokonała, podłożyła suchych gałęzi pod kłodę i na pół ją spaliła.

Ponieważ Biel powszechnie był czczony i za bóstwo opiekuńcze okolicy

uważany, lament i płacz, narzekanie i oburzenie wstrząsnęło całą ludnością. Wszyscy biegali oglądać spustoszone uroczysko, łamali ręce, płakali. Naturalnie nikogo o takie porwanie się na stary posąg posadzać nie było można, tylko chrześcijan.

Obejrzano się po okolicy, zaczęto dowiadywać o przejeżdżających w tych dniach, o widzianych w bliskości, ale śladu winowajcy nie było.

Warga, który nadbiegł na miejsce, skorzystał z rozdrażnienia i począł

namawiać do wystąpienia nocą, w umówiony dzień, przeciwko wszystkim dworom i chatom, które posadzano o odstępstwo. Dwory miały być spalone, chrześcijanie zamordowani.

- Gdy to się stanie, - mówił, - Mieszko zadrzy i nie będzie śmiał się porywać!

W pierwszej chwili wszyscy mu potakiwali, gniew i pragnienie zemsty było wielkie, lecz drugiego dnia, jakiś dziad wpadł na myśl inną i zdaniem wielu rozumniejszą jeszcze.

- Dobrze - rzekł - niechaj tak będzie, ale wprzód po próbować trzeba.

Pójdziemy wszyscy, choćby w tysiąc ludzi, na skargę do Mieszka, że nam się stała krzywda, która nieszczęście, grad, pioruny, głód na okolicę sprowadzi. Zobaczymy, co powie.

Warga śmiał się, ale inni jakoś przystali. Uchwalono gromadą iść z podarkiem i skargą do miłościwego pana. Nim się jednak ludzie zmówili i zebrali, drugiego dnia dano znać z okolicy na Dąbrowach, że słup kamienny, który tam też stał od niepamiętnych czasów, nocą ręka jakaś zuchwała obaliła, a staczając się z pagórka, bóg na kawały się rozpadł. Ludzie na nowo zapalili się gniewem i od Bielą pobiegli na Dąbrowę płakać nad okruchami zwałonego słupa. Tu znaleziono ślady koni kilku pod dębami i dowody, że ludzi musiało być wielu, boby też temu jeden nie podołał.

Warga wołał o zemstę i wskazywał dwory podejrzane, ale ludzie się uparli gromadami iść do knezia.

Upieczono kołaczki, przygotowano szyte ręczniki, kury i jaja, bo bez ofiary jakiegokolwiek nie szło się naówczas z prośbą, ani z żalem, ani o sprawiedliwość.

Gromady zwołały się na dzień oznaczony, kilku starszych wystąpiło na czele i wszyscy pociągnęli

nad Cybinę. Pochód ten w pewnym porządku odbywał się powoli; po drodze łączyli się z nim, dla powiększenia tłumu, ludzie dobrej woli. Nie tajono się wcale, z czym szli, i Mieszko, na pół dnia prawie wprzód uwiadomiony był o wszystkim. Wierni przyszli dać mu znać zawczasu. Nie od powiedział nic.

Na grodzie nie ruszył się nikt nawet. Gromada, przed wałami się ustawiwszy, wyznaczyła, kto mówić miał, i w milczeniu ciągnęła przed dworzec pański, a przybywszy tu, stanęła w porządku i uroczystym milczeniu. Mieszko, który widział

wszystko zza okiennicy, wysłał swego stolnika, aby spytał, czego by chcieli.

Temu opowiedzieli starsi, jak się rzecz miała. Kazano czekać, na ostatek Mieszko wyszedł, a starszyzna przyszła i podarki złożyć, i do kolan mu upaść. Kneź

miał jakoś oblicze wesole. Mówić zaczęto, jak to zwykle bywa, prawiono szeroko, poprawiał jeden drugiego, przerywał, powtarzano szczegóły; opowieść przeciągnęła się bardzo długo. Siedząc na ławie w przedsionku, Mieszko słuchał z uwagą. Gdy się w końcu przebrało opowiadania i jedni drugich zaczęli skłaniać do milczenia, aby też posłuchać, co pan zawyrokuje, zapytał kneź, kto był sprawcą.

Na to pytanie długo odpowiedzi zabrakło. Ten i ów zbierał się na nią, ale w istocie nikt nie znał sprawcy, ani się go domyślał. Obwiniać chrześcijan nie było powodu ni dowodu. Mruczano, potrząsano ramionami, a Mieszko powtarzał pytanie:

"Kto to uczynił? Starszy i śmielszy, ubogi kmieć, Drzewica, ozwał się wreście:

- Miłościwy Panie, gdybyśmy wiedzieli, kto winien, sami byśmy go karali, bo za nasze bogi ująć się musimy. Wy, Miłościwy Kneziu, wiecie wszystko, każcie śledzić i ukarzać, pomóżcie nam!

- Słuchaj, Drzewiec - odrzekł Mieszko - a mocne to były bogi?

Gromada wołać zaczęła, że pioruny i grad, i pomór na bydło, i głód mogły zesłać.

- Za cóż na was mścić się mają, kiedyście wy niewinni? - rzekł Mieszko. - A jeżeli potęgę i siłę mają, to się same nią obronią i pomszczą!

Wszczął się szmer, bo niedobrze rozumiano jeszcze, Mieszko powtórzył toż samo; na ostatek dodał, że winowajcy nie ma, sprawiedliwości więc wymierzać nie może, a bogom trzeba zostawić pomstę za siebie. Mają pioruny zabiją winnego.

Wtem z ciżby, rozpychając ją, wybił się gwałtem Warga z włosem

rozczochnym, zapalony jak w gorączce. Zaledwie się skłoniwszy kneziowi, krzyknął podniesionym głosem:

- Co tu szukać winnego? Albo my to nie wiemy, kto przeciw nam i bogom starym powstaje? Palcami łatwo pokazać tych, co niemiecką wiarę do nas prowadzą!

Namnożyło się tego nasienia, jest go dosyć wszędzie. Nie kto winien, tylko oni; ich karać, gubić i wypędzić! My sobie krzywdy wyrządzić nie damy, a nie uzyskamy sprawiedliwości, sami ją zrobimy!

Mieszko się popatrzał na mówiącego i skinął na swoich komorników, aby go wzięli. Tłum oniemiał.

- Ja cię znam, stary, - rzekł. - Tyś już raz dwór na Krasnejgórze podpalił.

Puszczono cię na wolność, teraz sprawiedliwość chcesz sobie sam wymierzać.

Sprawiedliwość należy do mnie!

Gdy komornicy zabrali się go z tłumu wziąć, zamruczała gromada. Starsi prosić poczęli za Wargą, on sam zmilkł blady.

Mieszko kazał go puścić, ale tak groźno nań spojrział, że dziad, słowa nie rzekłszy znikł gdzieś w tłumie.

- Sprawiedliwości wam nie dam, bo nie ma na kim jej spełnić - dokończył

kneź. - Bogi są mocne, chronią się same. Było u nas z wieków wieka tak, że każdy czcił boga, jakiego chciał, i nikt mu nic nie mówił. Przynieśli jedni Tryglawa, drudzy Radegasta, trzeci Światowida, inni Wołosa, stawiali ich i kłaniali się im. Od Redarów, od Wilków, od Lutyków, od Wolinów, od Dulebów przynoszono bóstwa, nikt się temu nie przeciwiał. Tak ma być i nadal! Niech ci, co chrześcijańskiego Boga wyznają, czczą go w spokoju, a kto się na nich dopuści gwałtu, tego ukarzę ja!

Rzekłszy to, Mieszko wstał, popatrzał na milczącą gromadę i skinieniem ręki ją odprawił. Pokłoniła się starszyzna i w głębokim milczeniu odchodzić zaczęła.

Warga tak się ukrywać umiał i tak go zasłaniano, że dopóki za wały nie wyszli, widać go wcale nie było. Lękał się, aby go jeszcze nie wzięto.

Próba więc nie powiodła się wcale. Długi czas szli wszyscy z głowy

pospuszczanymi milczący, smutni, pogrążeni, nikt słowa odezwać się nie śmiał.

Opodal od zamku zmęczeni położyli się na łące nad Wartą. Tu dopiero powoli języki rozwiązywać się zaczęły do narzekań i utyskiwań. Śmielsi szemrać, drudzy, z obawą patrząc na nich, milczeli, bojąc się niemal słuchać. Warga długo siedział ponury i gniewny.

- U nich sprawiedliwości prosić? - zawołał. - U nich! Kiedy tam pełen dwór chrześcijan i oni, nie kto inny przewodzi! Co tu pytać? Po co prosić? Nie było nic u nas, póki Lubonia syn nie wrócił, zakażony niemiecką wiarą! Spaliliśmy mu dwór, tak, nie dosyć! Jego z nim spalić trzeba. Przez niego weszło wszystko. Do niego się oni schodzą, z nim radzą. Ale na drugi raz nie wezmą mnie już, bo mnie tu nie będzie.

Nikt na tę pogrózkę nie odpowiedział, a Warga też nie zdawał się wiele dbać o to, mrucał, sam do siebie mówiąc z oczyma wlepionymi w ziemię, miotał się, krzyczał to głośniej, to ciszej i długo nie mógł uspokoić. Z nikogo jednak nie wywołał potakiwania, nikt mu się w pomoc nie ofiarował; owszem, Drzewica się odezwał, że Kneź miał słuszość, że nikt nikomu nigdy nie bronił boga sobie wybierać, jakiego chciał, że chrześcijanie od dawna się pokazywali tu i ówdzie, a nikt ich nie prześladował i za ojca kneziowego, i za dziada. Drudzy też, dla miłego spokoju może, staremu choć głowami potakiwali. Warga zmilkł i długo siedział

zadumany, wstał potem, nie obejrzawszy się na nikogo, nie rzekłszy już nic, i poszedł przez pole bez drogi, gdzie go oczy niosły. Nikt go nie zawrócił i nie strzymał. Niektórzy gorliwsi byli tego zdania, że i Bielą, i słup na Dąbrowach należało postawić na nowo. Na to się godzili wszyscy i gorąco zaraz rozebrali między siebie robotę.

Tego wieczora wiedziano o tym na Krasnejgórze, przybiegł ktoś z grodu i doniósł o skardze gromady, o danej jej odpowiedzi, a nawet o odgrózkach Wargi.

Jarmierz nie powiedział nic Włastowi, ale strażę koło dworu ustawił i przez całą noc czuwać im kazał.

Mieszko tymczasem, zamiast ociągania się i obawy, tegoż dnia pilnie zajął się przygotowaniem do publicznego przyjęcia chrześcijańskiej wiary.

Wysłano do Czech po kilku duchownych w pomoc księdzu Jordanowi, żądając też od Bolka, aby dał ludzi, co by umieli budować z kamienia kościoły według obyczaju chrześcijańskiego i wszelkiego rzemieślnika do przygotowania sprzętu, jaki był do ofiar i urządzenia nowych świątyń potrzebnym. Znowu w tę podróż musiał

być wyprawionym Włast, który służył chętnie we wszystkim, co nawrócenie zupełne przyspieszyć mogło. Tymczasem, nie objawiając na co, wozic kazano kamień na zamki w Gnieźnie i Poznaniu.

Wielkie przygotowania działy się w grodach, choć o ich celu nie ogłaszano ludowi. Ksiądz Jordan tylko chodził, przysposabiając, kogo mógł, do przyjęcia chrztu, zarazem objawiając o wielkich darach, jakie kneź miał dla chętnych czynić.

Białe szaty z płótna i sukna szyto secinami na zamku u Górki i Dubrawki i składano je stosami. Ksiądz Jordan, opowiadając ewangelię, zarazem zwiastował, że ona wszystkich uczyni braćmi w Chrystusie, połączy i porówna, że kneź stanie się dla nowo nawróconych ojcem zarazem i bratem.

Pomimo wzburzenia umysłów, jakie obalenie Bielą i słupa na Dąbrowach

wywołało, nie było prawie nocy, aby gdzieś posąg na rozdrożu lub w uroczysku nie upadł i nie został zniszczony. Zdawało się, że je jakaś niewidzialna ręka wywraca, bo nigdzie sprawcy ani nawet śladu dojść nie było podobna. Czekano kary bogów na próżno: nie broniły się już stare bogi. Resztę ich, które stały w domach i zapadłych kątach, chowali pobożni i kryć się zaczęli z nimi. Warga, który usiłował do czynnego i rozpaczliwego skłonić oporu, za ledwie nieznaczną garstkę wokoło siebie zgromadził i ukrywać się z nią musiał.

Smutek padł na kraj cały. Nigdy bez bólu nie przechodzi człowiek nawet do lepszego stanu, a stokroć trudniejszym jest odrodzenie się społeczeństwa, które zwichnięte w biegu, nie łatwo odzyskuje ruch bezpieczny i stały. Chwile przesilenia i gorączki są zawsze dołą nieładu i rozprężenia. Żli korzystają ze swobody, jaką daje nieposzanowanie praw, które się walą, uwalniając zarazem od poszanowania tych, których znać jeszcze nie mogą. Toż, co zawsze i wszędzie, objawiało się teraz u Polan, ale silna dłoń Mieszka nie dopuściła, aby zamęt ten wyrodził się w całkowite starganie wszystkich więzów.

Gdy się to gotowało z wolna, bo pośpiech w wykonaniu co dzień okazywał się trudniejszym, bo przygotowania olbrzymie być musiały, Mieszko odłożył znowu uroczyste ogłoszenie wiary do następnego roku. Trzeba było tymczasem zwiększyć gromadkę przysposobionych do chrztu i z myślą nowego znamienia pogodzić kraj, który swych dawnych bogów opłakiwał.

Gdy się to działo, Mieszko szukał sposobności do jakiegoś wystąpienia, które by mu przymierze konieczne z cesarzem Ottonem ułatwiło. Los mu je nastręczył.

Już w Quedlinburgu mogli się wszyscy domyślać, że dumny Wigman,

odprawiony niemal z pogardą przez cesarza, szukać będzie sposobności do wojowania przeciwko niemu. Miano nań oko, ale znikł między słowiańskimi księżętami, u nich szukając schronienia.

Wszczął się był spór o pograniczne posiadłości między obotryckim wodzem Mstiwujem a Zeliborem wagirskim. Oba oni, już zawojowani, radzi nieradzi, zależeli od saskiego margrafa Hermana. Spór miał rozstrzygnąć Herman i Zelibora uznawszy winnym napaści i gwałtu, skazał go na wydziedziczenie i odebranie mu władzy.

Zelibor, nie myśląc się poddać, powołał Wigmana do siebie. Oba więc porwali się do broni. Zaledwie to się stało i nim przysposobić się mogli, Mstiwój z Hermanem naszli na osadę i gród Zelibora, wzięli je prawie bez oporu, a oba wodze ucieczką ratować się musieli. Do tych waśni Mieszko się mieszać nie myślał wcale, lecz pilno się im przypatrywał, mając tam ludzi zawsze i dostając łatwo języka.

Zbiegły Wigman siedział teraz u Wolińców nad Odrą, a że spokojnie wytrwać nie mógł, z nimi razem napadał już kilkakroć na ziemie Mieszkowe. Teraz więc był

czas, broniąc własnych posiadłości, razem cesarzowi uczynić przysługę i uwolnić go od niespokojnego krewniaka. Włast, jadąc do Pragi, zaniósł tam także do Bolka prośbę, aby parę ufców zbrojnych dobrze w pomoc Mieszkowi przybywało. I gdy z jednej strony chrztem się zajmować zdawali wszyscy, kneź, któremu dolegał

spoczynek, gotował się do wystąpienia przeciwko Wigmanowi.

Jednego wieczora powracający Włast przywiózł z sobą i gromadkę

duchownych, i kupkę rzemieślników a kunsztmistrzów, i dwa świetne, piękne oddziały czeskiej jazdy. Wszystko się z zamku wyroiło, ujrzawszy ten mnogi lud, napływający do grodu!

Wybiegła i Dubrawka, z niezmierną radością witając swych Czechów,

szczególniej duchownych, co jej do przysposobiania wielkiego dzieła pomocą być mieli. Ona w istocie duszą jego była i przynaglała, aby co rychlej spełnić się mogło.

Dając jej czynić, co chciała, Mieszko zawsze jeszcze milczał i zwlekał. Teraz chwila już zdawała się być bliską.

Na powitanie Czechów wyszedł i Mieszko sam, dowódców dwu oddziałów

zapraszając na dworzec razem z duchownymi. Resztę przybyłych wnet

rozmiszczono na grodzie, gdzie dla nich wszystko było przygotowane. Omyliła się wszakże Dubrawka, sądząc, że poczty czeskie przybyły, aby uroczystości więcej dodać świetności. Kilka dni pozwolono im spoczywać. Rzemieślnikom natychmiast wyznaczono pomoc, schronienie i usługę, a Mieszko, rozporządziwszy wszystkim i księży zdawszy księdzu Jordanowi, sam zaczął się przysposabiać do wycieczki jakiejś. Wszystka piechota, a tej było najwięcej jeszcze, wyruszyła cicho na granicę ku Odrze, drugiego dnia ujrano Czechów występujących w tę stronę, trzeciego rano sam kneź, pożegnawszy żonę, siadał na konia i wraz z Sydbórem ruszał w pole.

Już trudno było cierpliwej Dubrawce na nową tę zwłokę patrzeć, na pół ze łzami, wpółgniewna, gdy Mieszko miecz sobie ów cesarski przypasywać kazał, zapytała go, co by to znaczyć miało.

- Kniehini ty moja - odezwał się Mieszko spokojnie - dajcie mi swoimi sprawy rozporządzać wedle myśli mojej. Ja wrzeciona nie tykam, ani Was prąść myślę uczyć, dopuśćcież mi wojować, jako wiem i umiem.

- Ale po cóż nową rozpoczynać wojnę, wprzód nie uczyniwszy w domu, co najpilniejsza, aby na nią boże mieć błogosławieństwo? - przerwała Dubrawka.

I na to pytanie rozśmiał się nieco Mieszko, ręką tylko w powietrzu

zamachnąwszy jakby mieczem.

- Na wszystko będzie pora, Miłościwa a niecierpliwa Pani moja - rzekł. -

Ludzie się tymczasem lepiej przysposobią, oswoją i obejdą z tym, co ich czeka.

Księża jeszcze wiele ze mną i moimi mieć będą do czynienia, nim nas na chrześcijan przemienią. Gdy ujrzę, że czas po temu, nie zwlekę... a teraz w pole trzeba, na łowy i bywajcie mi zdrową, Miłościwa Pani.

Miłościwa Pani smutnie przyjęła rozkazy, lecz nauczyła się już w pożyciu z mężem, że go powolnie tylko przekonać i skłaniać było można. Trwał przy swoim twardo i nie łatwo obrócić się dawał, gdy powziął postanowienie.

Wyciągnął więc i tym razem w pole, nie rzekłszy nawet dokąd, a na zamku zostali apostołowie, pod kierunkiem księdza Jordana pracujący, w Krasnejgórze zaś Włast na swą rękę zwołujący do winnicy.

A pod grodem, w chałupach siedzieli sprowadzeni rzemieślnicy, kując srebro, lejąc spiże, wyrzynając drzewo, ucząc obrabiać kamienie, a palić wapno. Przy nich parobcy tutejsi, przypatrując się im, otwierali oczy i sposobili ręce do roboty, która dla nich miała urok nowości.

Od pługa i miecza do młota i dłuta przejście łatwym nie było.

Rozdział 9.

W obozie nad Odrą jednego wieczora cesarski krewniak, nie tak, jakżeśmy go widzieli w Quedlinburgu, odarty i opuszczony, ale we zbroi lśniącej, na koniu dzielnym, w hełmie skórzanym, łuskami żelaznymi naszywanym, z kitą czerwoną, w płaszczu niebieskim na ramionach, opatrywał nowych swych przyjaciół szeregi. Sam jeden tu był wśród tego ludu, do którego i on nie przystawał, i orszak, co go otaczał, jakby cudzy przy nim wyglądał. Dziwnie zaprawdę wydawał się ten niemiecki rycerz, przygodami osobliwymi z najświetniejszego w Europie wygnany dworu pomiędzy lud na pół surowy i do innego należącego świata. Między tym wodzem a jego ludźmi trudno było powinowactwa dopatrzeć. Ziemko i Hłaska, dwaj naczelnicy Wolińców, jechali przy zbrojnym Niemcu także niby z niemiecka przyodziani, ale dziwacznie. Mieli oba po kawałku zbroi: Ziemko na głowie skórzaną czapkę, na krzyż żelaznymi opasaną prętami, mieczyk u boku, pióro u hełmu, jaskrawy płaszczyk na ramionach, ale na nogach po staremu chodaki sznurowane, wytarte i spodnie z grubego płótna. Nie lepiej wyglądał Hłaska, który też między Niemcami bywał i przyodziać by się był rad, aby wstydu Wigmanowi nie uczynił. Krótki tołubek frankijski paskiem obszyty miał czerwono, pod szyją spiżowe spięcie, na ramionach stare kolce mosiężne, wszystko to z sobą niedobrze szło, ale Hłaska uczynił, co mógł.

Dwaj Wolińcy, w rozpaczy, dla wybicia się z jarzma niemieckiego Niemca się chwycili. Zdało się im, że ten cesarski krewny a sławiony rycerz najlepiej mógł ich poprowadzić. Nim jednak na Niemców napaść mieli, chcieli się na Polanach spróbować i łupem się opatrzywszy, a jak im się zdało, pobiwszy może, większą siłą występować dla wyswobodzenia, na margrafów. Na Mieszku próba tylko uczynioną być miała.

Wigman się zabawiał z Wolińcami, Ziemko i Hłaska, w oczy mu patrząc, jak wyroczni go słuchali. Świetne mieli nadzieje. Naprzód Polan zwojować i albo ich zmóc a złupić lub z sobą na margrafa pociągnąć. Zdawało się to łatwym. Urok niemieckiego wodza oślepił biednych Słowian, a stare właśnie graniczne kazały zapominać, że mieli walczyć z pobratymcami. Pycha Wigmana, który się bezmiernie wśród tych prostodusznych ludzi czynił wielkim, a pewnym siebie, wiarę w nich wlewała. Czynił ten wódz nowy z nimi, co chciał, ufali mu jako zbawcy, a przyszłej wielkości swej założycielowi.

Niemiecki comes tymczasem, objeżdżając szeregi tego ludu, dziwnie jakoś nań poglądał. Nie było to wojsko, ale tłum mężny i bitny, ochoczy do walki, a niesforny.

Na kilka oddziałów podzieleni, Wolińce leżeli obozem nad rzeczką, na wysokim brzegu, a było ich tak sporo, że jak okiem zajrzeć w dolinie, łąka ludźmi była usłana.

Starszyzna tylko miała parę namiotów szarych, na tyłach rozpiętych. Dla Wigmana na wzgórzu paradniejszy ustawiono, reszta pod gołym niebem i w małych szałasach koczowała przy ogniskach.

Niewiele jazdy i to dosyć niepokazanej udało się Ziemkowi zgromadzić. Na małych konikach siedzieli więksi stosunkowo od nich wojownicy, w prostych sukmanach, z łukami na plecach, z młotami i siekierami u siodła i z dzidami różnych rozmiarów w dłoni. Z twarzy tych ludzi, którym włosy długie i gęste starczyły za nakrycie głowy po większej części, widać było dzikie i nieustraszone męstwo, lecz nie to, co się powodować umie i łączyć spójnie w gromadę, ale rachujące samo na siebie tylko i nie dające ni pokierować sobą, ni powstrzymać. Jak konie rwały się i wierzgały a kasały, w kupie ustać nie mogąc, tak ludzie ucierali się, łajali i przechwalali głośno.

Po niemieckich pocztach milczących i posłusznych, ta butna ciżba

Wigmanowi osobliwą wydawać się musiała. Poglądał na nią oczyma zdumionymi, a Ziemko i Hłaska, jadąc tuż, w jego oczach usiłowali czytać, co myślał o ich drużynie, której oni sił i męstwa byli pewni. Comes liczył tylko, ilu ich było, bo na nic innego jak na lik znać rachować nie mógł. To Ziemko, to Hłaska, po bokach jadąc, zagadywali go, wskazując na swych ludzi; rycerz niemiecki tylko głową potrząsał i ramionami ruszał.

Tak przepatrzywszy jezdnych, u których żelaznego okrycia ledwie można było gdzie dopatrzeć, ruszyli ku pieszemu ludowi, którego daleko więcej było. Kazano leżącym i spoczywającym wstawać, a zbijać się w rzędy, aby i tych okazać, czym byli. Dosyć nieochoczo ruszył się tłum mrując i wstali jak dęby ogromni, szerokich ramion, niezbyt ubrani, na pół bosi wojacy, u których oszczepów i pałek więcej było niż innej broni. Za to niemal wszyscy mieli tarcze, tak jak i Polanie, z desek cienkich drewnianych pospajane, dwa i trzy razy obciągnięte skórą, gdzieniegdzie gwoźdźmi nabijane i sztabkami. Z gwarem na nogi wstając, Wolińcy stawali kupami, każdy chwyciwszy broń, jaką miał.

Wigman pomyślał w duchu, że gdyby oręż a wprawa nic nie ważyła, straszne by były te gromady ludzi silnych, nie lękających się śmierci, chciwych boju dla niego samego, dla krwi i gorączki, jaką daje walka. I znowu z konia, siedząc, Niemiec liczył sobie tych ludzi, na mnogości ich pokładając nadzieję. Lecz na Mieszka, który niewiele może lepszego miał żołnierza, zdawało się to dostatecznym, gdy taki wódz prowadził. Dwaj wodzowie jak najlepszą mieli otuchę; czy ją Wigman podzielał, odgadnąć było trudno. Objechawszy szeregi, zawrócił ku wzgórkowi i namiotowi. Naglili go Ziemko i Hłaska, aby im co rzekł; powiedział im tylko, że lud piękny. Czegoś mu na duszy smętno było popatrzywszy, gdzie z kim był i komu miał

dowodzić. Przed namiotem zsiadli z koni, jeszcze raz pytać go zaczęli; odpowiedział

im mało, pozdrowił dumnie ręką i wszedł, opłótek uchylwszy, do wnętrza.

Jeden, stary jak pan, sługa, Niemiec Hatton czekał tu na niego. Ten jeden nie opuścił go i nie zdradził, a choć wstręt miał iść przeciw cesarzowi z poganami razem wojować Wigmana nie rzucił. Był to człowiek przykuty do comesa, który porzuciwszy go, nie wiedziałby zaprawdę, co uczynić z sobą. Mały, krępy, posiwiały pacholek, milczące stworzenie i posłuszne, stworzone było, aby przy kimś wisiąło.

Los mu nastęrczył Wigmana. Z nim i świetne przeżył lata, i teraz gorzkimi truł się dniami. Gdy Wigman pod namiot wszedł, zerwał się stary Hatton, aby mu zbroję zdjąć, i wnet począł swą usługę. Milczący comes dawał mu czynić z sobą, co chciał; był zadumany i ponury.

- Hattonie, co mówisz na to? - począł ponuro Niemiec. - Z Quedlinburga do obozu Wolińców? Z gościny u tego Ottona do Ziemka? Hę? Dobrześmy padli?

Hatton ramionami ruszył. Milczał długo.

- Miłościwy grafie - rzekł w końcu - a nie lepsze to, jak los Eryka, Bakki, Hermana, Wiryna i Ezeryka?

- Pewnie... ależ ci omal Hilliwarda biskupa nie zabili, przeto ich Otto w Quedlinburgu pościnać kazał. A ja? Ja tylko swojego broniłem gardła.

Hatton mruczał.

- Mów, ty mruku, głośniej, chceszli, by cię zrozumiał! - krzyknął Wigman.

- Broniliście, miłościwy panie, gardła, nie trzeba było pleców żałować - odparł giermek.

- Krzyże mam twarde! To nieszczęście moje! - zawołał Wigman. - W żyłach moich krew Ottonów płynie.

Hatton głową skinął potakująco. Rozpinał mu kaftan, łuską wyszywany, pod którym drugi skórzany widać było (noszono ich po kilka na sobie).

- U nich... u nas... - mówił dalej Wigman - wszystko pod humor i od fantazji.

Gdybym na Ottona dobrego trafił, dobrze by mi było; los mój chciał, abym na złego padł... Pamiętasz, Hattonie, dodał, Gintera, ratysbońskiego biskupa? I co mu dało biskupią dostojność?

Hatton milczący głową pokiwał.

- Otto szedł rano na mszę w Ratysbonie do klasztoru świętego Emmerama. Po drodze powiedział sobie: Stołek biskupi wakuje. Komu go dać? Komu? Niechaj los wybiera! Pierwszy duchowny, którego spotkam, biskupem będzie. - U furty klasztoru ubogi Ginter mu otwiera. - Co mi dasz za biskupią infułę? - pyta Otton. - Miłościwy Panie - śmiejąc się, odparł biedny księżyna - nie mam nic swojego, oprócz podartych na nogach chodaków. - I został biskupem - dorzucił Wigman. - Tak samo ja, w dobrą godzinę, mogłem być saskim księciem w miejsce Hermana.

Hatton ostatni kawał zbroi odczepiał i znowu mruczał coś niezrozumiale.

- A co by ci po tym przyszło, miłościwy panie - rzekł chmurnie. - Albo w łaskach będący Herman nie wywołał na się gniewu cesarskiego za to, że go w Magdeburgu przy biciu w dzwony i oświeconym kościele przyjmowano, że śmiał

tam spać w łóżku cesarskim i u cesarskiego siedzieć stołu? Albo go nie wyklął

biskup Bruno, tego szczęśliwego Hermana, któremu zazdrościcie?

- Wolałbym być jednak wyklętym przez Brunona zawołał Wigman niż

odepchniętym przez cesarza! Ale łaska rodziny nie stała rzeczą. Wolałbym być jego bękartem niż krewniakiem.

Hatton rękami poruszył, jakby zaprzeczał tym rozpaczliwym oświadczeniom.

- Pewnie - potwierdził Wigman - wzdychając alboż nie wiesz, że bękartą swojego z niewolnicy, ze Słowianki, z prostej dziewczki narodzonego, Wilhelma, uczynił Otto arcybiskupem mogunckim? Jego synom, jego córkom, jego nieprawemu potomstwu wszystko było wolno, a nam, biednym milczeć tylko i cierpieć... Wilhelm został potajemnie arcybiskupem, a wdowa po Konradzie frankońskim, choć Kononowi potajemnie ślubowała, wyparła się go i Burhard wystąpił w jej obronie, i rękę mu obciął, co za wysoko sięgała!

Mówił tak Wigman z bólem wielkim, aż zamilkł wreszcie, głos coraz był

smutniejszym i siła a duma w tej chwili zdawały się złamane. Gdy Hatton mu zbroję zdjął i usunął się, Wigman, na stole ujrawszy krzyż, kląkł się modlić.

Z pokorą i skruchą załamał dłonie przed Chrystusem i na głos począł

odmawiać modlitwy; Hatton, który w kącie stał, jakby mimowolnie też ręce złożył i za panem je powtarzał. Modlił się tak długo, a wśród szmeru modłów tych okrzyki obozu Wolińców dolatywały dzikie, jakby szydziły z ich nabożeństwa.

Wigman legł wreszcie na pościel przygotowaną, ale do snu mu było daleko; oczy miał otwarte, sparty na dłoni dumał może o cesarzu, o sobie i dziwnych losach swoich.

Zaczynało zmierzchać, gdy sykanie słyszeć się dało przed namiotem. Hatton zerwał się i wyszedł; Wigman, głowę zwróciwszy, czekał.

Po chwili wprowadził giermek Ziomka. Szedł on pośpiesznie bardzo i z

ożywioną twarzą, i wzrokiem.

- O Mieszku wieść przyniesiono - rzekł szybko.

- Rad jej będę... Gdzież on jest?

- Stoi o pół dnia drogi od nas, pewnie niczego się nie spodziewając. Co pocniemy? Mamyli czekać na niego czy następować?

Wigman wstał z łoża i siadł.

- Liczyż ma poczet z sobą? Gdzie się położył?

Na to Ziemko odpowiedzieć nie umiał, przywołano tego, który przyszedł z wieścią. Był to stary człek, o kiju, w koszuli, w sakwach przez plecy, bosy, trochę przełękły, a bardzo niespokojny. Ziemko badać go począł. Widział on tylko piechotę w obozie, a zapytany ręczył, że jej pewnie nie było połowy tej, jaką Wolińce mieli.

Obóz był na łące wśród zarośli i gajów, rozłożony bezpiecznie, jakby się sąsiedztwa niczyjego nie spodziewał.

Ziemko patrzył w oczy Niemcowi, który się wahał długo.

- Jeżeli swoim ufacie, czemu byśmy naprzeciw nich iść nie mieli? - rzekł

Wigman. - Zawsze ten przewagę ma, kto pierwszy naciera.

- Więc ruszmy jutro o świcie.

Comes ani zaprzeczał, ni zachęcał; położył się znów, skinąwszy głową, i w myślach swych zatopił.

Nazajutrz jako dzień, ruszyło się wszystko z obozowiska, ustawiać poczęło, siedli wodzowie na konie, Wigman znowu opięty kaftanem łuskowym wyjechał z Hattonem, który małą tarczę i zapaśny miecz wiózł za nim. Dzień obiecywał się skwarny. Oddziały wyruszyły powoli, każdy poprzedzany stanicą swą, na których orły, ptaki i potworne stworzenia grubo były wyrzeżane. Stanica Ziomka wystawiała wołu białego. Ruszając z noclegu, zanucili pieśń jakąś, dziwnie brzmiącą w uszach Wigmana, który po cichu modlitwy odmawiał.

W obozie Mieszka, on, Sydbór, i dwaj czescy dowódcy stali od rana

pogotowiu. Wiedziano tu o Wigmanie, o Wolińcach, o ich sile i Kneź, rano wstawszy, Czechów jazdę z dwu stron na boki wyprawiał, poleciwszy jej, by się dopiero na skinienie i hasło ruszyła.

Na wysokiej sośnie posadzone pacholę czatowało, by dać znać, gdy się

spodziewani Wolińcy ukazą. Równy prawie z hasłem przez chłopaka danym z dala i śpiewy usłyszano. Mieszkowy lud niecierpliwy był, ale mu się ruszać nie kazano.

Stać tak mieli, ażby na nich naszedł nieprzyjaciel.

Gdy się w dali kupy owe ukazały, Mieszko i Sydbór skoczyli na koniach przodem, postali im na widoku trochę i puścili nazad spiesznie, a wnet i ludziom, niby popłoszonym, z wolna się cofać nakazano. Ujrawszy to, Wigman i Ziemko, którzy przodem szli, z okrzykiem gromadom swoim dali znać, aby się na nieprzyjaciela rzuciły. Stał się w obozie Mieszka jakby zamęt umyślny i oddziały jego jedne po drugich za gajami znikać poczęły.

W pogoń się puścili Wolińcy z coraz głośniejszym okrzykiem, ze wrzawą i zapałem niezmiernym. Wigman na koniu przed nimi. Mieszkowi ustępowali, lecz tak z wolna, że się dogonić dali. Ustępowali głębiej między gaje i jakby się ulękli Wolińców, nawet im nie stawili czoła. Tym silniej nacierali Ziemko i Hłaska, tym gwałtowniej zagrzewać począł Wigman. Już byli kilkoro staj od

nieprzyjaciela, gdy na dany znak, piechota Mieszkowa odwróciła się na Wolińców i do bitwy stanęła.

Z obu stron rzucono się na siebie z porywcznością wielką. Cały zastęp Wolińców bez porządku wysypał się, rzucił na Polan. Podniesiono tarcze i pałki walić o nie zaczęły.

Świsnęły strzały, posypały się pociski.

W tej chwili, gdy jeszcze Wolińcy pewni byli prawie zwycięstwa, z lewej i prawej strony, na tyłach, na odgłos trąbki Sydbóra wystąpiły ukryte w zaroślach dwa czeskiej jazdy od działy. Zatętniała ziemia pod kopytami i nim kupy niesforne wycofać się mogły, wzięte były z obu stron jak w kleszcze, między Mieszkową piechotą, a konnicą Sławnika; już Czesi im siedzieli na karkach. Z drugiej strony oddział Sydbóra piechoty, ludzie dobrani i wprawni do boju, kładł trupem Wolińców, zaczynających się rozsypywać i w ucieczce szukać ratunku.

Ziemko i Hłaska, widząc się w położeniu rozpaczliwym, poszli naprzód, aby ratować swoich albo ginąć z nimi. Wigman, z konia swego na wzgórzu stojąc, już widział, że bitwa była przegrana.

Siły piesze Mieszka nie większe były może niż Wolińców, lecz ujęte w

porządniejsze szeregi; jazdy nie mieli prawie sprzymierzeńcy Wigmana, a czeska była wyborna i uzbrojona jak niemiecka. Chwilę comes patrzył na tę rzeź, z której ratować się już nie było nadziei, wreszcie z pogardą i dumą zawrócił konia i wolnym krokiem ustępować począł. Jedynym ratunkiem była ucieczka. Serce się krwawiło na myśl sromotnego uchodzenia przed nieprzyjacielem; Wigman nie spieszył, gdy przypadłszy doń Hatton zaklinać go zaczął, aby uchodził. Czas jeszcze było się cofnąć i ujść pogoni Czechów, zajętych rozpraszeniem gromady, która po gajach szukała bezpieczniejszego schronienia. Wigman już konia miał uderzyć, gdy z zaiskrzonymi oczyma, w porwanej sukni, z krwawą twarzą dopędził go Ziemko i za cugle konia pochwycił. Rozpacz malowała się na jego obliczu.

- Ha! - zawołał. - Dobrze wam było nas wprowadzić w zasadzkę, oddać na rzeź i zgubę, samemu będąc pewnym, że was dobry koń stąd wyniesie!

Wigman zaczerwieniał od tej wymówki, jak policzek mu ciśniętej; można było sądzić, że mieczem, który trzymał w rękę, przebije zuchwałego śmiałka.

Powstrzymał się jednak, drgnął cały i z konia zeskoczył. Z dobytym mieczem, nie odpowiadając słowa, poszedł, gdzie wrzała bitwa.

Koń rzucony, nie dając się pochwycić Hattonowi, który chciał cugle porwać, spłoszony krzykiem rzucił się czwałem w pole. Wigman w ciężkiej zbroi został

pieszo. Około niego, łamiąc ręce i przeklinając dzień i godzinę nieszczęśliwą, szedł

Ziemko, ale na przekleństwa i wymówki jego nie odwracał się nawet Wigman.

Oskoczyła ich wnet kupa Mieszkowej piechoty. Starszyzna Wolińców i Wigman z nią musieli się

począć cofać odcinając. Comes szedł milczący, nie okazując wściekłości, ale ilekroć się odwrócił, płatał straszliwie napastników. Od żelaznych łusk jego kaftana odskakiwały miecze, kruszyły się na nim oszczepy. Ziemko i Hłaska bronili się też z rozpaczą ludzi, którzy wiedząc, że nie obronią życia, drogo je przynajmniej chcą opłacić wrogowi.

W dolinie wkrótce nie było już wojsk walczących z sobą, tylko kupki

przeleżonych, unoszących życie ludzi, które ścigali zwycięzcy. Tam, gdzie się starły pierwsze szeregi, leżały wałem trupy pobite i przez Czechów posiekane. W krzakach i zaroślach tulili się ranni. Zielona łąka stratowana, skrwawiona, potrzaskanymi usypana pociskami, była jakby strasznym śmietniskiem grobowym. W prawo i lewo wśród lasów słyhać było wycie i jęki. Uciekali jedni, gonili drudzy na wszystkie strony.

Jeden oddział z Sydbórem puścił się ścigać Wigmana, o którym wiadano, że prowadził Wolińców. Mieszko nie chciał mu dać ujść i byłby go sam pędził, gdyby mu fałszywie innej kupki nie wskazano, w której miał się comes znajdować. Pogoń ta, rozpoczęta około południa, przeciągała się do wieczora. Następowali Polanie na Wigmana i tych, co przy nim byli, ale go ująć ani zabić nie mogli. Zmniejszyła się gromadka jego towarzyszków, wołano nań, aby się poddał, krew mu z ran ciekła, lecz krewniak cesarski, z dumą swojego rodu ginąć wołał, niż temu tłumowi zdać oręż i życie na łaskę. Krok w krok szli za nim, zmęczeni jak on, ale również chciwi pochwylenia go, jak on ocalenia, napastnicy; łajano się wzajem nie po słowiańsku i niemiecku i mrok padał, a końca tej walce upartej nie było. Wigmanowi udało się nieco oddalić od pogoni, pomogły mu gąszcze w lesie, zdawało się, że ujść potrafi.

Ziemko już był zginął. Hłaska odbił się w pochodzie, został on sam, a z nim Hatton tylko, który go i tu nie chciał opuścić.

Nadeszła noc i ciemność. Jeszcze słyszeli w prawo i w lewo przedzierających się tych, co ich ścigali, ale wkrótce ucichły głosy i Wigman padł na ziemię na pół

żywy. Ostrza kilku włóczy tkwiły w jego kaftanie i krew się spod nich sączyła. Z

niecierpliwością je wrywać począł Wigman, choć nowej przyczyniał boleści. Ranny Hatton przywłókł się, chcąc go ratować, lecz sam siły już nie miał, upadł u jego nóg i ducha wyzionął.

Wigman popatrzał nań, jakby na wiernego psa ubitego na łowach, w oku mu się zakręciła łza. Drżącą rękę przyłożył do jego czoła. Oblane było potem, ale już zimne, stygło bardziej pod jego dłonią.

Został sam, ranny, z poszczerbionym mieczem, nie wiedząc, gdzie był i co miał począć z sobą. Umierać tak w lesie, na pustkowiu, czy usiłować się jeszcze ocalić? Dokoła cicho było, las tylko szumiał i czasem niezrozumiały krzyk ptaka, jakby czymś zbudzonego, przerywał głucho milczenie.

Wigman pozostał tak długo, patrząc na trupa sługi, rozciągniętego u nóg swoich, to na niebo, które gdzieś zmiędzy gałęzi świeciło gwiazdami. Sam nie wiedział, jak długo tak leżał, aż gdy powstać zapragnął, uczuł się bezsilnym i złamanym. Uśmiech mu blade usta wykrzywił; zmógł się na ostatek mocy i poruszył, oparłszy na mieczu. Powolnym krokiem począł się sunąć, nie wiedząc,

dokąd go doprowadzi dalsza nocna ucieczka. Bojowe krzyki, hasła, nawoływania, wszystko ucichło. Las tylko szumiał mu nad głową i wiatr czasami przerywał się przez gałęzie, jakby duchy w polocie uderzały o nie.

Wigman już nie miał ocalenia życia nadziei, ale swoją cześć rycerską ocalił, miecza nie pozbył; z ran płynęła krew, lecz do niewoli się nie dostał. Chciał

pomodlić się i skonać gdzieś spokojnie, chciał... sam już nie wiedział czego. Instynkt jakiś kazał mu szukać przytułku. Wlókł się więc lasem, trzymając skraj jego, podpierając na skrwawionym mieczu, myśląc o Hattonie, którego ciało zostało bez chrześcijańskiego pogrzebu. Myśliwy i wojak trochę znał niebo i gwiazdy, bo się po nocach nieraz przez puszcze przedzierał. Na niebie Wóz Północny wskazywał

zbliżanie się poranku, ku wschodowi blada luna, poprzedzająca dzień, już się zarysowywała. Nie wiedząc dokąd, szedł dalej Wigman, niekiedy odpoczywając przy drzewach, gdy w dali, na wybrzeżu lasu, zdało mu się, że ujrzał zagrodę. Zbliżając się, rozpoznał w istocie wysokie ostrokoły, które ją otaczały, dach okryty dranicami, drewniany dymnik i żuraw studni. Pragnienie go paliło.

Około chaty cisza panowała i nierychło, gdy się ku niej zbliżał, psy zaczęły ujadać. Głos ten był mu prawie miłym, zwiastował ludzi; mógł znaleźć się ktoś litościwy.

Wigman stanął u wrót zamkniętych, z których drugiej strony zebrane psy wrzawę nań ogromną podniosły. Skrzypnęły drzwi chaty i wyszedł człowiek. Dniało już, mógł więc dojrzeć tę postać olbrzymią, która się wnijsia dopraszała milcząc.

Chata była słowiańskiego ubożego ziemianina, jak wszystkie stojące otworem dla każdego proszącego o schronienie. Gościnność u Słowian była prawem, z którego i wroga nie wyjmowano.

Z siermięgą narzuconą na plecy wyszedł milczący gospodarz otworzyć wrota.

Spojrzał na okrwawionego rycerza, poznał w nim Niemca, i nic nie mówiąc, poprowadził za sobą. Psy, z dala idąc za nim, ujadały i wyły.

Słaniając się przywłókł Wigman do wnętrza chaty, gdzie już od węgla w ognisku zapalono łuczywo, obejrzał tylko i rzucił na ławę. Krew po nim ciekła, wyglądał straszno i gospodarz, ujrawszy go, ręce załamał. Podparty na stole Niemiec spoczywał, ręką tylko wskazał, że ma pragnienie. Przyniesiono mu wody.

Gdy się to działo w chacie, a psy się jeszcze uspokoić nie mogły, na podwórku powstała wrzawa. Wigman, usłyszawszy ją, słabą ręką porwał za miecz, który przy sobie postawił; chciał wstać, ale sił już nie miał.

Wtem w progu chaty zjawili się ścigający niedobitków po lesie Mieszkowi ludzie, kilku prostych ciurów. Od progu też dał się słyszeć krzyk radosny; mieli go na koniec w rękę. Z podniesionymi pałkami i oszczepami poczęli się cisnąć, otaczając Wigmana, który miecz podniósłszy zza stołu, groził im jeszcze.

Naczelnik wołał, aby się poddał.

- Ja? Wam? Nigdy! Niech tu przyjdzie sam wasz Kneź, tylko jemu jednemu miecz oddam... a nie, bronić się będę, do ostatniego tchu i kropli krwi! Precz, hałastro!

Na chwilę wstrzymali się ludzie, lecz wnet poczęli znowu naciskać i jeden z nich pałką się na Wigmana zamierzył, który, oburącz miecz chwyciwszy, i pałkę odbił, i rękę zakrwawił. Ta rozpaczliwa obrona wstrzymała napaść. Nie było potrzeby nieszczęśliwego dobijać, który cały krwią był okryty i chwiał się na nogach; zaczęto szukać starszego i słać za Sydbórem, który był blisko. Mieszkowi żołnierze zostali tak w pewnym oddaleniu, szanując nieszczęście w człowieku, którego chwile były policzone. Wigman słabł widocznie, lecz oczy mu jeszcze świeciły groźnie i twarzą zdawał się napastnikom urągać. Trwało to chwilę, gdy Sydbór nadbiegł spiesźnie, przebił się przez kupkę ludzi i stanął naprzeciwko Wigmana.

- Poddaj się lub zginiesz!

- Ktoś ty? - zapytał comes.

- Brat Mieszka.

Nastąpiło milczenie. Wigman popatrzył na swój miecz oblany krwią, chwycił

go za ostrze i rękojeścią wyciągnął do Sydbóra. Oczy mu znowu zapłonęły dziko i wargi się zatrzęsły.

- Oddaj ten miecz zwyciężonego Wigmana panu swojemu - rzekł - i powiedz mu, niech go odeśle przyjacielowi swojemu, cesarzowi. Otto wdzięcznym będzie za to... i wynagrodzi go pewnie.

Gdy Sydbór, wpatrując się w niego ciekawie, stał, miecz biorąc, Wigman szepnął:

- Daj mi umrzeć spokojnie.

I jak stał za stołem, posunawszy go jeszcze, padł na kolana na ziemię, złożył

ręce i głośno po niemiecku modlić się zaczął.

W tej przedśmiertnej modlitwie było coś tak przejmującego, że ludzie wszyscy ustąpili się z trwogą i poszanowaniem od niego. On nie widział już nic i nikogo, modlił się gorąco. Razem z krwią płynęły mu łzy, a z ust wydobywały się niezrozumiałe wyrazy i głębokie westchnienia; kilkakrotnie dłonią okrwawioną uderzył

się w piersi, potem czoło sparł na skrzyżowanych dłoniach, zasłonił oczy, jak ci rzymscy gladiatorowie, co rzucali na twarz kraj szaty, aby się nie wydać z bólu wyrazem. Nie widać było nic, tylko drżące dłonie i zbielełe czoło. Zsunął się powoli na ławę i skonał. Tam, gdzie siedział i klęczał, stała kałuża krwi skrzeplej.

Sydbór i wszyscy świadkowie tej śmierci długo stali, wpatrując się w nieszczęśliwego. Dzień się

robił coraz jaśniejszy i już zaglądał do chaty, gdy zatętniło i Kneź Mieszko z drużyną podjechał pod zagrodę. Wybiegł Sydbór, miecz Wigmana niosąc i winszując mu zwycięstwa.

Wolińcy byli na głowę pobici, poszli w rozsypkę i mnogim trupem usłali pobojuwisko, najniebezpieczniejszy z nieprzyjaciół, Wigman, nie żył.

Mieszko wszedł spojrzeć tylko na trupa, zmierzył oczyma tę dumną, nawet w chwili zgonu, postać i nie rzekłszy słowa, chatę opuścił, nakazując pogrzeb przystojny nieprzyjacielowi.

Wkrótce około zagrody się zbierać zaczęły rozproszone oddziały, które przez całą noc ścigały uchodzących. Ziemko i Hłaska polegli oba, zwycięstwo było zupełne i na długo trwożą napełnić mogło nadodrzańców. Czesi i Polany zebrali się tu znowu, znosząc łupy i obliczając swe straty, które bardzo szczupłe były. Zdobywszy wielkiej nie wzięto, oprócz silnego niewolnika a niewiele wartego uzbrojenia.

Tu, odpocząwszy nieco, kneź zdał dowództwo Sydbórowi, na powrót ciągnąć mu każąc do Poznania, a sam w kilkanaście koni tylko puścił się przodem, zabrawszy z sobą Wigmanów miecz, jako zwycięstwa swojego pamiątkę.

Tak skończył niespokojny ów warchoł, który z Geronem razem napadał

naprzód Polan, potem na nich wiódł Wolińców, wojował za cesarza i przeciw niemu, ze Słowiany i na Słowian, i nigdzie nie znalazłszy spokoju, musiał umrzeć, aby przestać mącić go drugim. Naprzeciw zagrody słowiańskiej usypano mogiłę comesowi, na której krzyża nie było komu postawić.

Cesarz, dowiedziawszy się o tym z pogranicza, nie rzekł nic, żał mu go było może. Nazajutrz w Regensburgu uroczyste za duszę grafa odprawiono nabożeństwo.

Rozdział 10.

Jak niegdyś ojciec Własta przyjmował na Krasnejgórze swych powinowatych i sąsiadów, gdy mu syn powrócił, teraz jesienią ojciec Matia na dzień Wszystkich Świętych zaprosił do siebie nawróconych chrześcijan, aby razem z nim nabożeństwo i skromną odprawili biesiadę. Nie potrzebował się on taić ze swą wiarą, która co dzień jawniej po całym kraju występowała; ustały nawet nadzwyczajne ostrożności, gdyż nie zdawało się, ażeby gorliwi wyznawcy bałwochwalstwa śmieli się porwać na chrześcijan, do których kniehini, znaczna część dworu, a kneź też, choć nie ogłaszając się z tym, należał.

Bałwochwalstwo ustępowało milczące, strwożone, ale się tuliło uparte tam, gdzie je dosięgnąć było najtrudniej: w lasy i niedostępne uroczyska. Tu, kto z nowych apostołów śmiał się puścić, niosąc krzyż i ewangelią, znajdował opór tak groźny, iż życie unosząc, uchodzić musiał. Gdy w pobliżu grodów, już na wszystkich drogach bałwany, oznaki pogaństwa, poobalano, dalej, w lasach, strzeżone były pilnie i żadna ich ręka nie tknęła. Gromady starców, bab, parobków w pałki pouzbrajanych obsiadły brzegi świętych strumieni, rozdroża, dęby i przystępu do nich broniły.

W lasach między Gniezmem a Poznaniem, na miejscu wywróconych bogów,

kryjomo stawiano krzyże, ale nazajutrz znajdowano je połamane i popalone. Nigdzie do tej walki nie występowało jawnie, a jednak nie ustawała ona, ciągnąc się nieprzerwanie. Chrześcijaństwo zyskiwało wyznawców, bałwochwalczy coraz się do rozpaczliwszej pobudzali obrony.

Dom Własta, do którego oprócz nowych chrześcijan nikt prawie nie zaglądał, przybrał postać nową i wszystkie oznaki, jakie mieszkania chrześcijan na zachodzie odróżniały. Znikły dawne uzbrojenia, rynsztunki, łuki i tarcze, które Jarmierz pochował do komór. Ojciec Matia uczynił klasztor niemal ze swojego dworu. Sam teraz przywdział ciemną suknię, podobną do tych, które nosili synowie świętego Benedykta na Monte Cassino, u których czas jakiś przebywał, a izby przybrał, jak cele klasztorne, w wizerunki Zbawiciela, w bizanckie obrazki Matki Jego, w krzyże i godła wiary swojej. U każdych drzwi wisiała przybita kropielnica, a kaplica, coraz nowymi wzbogacana nabytkami, świeciła kosztownym sprzętem i bogatymi

aparatami. Ołtarz umajały kwiaty, zmieniane co dzień. Przed nim ojciec Matia modlił

się za duszę ojca i za nawrócenie kraju, którego miłość była dlań pobudką do nieustannego apostołstwa.

On i ksiądz Jordan, kilku Czechów, którzy im pomagali, nauczali codziennie gromady tych, co już chrzest przyjąwszy, na pół jeszcze bałwochwalcami pozostali.

Wielu tu wiarę jak szatę nową wdzięwało obojętnie, a żyło starym obyczajem, usiłując z sobą pogodzić nieodżałowaną przeszłość z nieuniknioną przyszłością.

Hoża już także chrzest przyjęła z rąk brata i zwała się Hanną, Jarmierz wziął

imię Andrzeja, ślub połączył tę parę, którą Włast uczynił u siebie gospodarzami; lecz i z tymi najbliższymi też same miał trudności ojciec Matia, co z obcymi. Powoli krzewiła się wiara, niełatwo przyswajano jej obowiązki.

Jesień już późna na uroczysty ten dzień Wszystkich Świętych obdarzyła niezwykłym ciepłem i pogodą. Pajęczyny jedwabne rozścielały się po polach, na drzewach ostatki liści pożółkłych jeszcze się trzymały, zasiane żyta już zdawały się wiosny obietnicą, tak zieleniały bujno. Lekki przymrozek posrebrzył je tego rana.

We dworze już przed brzaskiem było wszystko w ruchu: pieczono i warzono dla gości, ustawiano stoły po izbach i w szopce, bo się spodziewano wielu. Włast z dawnych tradycji, która się dobrze godziła z chrześcijańską nauką, zachował

gościnność polańską dla wszystkich. Każdy, kto do jego drzwi zapukał, przyjętym był, choćby zresztą i do chrześcijan nie należał. Jałmużnę rozdawano obficie.

Rano, razem z dalszymi gośćmi, przybył ksiądz Jordan z zamku i dwaj czescy kapłani. Przynosił się do mszy, a tymczasem coraz ktoś nadciągał nowy. Byli to po większej części nawróceni żupani i kmiecie, ale i uboższego ludu przychodziły nieśmiało gromadki. Większa część,

przybywszy, jako znak na piersiach zawieszała krzyżyk przy chrzcie dany, który najczęściej jedną był w nich chrześcijaństwa cechą.

Mała kapliczka nie mogła pomieścić przychodzących, lecz ołtarz stał

naprzeciw otwartego okna, tak że z podwórza przy nim widzieć było można kapłana i tu ustawiały się też szeregi. Tymczasem Jarmierz ze służbą przygotowywał stoły, chleb i przyjęcie. Chrześcijańska ta nowa społeczność powierzchownie się jeszcze nie różniła niczym od dawnej pogańskiej; szaty, oręże, wszystko zostało toż samo, tylko łagodniejsze już widać było oblicza i ciszej sprawiali się zbrojni goście.

Przed południem, gdy już i podwórko, i izby pełne były samych prawie

mężczyzn, ksiądz Jordan z dwoma duchownymi wyszedł przed ołtarz ubogi ze mszą świętą. Cisza uroczysta zaległa dokoła. Większa część tych chrześcijan niewiele modlitw umiała. Modlono się duchem tylko, dopiero gdy po Ofierze rozpoczęto litanią, cała gromadka powtarzać poczęła głośno: Zmiłuj się i Módl się za nami.

Może, jak opowiada o innych Słowianach Dytmar, że *kyrie elejson* przez nieświadomość przekręcali na *Ukra olsza* (u krzaku olszyna), tak i tu niejeden słów nie rozumiał lub odmienił, lecz sama chęć starczała ubogim na duchu za modlitwę.

Nabożeństwo odbyło się wśród ciszy, poważnie i musiało radować apostołów, widzących już owoce swojego trudu. Z promieniejącą twarzą, pomodliwszy się u ołtarza, ojciec Matia zdejmował białą komżę, i miał spieszyć do gości, gdy Jarmierz wpadł, dając mu znać, że od Poznania widać ciągnący orszak, w którym się domyślano knezia. Wyszedłszy przed wrota, w istocie ujrzał Włast kilkanaście koni, które się z wolna ku dworowi zbliżały, a na ich czele mężczyznę i dorodną niewiastę.

Za nimi szły psy, a chłopak obok niósł na rękę sokoła.

Wyjechali więc na łowy, a Krasnagóra znalazła się na drodze wypadkiem czy do niej zboczyli umyślnie. Włast został przy wrotach, aby na wypadek odwiedzin pańskich powitać go z czołobitnością należną.

Gdy się jadący zbliżyli, łatwo już było rozpoznać wesołe knezia oblicze i swobodną zawsze twarz Dubrawki, która dotąd wianka dziewiczego zrzucić nie chciała i teraz też w nim jechała, uśmiechając się to mężowi, to wesołej okolicy. Z

daleka już Kneź skinął na Własta i podjechawszy do wrót, stanął.

- Dziwne sprawy, - zawołał, - u was zawsze widzę gody! Zastałem je niegdy tu u ojca waszego, a oto i syn także ucztuje i gości ściąga.

Kneź popatrzył na stojących w podwórzu, którzy mu się nisko kłaniali.

Dubrawka, rozglądając się, też dostrzegła przez otwarte okno ołtarz i krzyż i przeżegnała się pokornie.

- Co to u was dziś, wesele czy urodziny? - spytał Kneź.

- Święto, - odparł duchowny, ksiądz Jordan. Pamiątka tych wszystkich, co za wiarę cierpieli i co się dla niej zasłużyli, a jutro obchodzić będziemy dzień zmarłych.

Kneź głową pokiwał tylko, jakby o tym mowy unikał, był bowiem nie bardzo jeszcze świadom obyczaju nowego i z księdzem Jordanem często, odzywając się, miewał o to spory, bo mu się trafiały dziwne sądy i pytania. Przy ludziach więc Mieszko wolał nie mówić, aby się na poprawki nieubłaganego kapłana nie narażać.

Włast ośmielił się poprosić, aby Kneź i kniehini zsiedli i odpoczęli.

- Nie mam ja czasu - rzekł Kneź. Ze psy i sokoły jedziemy sobie do Gniezna.

Zamiast tu pozostać, ja gościa jeszcze zabiorę. Ksiądz Jordan mi potrzebny, pojedzie ze mną, ale kubek miodu mi dajcie, wypiję.

I tak na koniu siedząc, Mieszko, rozglądając się ciągle, miód podany wychylił; kniehini też drugi przyniesiono i nie odtrąciła go. Śmiejąc się przyłożyła do ust rumianych. Tymczasem już dla księdza Jordana konia wyprowadzano i cały ten orszak, jak przybył z wolna, tak odciągnął, nie spiesząc, ku lasom. Ludzie, stojąc, długo za nim patrzali.

Ksiądz Jordan w orszaku pańskim jechał milczący, modlił się, nie wiedząc spełna, na co był w podróży i Gnieźnie potrzebny, lecz wszędzie i zawsze miał wiele do czynienia. Parę razy puszczone psy, raz czy dwa razy sokół się zerwał, ale łowy niesły, co ksiądz Jordan świętecznemu dniu przypisywał, ale dla nowo nawróconych w wielu rzeczach trzeba było być pobłażającym.

Przez cały dzień polami i lasami podróż do nocy się przeciągnęła i już dobrze zmierzchało, gdy osada nad jeziorem z grodem na Lechowej górze się ukazała.

Znaczną przestrzeń zalegało miasteczko nad brzegiem, z drzewa pobudowane całe, ale czyste i zamożne. Dworki świeciły ścianami malowanymi i wyrzynanymi słupkami. Rzemieślników było tu prawie tyle, co w Poznaniu i tyleż wojska, w części na grodzie i w chatach około niego pomieszczonego. Na górze opasany wałem, a z jednej strony wodą oblany, stał gród książęcy stary, drewniany, jak wszystkie ówczesne Słowian, jak większa część budowli w Niemczech nawet. Wśród niego widać było szarą, na wysokich słupach stojącą kontynę pogańską, z dachem czerwono malowanym. Na najwyższym jej szczycie wycięty z drzewa potwór jakiś się unosił.

Tuż były domostwa książęce obszerne, podobne do tych, co stały nad Cybiną, starsze od nich może, w tenże sposób przyozdobione. Ale tu krasne malowania i dawne barwy wypełzły i słupy a ściany jednako szaro wyglądały a posępnie.

Sydbór wyszedł pieszo do bramy naprzeciw brata, ciesząc się z jego przybycia.

Musiał się go spodziewać, bo nie tylko stoły czekały nakryte, ale gromada ziemian w podwórzu z odkrytymi głowami. Pomiędzy dworem a kontyną leżały stosy kamieni zwiezionych świeżo. Ze starszyzną u ściany widać było ludzi obcych twarzy, którzy też zdawali się tu oczekiwać na Mieszka i

ciekawie mu się przypatrywali.

I on, i Dubrawka zsiadli z koni, pokłonami witani aż do ziemi, lecz zamiast iść do dworu, Mieszko poszedł z księdzem Jordanem ku kontynie, dokoła ją okrążył, obejrzał się po podwórcach, nic nie rzekł i wszedł, wróciwszy do izby biesiadnej.

Mieszkanie to było niskie, okopcone, proste i niczym nie ozdobne, tak jak z Piastowych czasów zostało. Ławy dokoła, stoły na krzyżowych podporach, podłoga z opólków, zielonym kosaćcem posypana. Przez pootwierane drzwi widać było izby dalsze, do pierwszej podobne.

Mieszko się obejrzał z pewnym uszanowaniem po dworze. U głównego stołu stały już gotowe dwa siedzenia, a przed nimi naczynia srebrne i misy, lecz nie siadł

kneź jeszcze i rzekł do żony:

- Pokłonić się nam trzeba wprzód duchowi tego gospodarza, co tu pierwszy ze krwi naszej gościł.

I szedł potem prowadząc żonę, a Sydbór, jakby domyśliwszy się, poprzedał

ich przez izby i komory. I obeszli tak całą połąć jedną grodu aż do drzwi, które stały zaparte. Sydbór je otworzył. Komora była niewielka, podobna do świetlicy w ubogiej chacie. Ława i stół w niej tylko. Naprzeciw wnijscia, na ścianie oponą bogatą, jak królewska szata, wisiało coś osłonięnego.

Mieszko widocznie wzruszony kołpak zdjął z głowy, a Sydbór na dany znak, przystąpiwszy do ściany, oponę z wolna odgarnął. Spodziewała się może kniehini ujrzyć jakieś bogactwa lub coś nadzwyczajnego. Na ścianie wisiała prosta szara siermięga, lipowe kurpie i kobiałka, a pod nimi stał ul pusty.

- Miłościwa Pani - odezwał się Mieszko. Piastowa to, pradziadowa, kmieca odzież, od której go wzięto na stolicę. Nam ją wnukom pozostawił, abyśmy nasz początek i wyjście pomnieli.

To mówiąc ujął w ręce brzeg starej szaty i pocałował ją Kneź, a za nim Sydbór. Dubrawka stała nieco opodal.

- Nie zachowali my na Hradczynie Przemysławowego pługą, Miły Panie, ale Piastowa siermięga i ul na równi z nim w pamięci wnuków zostaną.

Sydbór zasłonę ściągnął, Mieszko wyszedł smutny. To wspomnienie

przeszłości było dlań może wyrzutem w chwili, gdy mu się zdawało, że ją zdradził i że się jej wyrzekł. Zawahał się, czując stanowczą chwilę nadchodzącą. Dubrawka zdawała się myśli odgadywać i gdy do izby wchodzili, w której starszyzna czekała, za ledwie mrużąc po cichu, odezwała się do knezia:

- Szkoda, żeście z sobą do tej komory nie wzięli księdza Jordana. Niechby ową siermięgę święconą wodą pokropił, a lżej by na sercu wam było.

Wchodzili już do izby witani znowu pokłonami niskimi, a że mrok był,

pacholeta wniosły pochodnie i uczta się rozpoczęła.

Nie było niewiasty nad Dubrawkę miłszej, gdy gośćmi otoczona wesele w nich i dobrą myśl dostrzegła. Naówczas śmiały się jej oczy i usta i pobudzała drugich, wyzywała a ochoty dodawała. Nikt u niej czoła pochmurnego nie widział ani ponurej twarzy, przez co i drudzy też się ozywiali i ośmielali. Umiał kto pieśni, kazała śpiewać; proszono ją, chętnie nuciła swoje czeskie stare, w których ludzie jakby zapomniane swoje własne znajdowali. Czyniły one takie wrażenie u Polan, jak gdyby je kiedyś w dzieciństwie czy na drugim świecie jakimś słyszeli, a teraz je dopiero sobie przypominali. Gdy nad Wełtawą pieśń przezimowała ciężkie lata i z wiosną się obudziła, tu, nad Wartą i Wisłą, zmroził ją jakiś podmuch czy wyzęgła wojna.

W dużej izbie wesoło było dziwnie, ale Mieszko siedział smutny; czy stała mu na oczach Piastowa siermięga, czy śmierć Wigmana, czy to, co jutro przyjść miało...

Przez otwarte okna coraz to się dawał słyszeć trzask jakiś dziwny, na który nikt może nie zważał oprócz Mieszka. Ile razy doszedł uszu jego, kneź się wstrząsnął, popijał, a oczyma wodził jakby przestraszonymi.

Gdy tu biesiadowano wesoło, w podwórku działo się coś, na co ludzie stojący na wałach dokoła z przerażeniem patrzali. Kupka obcych jakichś, którą Kneź wysłał

przodem, przystąpiła do starej kontyny. W drzwiach jej stało dwóch dziadów na kijach opartych. Starszyzna, jakiś odezwał się do nich:

- Idźcie sobie, starzy, nie macie tu już co robić, ni czego strzec. Skarb wzięty na dworzec, a chramowi przyszła ostatnia godzina.

Dwaj dziadowie posłuchali, jakby nie rozumieli, spojrzeli potem po sobie i milcząc weszli do środka. Za zasłonami stał stary drewniany kloc, podobny do jakiejś nieforemnej, człowieczej postaci, obwieszony blachami i kawałkami zbroi. Z

jednej strony przymocowana była dzida, z drugiej tarcza bogata. U nóg posągu stały ofiarne naczynia. Dziadowie przyszli do stóp posągu i posiadali na ziemi.

Człowiek, który kazał im ustąpić, poszedł powoli w ślad za nimi.

- Ustąpcie! -zawołał. - Rozkaz knezia, idźcie stąd, nie macie tu już nic do roboty!

Starcy, ze spuszczonej głowy, nie odezwali się z żadną odpowiedzią. Ten, co chciał wygnać ich stąd, poczekawszy nieco, zniecierpliwiony jednego z nich za ramię chwycił i szarpnął. Dziad się pochylił, starał oprzeć, obalił, podniósł i siadł znowu.

Łajanie, groźby, nie pomagało nic. Musiał wyjść i ludzi zawołać, którzy do starych się zbliżywszy, gdy inaczej wyprzeć ich stąd nie było podobna, musieli za bary pochwycić i pomimo oporu wyrzucić za drzwi kontyny. Lecz za ledwie wypchnięci, oba wrócili i pokładali się przy posągu. Wyciągnięto

ich raz jeszcze i związanych zaprowadzono gdzieś na dworzec. Na wałach jak mur stali ludzie milczący, patrzali mimo ciemnej nocy i kto by usłyszeć mógł głosy, co stamtąd płynąc, z wrzawą biesiadną się mieszały, rozeznałby w nich jęki i płacze, ale ciche i stłumione.

Co się działo wewnątrz kontyny, nie widział nikt; wynoszono z niej,

wytaczano, zabierano sprzętu resztę. Słyszać było, jak darły się zasłony i słupy nagie stanęły, a na przestrzał pod dachem szopa pusta. Wtem głucho uderzenia siekier słyszeć się dały, a każde z nich odezwowało się w sercach tych, co tam na wałach stali.

I biły siekiery długo, podrębywały dokoła, a na niebie czarny dach chramu, zdało się, zadrżał, chylił, chwiał potem, odskoczyli ludzie, cała budowa stara z trzaskiem wielkim runęła na ziemię. Głośniejszy jeszcze od niego był jęk, który przebiegł po wałach. Świat się to walił stary. Ludzie oczy pozakrywali i płakali. Ze dworca, mimo łomu tego i wrzawy, nikt nie wyszedł, pacholkomie z zewnątrz zasuwali okiennice.

Została kupa rumowiska, w której gdzieniegdzie jeszcze coś chrupnęło, obsunęło się głębiej i zapadło.

Ludzie długo nie przystępowali do tej ruiny, lecz starszy z boku wskazał i rozpoczęła się szybka robota. Chwytano i wyciągano belki, rozrąbывano krokwie, wleczono słupy, oczyszczano miejsce, na którym stała kontyna. Parobcy zwołani dźwigali to i składali na kupę pod wałami, które gromady ludu zaległy. Nie ruszał się nikt z razu, potem w mroku jak mrówki zaczęli się tłumem spuszczać ludzie z okopów i unosić te szczątki. Ledwie się to rozpoczęło, w mgnieniu oka posypali się z innych stron drudzy i belki, słupy, resztki dachu, wszystko, co zostało, nikło. Tysiące rąk podawało sobie te pokruszone części chramu, które gdzieś w ciemnościach nocy tonęły. Tylko na wałach, w cichych gromadach ruch się wziął jakiś pospieszny, gorączkowy, nieustanny. Jedni na dół się spuszczaali, drudzy pędzili do góry, mijając się w milczeniu. Straż i ci, co znosili drzewo, chcieli się opierać tej kradzieży. Tłum ich milczący nacisnął, otoczył, skupił się, objął, tak że z trudnością wyzwolić się potrafili. Z wałów stoczyli się ludzie ci niemi ku rumowisku i wprost z niego chwyтали, unosząc, co leżało jeszcze. Wyparci obcy, którzy obalili chram, musieli milczący i beczynni pozostać na boku, nie śmiejąc się już ruszyć. Z rąk im wyrywano drzewo, odpychając; krzycheć i wołać pomocy nie chcieli, ustąpili więc czekając, aż rabunek się skończy.

Stos się zmniejszał w mgnieniu oka, najcięższe kłody wysuwały się w

ciemności gdzieś i przepadały w nich. Została kupka kamieni tylko i te potoczyły się ku wałom; nareszcie poruszona ziemia, węgle i trzaski okrywały plac i tłum z wałów odpływać począł. Małe kupki gdzieniegdzie widać było z dala, a potem nikogo więcej. Stary chram zniknął bez śladu.

Gdy po długiej uczcie wyszła starszyzna z dworca, rozgrzana miodem i

zadowolona przyjęciem, wszyscy stanęli oniemiaali na widok pustej przestrzeni, gdzie przed niewielu godzinami jeszcze stał stary chram. Spojrzeli po sobie długo, milcząco i cicho rozchodzić się zaczęli.

Po wałach czuwały zbrojne straże i wszystek lud wojenny gotowy był, jakby nazajutrz wybierano się

na wyprawę. Noc przeszła na czuwaniu w grodzie i mieście, tylko Mieszko legł spać, nie troszcząc się o nic. Do dnia był już na nogach. Ze dworca wychodził on, Dubrawka, Sydbór i ksiądz Jordan w białej sukience, włożonej na czarną, którą zwykle nosił. Za nim chłopak dźwigał naczynie z wodą spiżową.

Mieszko, wyszedłszy z dworca, oczyma potoczył dokoła. Świątyni dawnej nie było ani szczątko, znikło nawet to, z czego była zbudowana. Noc jakby cudem uprzątnęła miejsce, zmiotła okruchy nawet, tylko świeżo ruszona ziemia znaczyła plac, gdzie niegdyś stał chram Jessego. Wolnym krokiem zbliżyli się wszyscy do miejsca, które już ksiądz Jordan, przodem pośpieszając, kropił wodą święconą. Kneź

obejrzał się dokoła. Na grodzie nie było nikogo prócz zbrojnych ludzi i dworu.

Obcy człek z odkrytą głową zbliżył się pokornie, w rękę trzymając miarę. Za nim postępowało kilku pomocników. Razem z księdzem Jordanem poszli odmierzać plac i zakreślili na nim wielki krzyż, który białymi kołkami wytknięty z dala był

widoczny. Godło zbawienia leżało w olbrzymich rozmiarach na poświęconym miejscu, a Dubrawka, przeżegnawszy się, wskazała środek krzyża.

- Tu będzie mój grób! - rzekła.

Mieszko milczał.

Odstąpili, wracając ku dworowi, gdy do knezia zbliżył się jeden z jego komorników.

- Miłościwy Panie - odezwał się cicho. Dwaj starzy od chramu leżą powiązani, co zrobić każecie z nimi? Wczoraj bronili przystępu, nie można było ich odegnąć.

Kneź milczał, zniżył głos, obejrzał się ku księdzu i żonie, jakby się lękał, aby go nie posłyszeli.

- Weźcie ich na wóz, nakryjcie słomą, wywieźcie gdzie do lasu na uroczysko i wyrzućcie!

Odwrócił się szybko, niewesoło mu z oczu patrzało.

Dubrawka przyszła i rękę położyła na ramieniu.

- Panie mój Miłościwy, radować się i cieszyć macie, boście dokonali wielkiego dzieła.

- Nie dokonaliśmy go jeszcze - szepnął Mieszko - nie dokonali, a już boli; cóż będzie, gdy się spełni?

- Naówczas boleć przestanie - dodała Dubrawka śmiało - a im prędzej to uczynicie, będzie lepiej.

Kneź, swoim zwyczajem nie odpowiadając nic, na Sydbóra spojrzął, który stał

na pół wystraszony, półsmutny; weszli obaj do dworca.

Na owym rozpiętym krzyżu, który wodą pokropił święconą, klęczał ksiądz Jordan i modlił się. Nie obchodziło go to wcale, iż ludzie, poganie w wielkiej części, patrzali nań z podziwem i zabobonną trwogą. Ta modlitwa dziękczynna była potrzebą jego duszy, od której się powstrzymać nie mógł. Z rękami zaciśniętymi, oczyma wlepionymi w ziemię, na której klęczał, modlił się płacząc, jakby chciał wszelkie nieszczęścia od tego, przez się poświęconego, miejsca odegnąć i sprowadzić nań błogosławieństwo boże po wiek wieków.

Tymczasem obcy ludzie, co mierzyli i wytykali, jakby zagrzani jakimś zapałem, ruszyli do stosów kamieni, drudzy stali już z łopatami gotowi kopać.

Ksiądz Jordan klęczał jeszcze. Gdy wstał i pobłogosławił na cztery strony plac, dano znak i dokoła posypała się ziemia. Mieszko i Dubrawka już odjeżdżali, ksiądz Jordan też z nimi, Sydbór przeprowadzał brata.

Rozdział 11.

Tak się przygotowywało wprowadzenie wiary chrześcijańskiej do kraju i Dubrawka co chwila spodziewała się, że nareszcie krzyż zatknięty zostanie na dachu pierwszego kościoła. Im bardziej jednak zbliżała się ta chwila, tym Mieszko dziwnie ociągał się z nią i odkładał krok stanowczy. Ile razy wyruszył na łowy, spotkał w drodze lud, popatrzał na chmurne twarze, pomówił z ziemianami, którzy od wpływu dworu byli dalecy, wracał jakby niepewny i wahający się znowu, a gdy kniehini pytała go o chrzest ów zapowiedziany, uroczysty, nie odpowiadał jej nic.

Ksiądz Jordan, wzywany do narady, życzył czekać i nie nalegać. Zdało mu się, że sama potrzeba zasłonięcia się od Niemiec i przymierza z cesarzem zmusi do chrztu i otwartego krzewienia wiary. Wprawdzie nie ukrywano się z nią, opiekowano nawróconymi, odprawiano nabożeństwa, ale sam kneź nie był już ani poganinem, ani chrześcijaninem jeszcze. Wielu rzeczom się opierał, a bardzo wielu rozumieć i słuchać nie chciał. Samowola, do której nawykł przez całe życie, poddanie się prawu czyniła dlań nieznośnym. W duszy może nieraz lepiej rozumiał opór ludu, dla którego był pobłażającym, niż przymus, jaki nań wywierano. Ksiądz Jordan był

cierpliwy. Dubrawka, mimo postanowienia, coraz więcej zrywała się na męża, zwłaszcza, że z Czech szły ciągle zapytania o chrzest i ślub uroczysty, o ogłoszenie chrześcijańskiej wiary głośne i jawne, na które nie wiedziała już, co odpowiedzieć.

Jej staraniem tymczasem nawróconą została Górka, a za nią poszedł niemal cały dwór jej, oprócz starej Srokichy, która uciekła naprzód na Krasnągórę do wychowanka, a tam znalazłszy wszystko do niepoznania zmienionym, płacząc schroniła się gdzieś do lasu. Na próżno Włast usiłował ją wstrzymać, wyrwała mu się jednego ranka i więcej nie powróciła.

Przez całą zimę trwało to naleganie ze strony kniehini i milczenie uparte samego pana. Dubrawka, niecierpliwa i żywa, z trudnością znosiła upór mężowski, nie mogła nawet odgadnąć jego myśli. Nie przeciwiał się nawracaniu, czasem karał

tych, co krzywdy chrześcijanom wyrządzali, lecz niekiedy bronił naglonych do przyjęcia chrztu i nie podzielał wcale gorliwości córki Bolesława, która w tym pogańskim jeszcze świecie nieustannie myślała tylko, aby wszystko dawne obalić.

Gdy Mieszko obojętnie jakoś czekał i przeciągał, jej wysłańcy po kryjomu obalali posągi, palili kontyny i po nocach zatykali krzyże na próżno.

Po Nowym Roku raz jeszcze kniehini poczęła prosić męża, aby jej dotrzymał

słowa. Mieszko znowu milczał, a gdy naciskać zaczęła nań, wyszedł, nic nie przyrzekłszy. Kneź był dobrym mężem, ale niewieście nie przyznawał prawa rozporządzania się w domu. Gdy go bardzo nagliła, miał zwyczaj żartobliwie odsyłać ją do wrzeciona i krosien.

Zima była ostra w tym roku, dzień po dniu jednak jeżdżono na łowy. Mieszko wyruszał często przede dniem, bawił długo i ledwie wróciwszy, wybierał się znowu.

Raz, gdy z takich łowów wrócił na zamek późną nocą, a kilkoro sań przywiozło za nim zwierzynę, w komorze, do której wszedł, znalazł na sobie oczekującego Dobrosława. Zaczął mu opowiadać o łowach i o ostatnim dziku, którego ludzie żywcem wzięli, gdy spojrzawszy na twarz swojemu słudze, postrzegł na niej oznaki jakiegoś niepokoju. Nienawykły do milczenia spytał zaraz, czy się co we dworze nie stało.

Dobrosław zwlekał z odpowiedzią.

- Miłościwy Kneziu - rzekł wreszcie, skinąwszy wprzód na komorników, aby odeszli, - nasza Kniehini się wybiera w drogę...

- Dokąd? Kiedy? - spytał kneź.

- Przyjechał z Pragi poseł. Nie wiem, co przywiózł z sobą, kazano wszystko do podróży sposobić.

Ponieważ noc była późna, Mieszko, nie pytając ani dowiadując się więcej, legł

na spoczynek.

Nazajutrz raniej niż zwykle był na nogach. W istocie, w dworcu Dubrawki ładowano juki i skrzynie i wynoszono je w podwórze; widać było ludzi spieszenie się uwijających i niezwykły ruch. Posłał Mieszko natychmiast po Różane.

Zdaje się, że stara pani już się tego spodziewała, bo mimo pory rannej, weszła ubrana starannie we wszystkie błyskotki, które lubiła.

- Co się u was dzieje? - zapytał Kneź.

- A, Miłościwy Panie, Miłościwy Panie! - do nóg się kłaniając i przystępując blisko jak do zwierzenia, zawołała Różana. - Co się u nas dzieje! Tracę głowę! Sama nie wiem... Zamęt... Wczoraj przybyli Czechy do Miłościwej Pani, mówiła z nimi długo na osobności. Nie mam tego zwyczaju,

żeby podłuchiwała, nie wiem nawet, co mówili... Ale cicho szeptało długo, długo, a potem wyszła Miłościwa Pani i kazała wszystko swoje, co przywiozła z Pragi, ładować i wiązać.

Wszystko...wszystko! Któż może zgadnąć, co to znaczy? Ja stoję i patrzę... Kniehini ma swoje niewiasty Czeski, którym się zwierza, na mnie ledwie rzuci okiem. Nigdy nic nie wiem! - Różana załamała rękę.

Mieszko popatrzał na nią i skinieniem ją odprawił. Czekał na to, aby mu Dubrawka sama przyszła wytłumaczyć, co znaczył ten wybór w drogę; godzina jeszcze upłynęła. Na ostatek weszła Dubrawka. Ale nie jak zwykle z twarzą wesołą i obliczem rozpromienionym, niespokojna, smutna i widocznie poruszona.

Mieszko wskazał jej ręką w podwórze, jakby zapytywał: "Co to jest"?

- Posłałam do Pragi, aby po mnie ojcowscy ludzie przybyli, Wrócę do rodzicielskiego domu. Dłużej tu nie mogę zostać...

Wstrzymała się nieco i ciągnęła dalej, patrząc na męża:

- Wstyd mi... widzicie, że noszę wianek dziewiczy na głowie, bo uroczystego chrztu i zaślubin nie było. Nie mogę powiedzieć, że jestem żoną twoją. Wobec chrześcijan córka Bolesława jest tylko twoją ulubienicą, jak te dawne Lilie i Luby, a córka Bolesława Lutego, wnuczka Przemysławów, nie może być nią i nie będzie! Wolę powrócić do domu, niż dłużej to cierpieć i sromać się przed moimi pogaństwem a takiego życia. Pojadę do domu! - powtórzyła.

Mieszko stał zdziwiony i niemy, Dubrawka też prawie płakała, ale nie chciała dać poznać po sobie, że się jej na łzy zbierało.

- Nie pojedziecie! - odparł Mieszko. - Musieliby po Was całe czeskie wojsko przysłać, inaczej ja nie puszcze!

- Ucieknę, a tak w grzechu i wstydzie żyć nie będę! - dodała Dubrawka.

Kneź, ramionami ruszywszy, siadł na łóżku i zamyślił się.

- Słowo dałem i strzymam - odezwał się. - Wiem, co czynię.

- Miłościwy Panie, i ja wiem, czego żądam. Czekałam z pokorą. Czas albo mnie nazwać żoną, lub opuścić ze wstydem.

Wstał Kneź z wolna, zadumał się, przystąpił do płaczącej i rzekł:

- Gdy pierwszy skowronek zaśpiewa, upadnie reszta chramów i w Gnieźnie krzyż zatknijemy. Gdy pierwszy skowronek zaśpiewa - powtórzył.

Dubrawka plasnęła w rękę i oczy jej zaświeciły.

- Na nowego Boga twojego, na Chrystusa, który wiarołomnych karze,

przysięgnij mi - zawołała i z szyi zdejmując krzyżyk, podała mu go, - przysięgnij!

- Przysięgam - rzekł Mieszko.

Dubrawka rzuciła mu się dziękować, Kneź siadł chmurny, nie mówiąc więcej.

Od tego dnia rozpoczęły się jawne przygotowania do większej uroczystości.

Posłowie czescy, odprawieni nazad do Pragi, mieli jeszcze raz przybyć ze skowronkiem razem, wioząc z sobą świętobliwego kapłana Bohowida, który chrzest uroczysty Mieszka miał dopełnić.

W Gnieźnie nad częścią już wznoszącego się kościoła naprędce dach kazano ukończyć, aby w tej pierwszej świątyni odbyć się mógł obrząd chrztu. Ksiądz Jordan, ojciec Matia, i inni duchowni zbierali tymczasem przygotowujących się neofitów, ażeby razem z kneziem jak największa ich liczba do chrztu stanąć mogła. Na zamek gnieźnieński wieziono białe szaty i wszystko, co do świętej uroczystości tej było potrzebne. W tym samym dniu po całej ziemi oznaki bałwochwalstwa, posągi, słupy, kamienie wywrócone i zniszczone być miały. Na grodzie poznańskim, gdzie dawno już starych świątyni stały pustkami, obalono go jednego dnia wobec wszystkich, nie znajdując żadnego oporu, bo dwór i wojsko już wcześniej całe prawie do przyjęcia chrztu było przygotowane.

Tegoż dnia poświęcił ksiądz Jordan pierwszy kamień kościoła, który miał się wznieść na jej miejscu. Działo się to jawnie, bezkarnie; o starych wróżbitach i gęślarzach nawet nie było słyhać, znikli gdzieś i nie pokazywali się więcej. Kraj był

spokojny, lud milczący. Księża przebiegali go bezpiecznie, ale tylko u bogatszych znajdowali gościny i posłuch chętny. Osadnicy ubożsi milcząco i obojętnie dawali im mówić, nie odpowiadając wcale. Pomiędzy nimi nawrócenia były rzadkie.

Z pierwszym skowronkiem, po roztopach wiosennych, przybyło czeskie

poselstwo i staruszek Bohowid, który dawne czasy pamiętał. Dubrawka wyszła przeciwko niemu, Mieszko przyjął ze czcią należną. Dwór, wojsko, co było chrześcijan i tych, którzy nimi zostać mieli, wszystko pierwszych dni marca pociągnęło do Gniezna. Pochód był uroczysty, powolny i wspaniały, lecz drogi, którymi ciągnął, puste. Gdziekolwiek został jeszcze ślad pogaństwa, zatykano krzyże białe po drodze, które księża poświęcali. Na wszystkich rozstajach, u źródeł, gdzie dawniej składano ofiary, wznoszono znamiona wiary. Nigdzie i nikt nie śmiał stanąć w obronie dawnych bogów. Na widok tego orszaku, któremu towarzyszyły czeskie poczty, ludzie z pól uciekali i kryli się po lasach, głucho milczenie szło za nim.

Na zamku w Gnieźnie wały i dworce pomieścić nie mogły natłoku. Tu zbiegło się wszystko, co pragnęło pod nową zaciągnąć się chorągiew: ziemianie, władcy i żupanowie, wojsko całe, wręcz z ludu namówieni i zjednani. Tym od rana rozdawano szaty białe poszyte umyślnie, które kładli jako oznakę odrodzenia i oczyszczenia.

Gromadami stojących dokoła grodu kapłani kropili wodą i dawali imiona nowe. Dostojniejszych

Czesi i Dubrawka we dworcu do chrztu trzymali. Na ostatek przed świeżo wzniesionym ołtarzem w nowej jeszcze i nie skończonej świątyni, dla której relikwie z Pragi przywiózł Bohowid, Mieszko ochrzczonym został przez niego i pobłogosławiony wraz z Dubrawką. Sydbór i Górka także chrzest przyjęli razem z nimi. Wspaniała uczta zakończyła ten dzień wielki, a nad dachem świątyni nowej jaśniał wysoko wzniesiony krzyż, który odtąd dziejom tej ziemi miał przyświecać.

Zdawać się mogło obcym, patrzącym na ten spokój i ciszę, wśród których odbył się chrzest całego narodu, że nigdy z większą uległością nie zmieniła się wiara od wieków wszczepiona na nową i nieznaną. Cieszyli się czescy kapłani i prorokowali przyszłość szczęśliwą; jeden Mieszko tylko wiedział, co znaczyło milczenie, to zaparcie tchu i zbieganie osadników w niedostępne lasy.

Ponieważ w głąb kraju dosięgnąć, dla obalenia kontyn po lasach i bałwanów na polach a wzgórzach, niełatwo było, nazajutrz zaraz wyznaczono oddziały zbrojne, które z duchownymi i przygotowanymi krzyżami miały wyruszyć, dotrzeć do znanych zakątków i tam wnieść godła wiary.

Włast z chęcią ofiarował się do jednej z tych apostolskich wycieczek za przewodnika. Pragnąc się jednak na nią wybrać, natychmiast z Gniezna wyjechał do Krasnejgóry, gdzie po niego przybyć mieli ci, którym mu towarzyszyć kazano. Przed wieczorem jeszcze przebiegłszy całą przestrzeń, którą wczoraj pochód książęcy przybrał w krzyże nowe, ojciec Matia ze smutkiem mógł się przekonać, co znaczyło owo pokorne tłumów milczenie. Wszystkie krzyże leżały podruzgotane, popalone, i zbeszczeszczone: nie pozostał żaden z nich na swoim miejscu. Ludzie nie pokazywali się nigdzie.

Z bolesnym duszy wrażeniem przybył Włast do dworu. Wieczór był chłodny, wiosenny, w progu domostwa zastał siedzących Hannę i Andrzeja. Wyszli oboje na jego spotkanie dowiadując się, co się w Gnieźnie i jak odbyło. Włast na pół smutnie, w pół radośnie począł im opowiadać, jak świetnie chrzest się spełnił, jak mnogo ludu wdziało białe szaty, a jak podstępnie potem i sprośnie krzyże wystawione pozrucano i zbeszczeszczono w nocy.

- Ojczy mój, - odezwał się nawykły nazywać go tym imieniem Jarmierz, -

początek to dopiero. Wszystkiego się jeszcze spodziewać można i nie dziś tylko, ale przez długie lata. Kto wie, co nas wszystkich czeka?

Ojciec Matia chwycił go za rękę.

- A, nie! - zawołał. Teraz, gdy mamy prawo do tego, pojedziemy nauczać, objaśniać, nawracać, ludziom się serca i oczy otworzyć muszą, tak jak się one wam otwarły na światło.

Jarmierz spuścił głowę i nic już nie odpowiedział.

Weszli do dworu, ojciec Matia najprzód do ołtarza spieszył, aby się przy nim pomodlić. Hanna zastawiała skromną wieczerzę. Zasiadli do niej właśnie, gdy Jarmierz wstał jeszcze, aby pójść obejrzeć wokoło dwór i zobaczyć, gdzie byli parobcy i stróże. Obchodził je tak zwykle co wieczoru. Tym razem dłużej go nie było z powrotem i Hanna poszła zobaczyć, gdzie się zabawiał tak długo.

Włast pozostał sam. Weszli nareszcie z powrotem, ale bledzi i strwożeni, tak że podniósłszy na nich

oczy brat spytał, co ich tak niepokoiło.

Jarmierz, odzyskawszy przytomność, zawołał tylko:

- Uciekaj!

Nie zrozumiał zrazu tego Włast.

Dwór otaczają ogromne ludzi gromady, które z lasu ciągną w milczeniu.

Parobcy uszli wszyscy, nie ma nikogo do obrony! Uchodzić trzeba, jeśli można...

Przeżegnawszy się, ojciec Matia spokojnie wstał z za stołu i wyszedł razem z Jarmierzem na podwórze. Stąd już widać było od strony lasu i od pola, jak mur stojące w milczeniu tłumy ludu, w którego pierwszych szeregach rozeznac mogli starych dziadów. W jednej gromadzie Warga dowodził. Ucieczka już była niepodobieństwem. Z tyłu, z przodu i po bokach, wszędzie opasywały ich te zastępy, o których złej woli wątpić nie było można.

Włast uścisnął siostrę i Jarmierza.

- Uchodźcie wy, - rzekł, - ratujcie się, wam przebaczą i nie uczynią nic. Mnie, co ma spotkać z woli bożej, przyjmę jako nagrodę. Idźcie!

Hanna płakała. Jarmierz zaklął się, że nie odstąpi brata.

Głuchy szmer, jakby warczenie dalekiej burzy, dochodził ich uszów. Stali w przedsienu naprzeciwko wrót, na których oparty pokazał się Warga z rozczochranym włosiem. Zobaczywszy go, Jarmierz podbiegł do niego, lecz nim się zbliżył, starzec podniósł kij i krzyknął:

- Ubiję!

Pomimo groźby zbliżył się do niego nieustraszony chłopak.

- Czego chcecie? - zawołał.

Przyszliśmy na wasze nabożeństwo! - zaryczał stary. - A że ciemno, my wam do niego poświecimy...

To mówiąc odstąpił od wrót.

Hanna jak obłąkana wpadła w głąb dworu, chcąc ratować brata i ciągnąc go z sobą. Na przestrzał przebiegli sieni domostwa. Z drugiej strony stał taki sam tłum gęsto zbity. Od lasu roiło się ciżbą. Jarmierz próbował wydobyć się przebojem, aby uciekwszy, sprowadzić pomoc, ludzie go pałkami wpędzili nazad na podwórze.

- Zniszczyć to gniazdo!

- Z dymem ich puścić! - krzyczeli.

Ojciec Matia powstał chwilę, posłuchał, jeszcze raz uściskał siostrę i poszedł do kaplicy. Tu klął przed ołtarzem, czekając śmierci. Jarmierz biegał jeszcze próbując, azali mu się, wykupić lub wyprosić nie uda u ludzi, lecz odpychano go wszędzie, mówić nawet nie dając.

Niedługo potem z kilku stron dworu błysnął ogień i dym zaczęło być czuć w powietrzu. Podpalone dachy, popodkładane głównie pod ściany gorzały coraz większym płomieniem.

W chwili tej, gdy już żadnego nie było ratunku, Jarmierz przypomniał sobie jamę, w której niegdyś ojciec trzymał nieszczęśliwego Własta. Została ona przy odbudowywaniu dworu pokryta dachem i mało komu była znaną. Zdawało mu się, że do niej schroniwszy się, mogą ująć płomieni i śmierci, bo nawet, gdyby lekki daszek, zgorzawszy, padł na nią, mogli się w wyżłobieniu pod ścianą przechować, póki by tłuszcz ta nie odciągnęła, a ci, co na ich życie czyhali, sądzić mogli, że zginęli w płomieniach. Z tą myślą pobiegł do Własta.

Trudno było modlącego się oderwać od miejsca, na którym chciał zginąć, aby dać swej wierze świadectwo. Nareszcie zaklęcia i prośby wymogły na Właście, że się dał odciągnąć i uprowadzić. Wszystko więc troje nie postrzeżeni, bo lud nie napadł

dworu, nic z niego tknąć nie chcąc, tylko żywcem spalić swe ofiary, spuścili się z wolna do tej kryjówki, tak Włastowi pamiętnej. Los jego prowadził znów w to samo miejsce, na śmierć czy ocalenie... Któż mógł przewidzieć?

Gdy Jarmierz, narzuciwszy mokrej słomy i mierzwy na wrota, zapuścił je na jamę, starając się ukryć ją przed oczyma napastników, w ciemności tej i zamknięciu zrazu nie słyszeli, nie widzieli nic. Wpadli jakby w grób... Włast do modlitwy zachęcał. Klękli wszyscy i powtarzali za nim wyrazy, które wymawiał powoli.

Napróżno było nasłuchiwanie; głos żaden nie dochodził tutaj. Zdawało się im, że wiek trwało to okropne milczenie śmierci, gdy nareszcie szelest jakiś i jakby szum dobiegł ich uszu, Jarmierz poznał głos ognia, który się zbliżał. Gorzały dachy.

Ile razy, ciesząc się swym łatwym zwycięstwem, tłum ogromnym, dzikim

odezwał się krzykiem, echo jego głucho odbijało się pod ziemią. Gdy belki padać poczęły z góry, ziemia się kilkakrotnie zatrzęsła. Zataętniało potem, jakby ciżba wpadła na pogorzelsko. Na wrota jamy, które tylko zgorzały dach mógł ocalić, okrywając je, jeszcze się nic nie zważyło. Powietrze robiło się duszne i ciężkie; Hanna z płaczu i trwogi mdlała, trwoga jej na powrót przytomność wracała. Włast się modlił.

Jarmierz, do wrót się przyczepiwszy, starał się śledzić postęp pożaru. Przez szpary przeciskało się światło i dym wlokący po ziemi dusić zaczynał.

Śmierć szybką zmienili tylko na powolną męczarnię. Włast myślał o duszy już, nie o ocaleniu, rozgrzeszał siostrę, brata i modlił się za nich i siebie.

Jak deszcz ogniasty naprzód z dachu posypały się iskry, potem kilka krokwi przepalonych upadło na

wrota, wreszcie część dachu, pod którą się znajdowały, runęła z łoskotem i przysypała je ognistymi węglami. Śmierć zdawała się nieuchronną, gdyż oddychać już nie mieli czym, powietrza ubywało, gorąco dawało się czuć straszliwe. Z dala słychać było walenie się ostatnich belek i kawałków pokrycia, a każdemu ich runięciu towarzyszyły okrzyki.

Włast z czołem opartym o ziemię stracił wreszcie przytomność. Hanna leżała bez zmysłów. Zrozpaczony Jarmierz barkami podniósł nieco wrota, aby wypuścić powietrza. Zamiast niego wpadł gryzący dym do jamy. Trzymając tak ten ciężar nad sobą, Jarmierz mógł się przysłuchiwać. Krzyki zdawały się oddalać. Nie chciał zrazu uszom wierzyć i cudowi. Czekał jeszcze. Głosu żadnego nie słyszał już oprócz trzaskania dopalających się belek i szumiącego wiatru, w którym deszcz rzęsisty rozpoznać było można. Dym rozszedł się nieco, powietrze weszło do lochu, aby ocucić pomdlnych.

Jarmierz odważył się, odsunawszy nieco wrota, na pół wydobyć z ukrycia.

Noc była czarna, czerwona łuna pożaru świeciła tylko, nikogo dokoła nie dojrzał, pusto było i cicho...

Dwór cały leżał w węglach, gdzieniegdzie tlił się słup, którego płomień deszcz z jednej strony przygaszał. Jarmierz wyskoczył całkiem nad loch i pełzając, starał się rozpatrzeć dokoła. Tłumy rozbiegły się po lasach pewne, że zamknięci we dworze zginąć musieli w płomieniach. Istotnym cudem męczennicy zostali ocaleni. Lecz mogliż się uważać już za bezpiecznych? Na pogorzelsko ludzie łatwo mogli powrócić, uchodzić z niego do lasu groziło dostaniem się w ich ręce.

Wstawszy z ziemi, nie widząc nikogo dokoła, Jarmierz wahał się, czy ma wydobyć Własta i żonę, czy dłużej zostawić ich w tej kryjówce. Pełznąąc, aby nie być postrzeżonym, jeśli by kto jeszcze stał na straży, dostał się do studni w podwórku, przy której znalazł wiadro wody pełne. Z nim nazad pospieszył do Hanny i Własta.

Ale ci już byli powrócili do życia, gdy wrota powietrze świeże dopuściły.

Włast odmawiał, stojąc, hymn dziękczynny, ze złożonymi rękami, z głową podniesioną i wołał:

- Cud uczyniłeś. Panie, abys nawrócił niewiernych, abys zawstydził złych. Cud uczyniłeś, nie dla niegodnych cudu, ale dla wielkiego imienia Twojego.

I Hanna widziała w tym cud, i Jarmierz, który drżał z radości, chociaż na myśl o tych tłumach, gdzieś w pobliżu będących, nowa go trwoga ogarniała. Nie wiedział

jeszcze, co począć, gdy z ogromnym tętentem koni i wrzawą przypadła gromada jezdnych i u pogorzelska stanęła.

Nie wiedząc, kto przybywał, Jarmierz padł zrazu na ziemię, lecz wkrótce z mowy, która go dochodziła, poznał oddział ludzi z grodu nad Cybiną, wysłany, gdy łuna pożar zwiastowała. Co prędzej więc, powstawszy, począł biec ku nim. Na jego widok rzucili się, aby go pochwycić... i nierychło mógł się im dać poznać. Ludzie, zsiadłszy zaraz z koni, pomogli mu przy wydobyciu Własta i Hanny na pół żywych, lecz ocalonych.

Deszcz ustawał, resztki stosu tego ofiarnego, gorejąc, oświecały rumowisko.

Jakież było podziwienie Własta i wszystkich, gdy, otoczony głowniami gorejącymi dokoła, ujrzeli ołtarz kapliczny całym i na nim krzyż nie obalony, świecący z daleka.

Zaiste był to cud równie wielki, jak ocalenie tych ludzi, skazanych na śmierć w płomieniach.

Własta żadna siła powstrzymać nie mogła, aby nie pobiegł uklęknąć przed tym ołtarzem, do którego pociągnął za sobą siostrę i brata, równie jak on tym cudem przejętych. Gromadka ludzi z zamku przybyłych, świeżo nawróconych także, klękała, zdjeta trwogą i modliła się razem z nimi. Widok tego znamienia nowej wiary, ocalonego z płomieni, przejmował wszystkich jak dowód potęgi nowego Boga.

Po skończonej modlitwie, ujawszy z ołtarza krzyż i resztę kościelnego sprzętu, okrytą węglami, a nie zgorzałą, Włast musiał razem z ludźmi, co go ocalili, udać się na zamek nad Cybiną. Dniało już, gdy w las wjechali wszyscy. Włast na danym mu koniu przodem ze świecącym krzyżem w dłoni, za nim Jarmierz i Hanna.

Zaledwie parę staj oddaliwszy się od pogorzelska, z przestraszeniem i

zdziwieniem postrzegli w lesie koczującą, na ziemi rozłożoną, gromadę ludzi, która schroniła się tu przed ulewą po pożarze, którego pilnowała. Na widok jadących popodnosili głowy. Warga spostrzegł pierwszy i poznał Własta ocalonego z krzyżem w ręku. Stary wróżbita oniemiał z przerażenia. Był pewien jego śmierci, strzeżono dokoła dworu, aby nikt się z niego wymknąć nie mógł. Jak na widok upiora wstałego z grobu starzec krzyknął i dłońmi zakrywając sobie oczy, porwał się natychmiast z ziemi, pędem uciekając w las, za nim tłum co prędzej zrywać się też zaczął i uciekać z wrzaskiem. Ludzie padali na ziemię przestraszeni. Orszak wiodący ojca Matię przeciągnął powoli w milczeniu i znikł na drodze do grodu.

Rozdział 12.

EPILOG.

W roku 973, w kilka lat po opisanych wypadkach, cesarz Otto z cesarzową Adelajdą, opowiadają współczesne kroniki z Włoch, znowu dążąc na święta wielkanocne do Quedlinburga, gdzie w niedawno założonym klasztorze, córka jego ksienią była, na Kwietnią Niedzielę stanął w Magdeburgu.

Pan to był wielce pobożny, więc jak skoro ujrzał krzyże kościelne, a posłyszał

dzwony witające go wesołymi odgłosy, zsiadł z konia natychmiast. Naprzeciw niego szło z zapalonymi świecami i pochodniami duchowieństwo, arcybiskupi Geron i Adalbert, prałaci, zakonnicy, niosący relikwiarze, krzyże, obrazy i kadzielnice.

Zatrzymawszy się, cesarz ucałował podaną mu Ewangelię i relikwie i przy odgłosie pieśni szedł dalej na czele duchowieństwa do kościoła, w którym, drogie niedawno otrzymane relikwie świętego Maurycego złożone były.

Nazajutrz, opisują ciż kronikarze, cesarz niezmiernymi darami ubogacił

kościół, biskupstwo, księży i samo miasto. Między innymi były tam księgi, naówczas rzadkie, przedziwnie pisane i malowane, jakimi niewiele świątyn pochłubić się mogło.

W tym samym czasie Mieszko, także w poczcie wspaniałym, zdążył do

Quedlinburga, dla powitania sprzymierzeńca swego, cesarza, niosąc mu bogate dary.

Wśród orszaku książęcego, obudzający po drodze podziw ludzi i zdumienie, szedł

ogromny wielbłąd czerwoną kapą okryty, przeznaczony w ofierze dla Ottona.

Tym razem zmieniło się zupełnie położenie Mieszka, stosunki jego, siła i znaczenie. Pomiędzy nim a szwagrem Bolesławem panowała niechęć i wojna o Śląsk i Chorbacją, którą oba posiadać chcieli. Mieczysław pochlebił już sobie, że zawładnie Słowiańszczyzną całą, tąż samą myślą żył Bolko. Oba szukali przymierza z cesarstwem dlatego tylko, aby móc całą siłę na zwiększenie państwa swojego obrócić; oba rozumieli to, że kraje o jednej mowie musiały albo się znaleźć w jednym ręku, lub stać się łupem cesarskich margrafów.

Lecz Otto starzał, myślą i sercem mieszkał za Alpami, tu chciał czymkolwiek bądź okupionego spokoju.

W tym roku zjazd do Quedlinburga był liczniejszy daleko niż lat dawnych; przybywali posłowie upokorzonych Greków, co się niedawno z potęgi Ottona naśmiewali, posła jego lekce ważąc w Bizancjum, szli posłowie Benewentu, jechali wysłannicy Ghezy, księcia Ugrów, Bułgarowie, Duńczycy i liczni kneziowie słowiańscy, na których czele Mieszko Polański i Bolko Czeski.

Dwór Mieszków świetniejszy był nad wszystkie, a ochrzczony kneź stał już na równi z

najdostojniejszymi diukami, kłaniał się jeszcze potężne cesarskiej, ale dlatego tylko, aby się od niej i wszelkiej innej wyzwolić. Na obliczu też księcia widać było ufność w swą siłę i spokój, które choć się okrywały pokorą, tryskały spod niej jak rumieniec z białych policzków, gdy je duma zagrzeje lub gniew. Przodem, przed panem, poszły do Quedlinburga obozy, ludzie i konie zajęły miejsce najlepsze, a kneź znalazł namiot rozbity i dwór gotowy na przyjęcie. Tłumy skupiały się około, wysoko nad ludzi i konie podnoszącego głowę potwora, wielbłąda.

Zaledwie przybył Mieszko, przyszedli mu się pokłonić słowiańscy wodzowie, czuli w nim pana, a szanowali wojownika, który nigdy oręża nie składał i nieustannie był czynnym.

Gdy drugiego dnia świąt wielkanocnych posłuchanie miał Mieszko otrzymać, jechał na nie z całym orszakiem swym, przypasawszy miecz niegdyś przez Ottona mu dany. Za nim strojni, z włóczniami do turniejów, wojownicy, pacholęta, niosący tarcze i miecze, konie powodne. Na grzbiecie wielbłąda, sznurami purpurowymi związane, sukniem fryzyjskim okryte, jechały dary dla Ottona.

Kilka lat walk i życia posrebrzyły włosy i brodę cesarza, porały mu twarz smutkiem jakimś, jakby przecuciem grobowym okryły czoło. Zdawał się

przewidywać, że ciężkie berło, które w dłoni dźwigał, rychło mu śmierć wydrze.

Gdy z pokłonem wszedł Mieszko, Otto go jak znajomego powitał mile i do tronu, na którym siedział, ręką bliżej zawezwał.

- Wiele się zmieniło w krótkim czasie przeciągu - rzekł, patrząc nań. - Wyście, dzięki Bogu, i sami prawdziwą wiarę przyjęli, i kraj swój do Kościoła przyłączyli.

Szczęściło się wam z nieprzyjacioły, błogosławieństwa doświadczyliście mnogiego, a ufam, że ono Was nie odstąpi. - Tu westchnął. - Nie bojujcie tu, a nie walczcie z sobą, ani z moimi. Wiele bez tego do czynienia macie. Pogan zostało mnogo, kościołów jest mało, duchowieństwa wam braknie. Chrzcic i nawracać, a chrztem podbijać możecie ludów wiele. Wy, Bolko i moi margrafowie idźcie razem na wytępienie pogaństwa.

Westchnął Otto, a Mieszko odrzekł, że rad by żyć ze wszystkimi w pokoju, ale swoich ziem, do których ma słuszne prawa, nikomu sobie wydrzeć nie dozwoli.

Nic na to nie rzekł Otto, a po chwili znowu pokoju z Czechami życzył.

Mieszko zamilkł ostrożnie.

Święta to były pamiętne z wielu różnych obrzędów i wypadków.

Dnia pierwszego kwietnia nagle zmarł Herman, książę saski, którego ciało cesarz uczcił, gdy je syn wyprowadzał do rodzinnego grobu do Lunenburga, którego niegdy pokonany przez Mieszka Wigman tak mu zazdrościł.

Za życia jeszcze Herman, poważniejszy się z Brunonem, biskupem

ferdeńskim, wyklętym był przez niego. Gdy zwłoki prowadzono, syn Bernard zaklinał mściwego nieprzyjaciela, aby z nieboszczyka przynajmniej zdjął klątwę i dozwolił go w poświęconej ziemi pochować. Bruno był nieubłaganym .

Mieszko, obdarowany przez cesarza nawzajem, powrócił już był do domu, sposobiąc się do nowej walki z bratem żony, gdy cesarz, który na Wniebowstąpienie znajdował się w Merseburgu, wyjechał stąd we wtorek przed Zielonymi Świątami, spoczął w Memleben . Tu siadł jeszcze wesół do stołu, rozmawiał z przybocznymi, ale w czasie niesporów nagle słabnąć począł. Pochwycono go i przeniesiono na łożo, otoczyło duchowieństwo modląc się... Nazajutrz Otto cesarz nie żył. Następca już koronowany obejmował po nim rządy.

W tych samych stosunkach ostrożnego przymierza i warunkowej przyjaźni, która napadać na granice i ścierać się często nie przeszkadzała, pozostał polański książę z Ottonem Drugim. Sascy cesarze nadto marzyli o Włochach i Rzymie, aby spokoju granic swych choćby ofiarami nie okupywali. Czescy i polańscy książęta byli może temu winni, że gdzie indziej odwrócona potęga cesarstwa im rosnąć, skupiać się i zagarniać kraje słowiańskie pod panowanie swe dozwalała.

Spytacie może o losy ojca Matii, czyli Własta, syna Lubonia? Milczą o nich dzieje nasze. Pierwszy kapłan i apostoł nie dobijał się żadnego stanowiska w hierarchii kościelnej ani sławy i rozgłosu pomiędzy ludźmi. Cicho przeszedł po świecie tym, kryjąc się z sobą i okrywając pokorą. Imienia jego nie wspominają kroniki, nie zapisują rocznikarze, nie znają martyrologii .

Całą majątność swoją rozległą oddawszy siostrze i jej mężowi, Włast

wymówił sobie to miejsce, na którym stał dwór ojcowski, aby na nim wystawić kościół. Miał myśl też zakonników z Monte Cassino , u których przebył lat parę, sprowadzić i klasztor im pobudować. Trudności, jakie naówczas przedstawiały podróże, zajęcia apostolskie, u boku pierwszego biskupa poznańskiego Jordana, nie dozwoliły mu udać się do Włoch i dawnych braci tu sprowadzić.

Książdz Jordan, on, kapłani czescy i kilku Włochów wiele mieli u Polan do czynienia. Kraj milczał i cierpiał narzuconą sobie wiarę, ale wytrwał tajemnie przy dawnej. Przez długie wieki pozostały jej ślady i szczątki w pieśniach, obrzędach, w kryjomo obchodzonych świętach i mnóstwie zwyczajów, które niezrozumiały już były pokoleniom następnym, ale im do serca przyrosły.

Mieszko i jego poddani, co się ochrzczili nawet, długo bardzo nie mogli nawyknąć do nowych obowiązków. Dubrawka przez kilka lat nie zachowywała sama postu, aby z wolna do poszanowania go męża nakłonić. Później już sam, przez żonę pokonany, Mieszko z surowością sobie zwyczajną kazał nie szanującym postów jak piszą, zęby wybijać...

Tak samo zakazywano śpiewać stare pieśni, zbierać się na Kupałę, nocne odbywać pląsy i zabobonne gusła, zabraniano grzebać ciała po rozdrożach i uroczyskach, jak to dawniej bywało we zwyczaju z tryznami, obiatami, stypami, trwającymi po kilka dni. Ludzie, przywiązani do odwiecznych tych obrzędów, uciekali w głąb lasów, kryli się, ale przez długie wieki pamięć dawnej wiary przechować umieli. Nie było sposobu od tych strumieni, kamieni, słupów, dębów i gajów ich odzwyczajić i duchowieństwo stawiało na nich krzyże. Z dawnych bóstw imion czyniono świętych, dni uroczyste u pogan zastosowano do obchodów i pamiątek kościelnych. Tak te resztki wiekowej

spuścizny mieszały się, zlały dziwnie częstokroć z legendami chrześcijańskimi.

Dzień 7 marca, który był przeznaczony do zburzenia wszędzie, gdziekolwiek by się znajdowały, resztek pogańskich bałwanów, na długo został pamiętnym.

Długosz powiada, że w niektórych wioskach w Polsce, w czwartą niedzielę postu, zatykano na długich żerdziach stanice dawne, wizerunki Dziewanny i Marzanny, a potem je rzucano i topiono w bagnach.

Pobożny ojciec Matia, przeżywszy panowanie Mieszka, które było jakby

wstępną pieśnią bohaterskiego poematu Bolesława Wielkiego, pozostał przy kościele głównym w Poznaniu, skąd mu łatwiej było i swój nowo założony odwiedzać.

Nie opodal od niego stał nowy dwór Hanny i Andrzeja w miejscu, które się pono nazwało później Głuszynem (tak jak bardzo być może, iż z Krasnejgóry Górczyn mógł powstać). Tu ojciec Matia przybywał błogosławić małym dziatkom siostry swej i w młodociane główki wpajać pierwsze, mające się w nich krzewić, pojęcia. Tu on, otoczony tą gromadką na pół dzikich, ledwie odzianych, puszcanych swobodnie, wedle dawnego obyczaju dzieci, stawał się dla nich sam dzieckiem prawie i wedle nauki Chrystusa przywabiał je do siebie.

Wiele lat upłynęło od opisanych wypadków; potęga Mieszka wzrosła, państwo rozszerzyło granice, kościoły stawały liczne po całej ziemi Polan, przebiegali ją kapłani dla połowu dusz zbłąkanych. Ojciec Matia był wszędzie z nimi, gdziekolwiek groziło niebezpieczeństwo, trudności były do przełamania, a językiem rodzonym i sercem braterskim przemówić było trzeba do ludu. Z uśmiechem, gdy mu kto chciał wrazić obawę, mawiał że po dwu w życiu niebezpieczeństwach, z jakich go Bóg ocalił, żadnego się już nie lęka. Znano go i najzapaleńsi nawet starowiercy szanowali w nim nieustraszone męstwo i nie zmożoną niczym cierpliwość a niewyczerpaną dobroczynność.

W ubogiej swej czarnej sukni, z kijem w rękę mógł bezpiecznie przebiegać najodleglejsze, najzapadlejsze kraju zakątki, gdzie się nikt inny dojść nie ważył. W

rękę przy lasce, na której się opierał, miał zwykle małą siekierkę, nie dla obrony od napaści, ale aby móc naprędce wyciosać krzyżyk i postawić go wszędzie, gdziekolwiek znalazł jakiś znak dawnego bałwochwalstwa. Nie zrażało go to, gdy drugi raz na to miejsce przychodząc, pierwszej swej pracy nie znalazł śladu. Siadał

wyciosać krzyż swój na nowo i wbijał go w tym samym miejscu. Czasami po dwa i trzy razy musiał podnosić to znamię, nim się ono nareszcie ostało. Zabobonny lud przypisywał cudowi to powracanie krzyża, a cudem była tylko święta cierpliwość nieznużonego apostoła.

W miejscu, gdzie był dwór i kaplica spalona, ojciec Matia pobudował mały kościółek, a tam gdzie była owa jama, w której naprzód ojciec go więził, później czasu pożaru Jarmierz zdołał go ukrytego ocalić, wymurował sobie za życia grób, do którego często zaglądał. Do tego kościoła chodził z Poznania pieszo, często w nim długie spędzając godziny. Stroił go, ubierał, zbogacał, opatrywał we wszystko jak najulubieńsze swoje dzieło. Często, gdy go nie znajdowano w Poznaniu u Świętego Jana

Jerozolimskiego, wiedziiano, gdzie go szukać. Trwał na modlitwie w swoim kościółku albo z miotłą w rękę oczyszczał go, obmywał i utrzymywał w nim porządek. Obcej ręce nie dawał się tu prawie dotknąć niczego.

Jednego wiosennego dnia około Wniebowstąpienia, gdy słowiki śpiewały najgłośniej, a czeremchy rozkwitały, wonią napełniając powietrze, szukano na próżno ojca Matii w Poznaniu. Izdebka jego, którą zawsze zostawiał otworem, stała pustą, nie było go dni kilka. Ponieważ, przy szczupłej liczbie ówczesnego duchowieństwa, był pilno biskupowi Jordanowi potrzebnym, wysłano za nim do siostry do Głuszyna, ale stąd wrócił posłaniec oznajmiając, że go tu także od kilku już tygodni nie widziano. Bardzo być mogło, że wyszedł na jedną ze swych pielgrzymek, które często pieszo odbywał. Lecz zbliżało się Wniebowstąpienie, a na wielkie uroczystości wracał zwykle do Poznania. W wigilię tego dnia, gdy po raz wtóry nadbiegł posłaniec do Głuszyna, trochę niespokojny Jarmierz z Hanną udali się do kościółka na Krasnejgórze, bo im na myśl przyszło, a raczej przeczucie jakieś mieli, iż tam go znaleźć mogą.

W istocie, zbliżywszy się do kościółka, drzwi znaleźli nie zamknięte, a uchyliwszy je, spostrzegli brata, krzyżem leżącego przed ołtarzem, na którym świece się dawno powypalały. Wszedłszy pokłękli, zrazu oczekując, azali modlitwy skończywszy, ojciec Matia nie wstanie ku nim. Upłynął jednak czas dość długi, a modlący się nie poruszył wcale.

Gdy już zmierzchało, Hanna podeszła do niego i pokłękawszy, w rękę chciała go pocałować, aby dać znać o sobie. Ręka była jak kamień zimna; ojciec Matia nie żył. Skończył życie wśród modlitwy, leżąc krzyżem właśnie na tym kamieniu, który przykrywał wejście do zamurowanego grobu.

Na krzyk bolesny Hanny nadbiegł Jarmierz, podniesiono z lekka ciało już zupełnie ostygłe, bo nieboszczyk od dwóch pewno dni już żyć przestał. Na twarzy jego bladej wyraz słodkiego uszczęśliwienia panował, usta zamknięte uśmiechały się spokojem.

Wielki był żal wszystkich po człowieku pobożnym, cichym, a potrzebnym Kościołowi, kapłanie, którego nikt nie mógł za stąpić. Dano zaraz znać do Poznania, naznaczono dzień pogrzebu i przy wielkim nacisku pobożnych, na trzeci dzień w prostej trumience, jak przykazał, złożono ciało jego w grobowcu pod ołtarzem.

Cóż dziwnego, że potem w kilkanaście, kilkadziesiąt lat nikt już imienia pobożnego kapłana nie pamiętał, że w sto lat nie było śladu kościoła i grobowca, a w dwieście miejsce zmieniło imię i rodzina wygasła. Tak wszystko na ziemi przemija i ginie...

KONIEC